

DARY BOGÓW

WITOLD JABŁOŃSKI

GENIUS
CREATIONS

SPIS TREŚCI

- [Wprowadzenie](#)
- [Opowieść pierwsza](#)
- [Opowieść druga](#)
- [Opowieść trzecia](#)
- [Opowieść czwarta](#)
- [Opowieść piąta](#)
- [Opowieść szósta](#)
- [Opowieść siódma](#)
- [Opowieść ósma](#)
- [Opowieść dziewiąta](#)
- [Opowieść dziesiąta](#)
- [Opowieść jedenasta](#)
- [Opowieść dwunasta](#)
- [Opowieść trzynasta](#)
- [Opowieść czternasta](#)
- [Dodatek I](#)
- [Dodatek II](#)
- [Wybór literatury przedmiotu](#)

WPROWADZENIE

Postać sędziwego bazarza snującego przy ognisku domowym opowieści o słowiańskich bogach i bohaterach narzucała się mojej wyobraźni od tak dawna i z siłą tak przemożną, że stało się dla mnie wewnętrzną koniecznością uczynienie go narratorem sfabularyzowanej wersji rodzimych mitów i baśni. Zbiór ten powstał nie tylko z potrzeby twórczej – przyświecało mi także pragnienie wypełnienia luki wytworzonej w świadomości Polaków z przyczyn, które omówię nieco dalej.

W przeciwieństwie do Greków, Celtów czy Skandynawów, Słowianie nie zachowali przedchrześcijańskich eposów ukazujących zaranie ich mitycznych dziejów. Nie mamy swojej *Iliady*, *Eddy* ani *Kalewali*. Mitoznawcy i etnografowie zadali sobie wprawdzie wiele trudu, aby naukowo zrekonstruować niektóre słowiańskie mity z przechowanych w tradycji ludowej strzępów pradawnych przekazów, żaden jednak nie pokusił się o nadanie tym rekonstrukcjom epickiej wersji przeznaczonej dla szerokiego kręgu odbiorców – a przecież właśnie w ten naukowo-literacki sposób powstały w XIX wieku fińska *Kalewala* czy estoński *Kalevipoeg*. Niniejsza książka jest zatem próbą stworzenia zbeletryzowanej rekonstrukcji słowiańskich opowieści mitycznych, literacką odpowiedzią na dojmujący niedostatek naszego rodzimego eposu.

Do kwestii źródeł, z których czerpałem inspirację, jeszcze powrócę, a teraz omówię przyczyny niemal powszechnej dziś niewiedzy o naszych kulturowo-wierzeniowych korzeniach.

MITYCZNA HISTORIA ALBO HISTORIA MITU

W polskich szkołach młodzież uczy się głównie o mitologii grecko-rzymskiej, a dzięki powieściom, filmom i grom *fantasy* poznaje – choć w znacznie przetworzonej

formie – mity celtyckie i germańskie. Ani szkoła, ani kultura popularna nie dostarczają młodym ludziom wiadomości o słowiańskim dziedzictwie wierzeniowym. I nic w tym dziwnego, skoro utrwalono w zbiorowej świadomości przekonanie, iż historia naszego kraju zaczęła się wraz z tak zwanym chrztem Polski w 966 roku (pomijam już fakt, że ani nie ochrzczono wówczas wszystkich poddanych Mieszka, ani nie istniała jeszcze sama nazwa „Polska”), zaś dorobek wcześniejszych pokoleń mieszkańców naszych ziem zbywa się ogólnikami o „tworzeniu zrębów państwowości” przez Piastów. Z podręczników niewiele dowiadujemy się o naszej przedchrześcijańskiej przeszłości – po pierwsze dlatego, że znaleziska archeologiczne z terenów zachodniosłowiańskich sprzed końca VIII wieku są nadzwyczaj skromne. Wynikało to między innymi z tego, że Słowianie aż do tego czasu nie wznosili grodów, dworów ani świątyń, nie zakopywali też skarbów (depozytów składających się z cennych przedmiotów), a jeszcze dłużej, bo

do chrystianizacji, stosowali formy pochówków, które są bardzo trudne do zarejestrowania metodami archeologicznymi. Z tych powodów mało wiemy o życiu codziennym naszych przodków, a jeszcze mniej o duchowym, czyli wierzeniach. Rozkwit kultury materialnej (ale pośrednio dającej też pojęcie o religii) Słowian rozpoczął się dopiero w IX wieku.

Po drugie, od połowy XII stulecia, czyli od początku właściwej chrystianizacji Polski, polegającej na nawracaniu na religię jednego Boga szerszych warstw społeczeństwa (wcześniej chrześcijaństwo ograniczało się do warstw wyższych), Kościół wykorzeniał dawne wierzenia, co wiązało się także ze stopniowym popadaniem w zapomnienie eposów o bogach i herosach. Pozostały tylko – zachowujące strzępy mitów – baśnie i inne ludowe przekazy, przy czym należy pamiętać, że nie niosą one „właściwej” wiedzy religijnej, lecz przetworzone w ciągu wieków dane demonologiczne czy zwyczajowe. Właśnie na nich oraz na nielicznych wzmiankach o religii Słowian ze średniowiecznych kronik przyszło się skupić nowożytnym naukowcom w dziele

rekonstrukcji wierzeń naszych przodków.

Nawet jednak te osiągnięcia słabo przenikają do programów szkolnych i do świadomości społecznej. Chociaż już w 1982 roku ukazała się odkrywczą i fundamentalną pracę Aleksandra Gieysztora *Mitologia Słowian*¹, w 1998 roku opublikowano *Mity, podania i wierzenia dawnych Słowian* Jerzego Strzelczyka, a w 2003 *Religię Słowian* Andrzeja Szyjewskiego, ustalenia tych wybitnych uczonych nie przebiły się do wiedzy powszechnej, choć zostały zawarte w książkach napisanych popularnonaukowo, a więc specjalnie dla szerokiego odbiorcy! Te i inne prace o wierzeniach słowiańskich do dziś pozostają znane przede wszystkim wąskim kręgom naukowym oraz stosunkowo nielicznym grupom słowianofilskim. Wiele osób, nawet z wyższym wykształceniem humanistycznym, kwituje zagadnienie rodzimej wiary i mitologii wzruszeniem ramion oraz stwierdzeniem, że przecież

na ten temat nic się nie zachowało. Przekonanie to w ogromnej mierze kształtuje wiedzę przekazywaną zarówno w obrębie rodziny, jak i w nauczaniu szkolnym. W świadomości przeciętnego Polaka takie zwyczaje jak śmigus-dyngus, wiosenne malowanie jajek, Noc Świętojańska (Kupała) czy choinka są tak samo chrześcijańskie jak posty czy Popielec. Większość ludzi nie uświadamia sobie ich pradawnego i rytualnego charakteru, uważając je co najwyżej za ludowe zabobony. Dzieje się tak, bowiem to, czego Kościół nie zdołał wyrugować, po prostu wchłonął w obyczajowość chrześcijańską i dostosował do kalendarza świąt, skutecznie wypierając z ludzkiej świadomości pierwotne religijne znaczenie tych „zabobonów”.

Dlaczego tak się stało? Dlaczego większość z nas nie wie nic o własnych kulturowych korzeniach? Maria Janion w znakomitej pracy *Niesamowita Słowiańszczyzna* sugestywnie wskazała główne przyczyny takiego stanu rzeczy: „Poniesiona wskutek brutalnej nieraz chrystianizacji klęska Słowian, zwłaszcza zachodnich Słowian, przyłączenie ich do cywilizacji łacińskiej, przejawiały się między innymi w utracie własnej mitologii, tego ważnego spoiwa lokalnej wyobraźni”.

Sytuacja taka miała swoje złowróżbne dla nas konsekwencje: „Warto [...] wspomnieć o znamienym rysie chrystianizacji Polski – o stosunku łacińskich misjonarzy do pogańskiej mitologii i religii Słowian. Zostały one w taki sposób zlekceważone i bezwzględnie zniszczone, że wśród badaczy powstało nawet przekonanie – poparte brakiem źródeł – iż w ogóle prawie nie istniały. [...] Stąd wymazana dawność, stąd biała karta, stąd puste pola, stąd wyrażane nawet całkiem niedawno przekonanie, że nic nie przemawia za tym, aby u Słowian istniały opowieści o bogach, o ich życiu, działalności, stosunkach pokrewieństwa. Lud słowiański byłby zatem, jak pisze historyk religii słowiańskiej [Aleksander Gieysztor – uzup. WJ] «dziwacznym ewenementem wśród kultur świata». Można w tym widzieć również miarę (niezasłużonej, ale rzeczywistej) pogardy dla rzekomo wszechstronnie «prymitywnej» Słowiańszczyzny”.

Autorka przekonująco ukazała, jak przez całe wieki rozwoju polskiego piśmiennictwa przedchrześcijańska przeszłość była świadomie marginalizowana, infantylizowana, sprowadzana do zbioru „ludowych przesądów”, jednym słowem: tworzono wizję Słowiańszczyzny „upupionej”, by posłużyć się dobrze tu pasującym Gombrowiczowskim określeniem – czyli przasnej, głupawej i prymitywnej. Nieświadomym prekursorem takiej wizji był niemiecki uczyony z epoki wczesnego romantyzmu Johann Gottfried Herder, który stylizował wyimaginowane przez siebie życie Słowian na wzór mitycznej helleńskiej Arkadii: „warzyli sól, tkali płótno, sycili miód, sadzili drzewa owocowe, wiodąc na swój sposób życie radosne, wypełnione muzyką” (cytat za: Maria Janion, *Niesamowita Słowiańszczyzna, op. cit.*). Tenże uczyony przyrównał podbitych przez Niemców łagodnych Słowian do „Peruwiańczyków” (Inków), ukazując swoich rodaków w roli bezwzględnych, okrutnych konkwistadorów i kolonizatorów. Idylliczną fantazję podchwyciła i rozbudowała część polskich literatów (począwszy od programu ideowego Kazimierza Brodzińskiego) oraz wielu historyków doby romantyzmu. Tacy naukowcy jak

Fryderyk Lewestam, Wacław Maciejowski czy Wawrzyniec Surowiecki przedstawiali „polskich” Słowian jako lud pokojowo nastawiony i pracowity, ale niezdolny do stworzenia wyższej kultury. Dopiero gdy Słowianie zostali podbici przez sprawnych organizacyjnie i zaawansowanych cywilizacyjnie najeźdźców (w zależności od ujęcia poszczególnych badaczy, miało chodzić o Germanów lub Celtów), potrafili zbudować pierwociny własnego państwa, a i to tylko dlatego, że znajdowali się pod światłymi rządami zdobywców. Także Adam Mickiewicz w „naukowych” wykładach paryskich podkreślał prymitywizm dawnych Słowian, mający się wyrażać między innymi brakiem twórczości poetyckiej, w tym eposów, czy niemożnością wymyślenia własnego panteonu i mitologii (pomijam już przekonanie Mickiewicza i części ówczesnych historyków, że pierwotni Słowianie byli... monoteistami). Nie bez przyczyny w *Salonie warszawskim (Dziady, część III)* klasycyzujący Literat rzuca znamienne sentencje: „Sławianie, my lubim sielanki”. Owa sielankowa teoria zawiera w sobie ziarno prawdy, jednak sprawiła, że od czasów romantyzmu zaczęto postrzegać naszych przodków jako pozbawionych własnego kulturowego dziedzictwa. Wizja ta odcisnęła niezwykle trwałe piętno zarówno w polskiej historiografii, jak i w literaturze. Stopniowo rodził się koszmarny stereotyp wąsatych, płowowłosych, beztrąsko pląsających po łąkach matołków, którzy radośnie i rzekomo „bezkolizyjnie” przyjęli nową wiarę – wiarę ponoć równie łagodną i „litościwą” jak oni sami. Przypominają się w tym miejscu słowa dziewiętnastowiecznego prekursora rodzimej etnografii i archeologii Zoriana Dołęgi-Chodakowskiego (notabene jednego z bohaterów książki Marii Janion): „kształcąc się na wzór obcy, staliśmy się na koniec sobie samym cudzymi”.

Na niewiele zdały się wysiłki innych romantyków, takich jak Juliusz Słowacki (który próbował wskrzesić mit i epos słowiański w utworach *Balladyna*, *Lilla Weneda* czy *Król-Duch*) i Ryszard Berwiński (*Bogunka na Gopie*), czy też neoromantyków – Stanisława Wyspiańskiego (*Legenda*), Wojciecha Dzierżyszyckiego (*Baśń nad*

baśniami), Tadeusza Micińskiego (*Nietota*). Ich utwory, mniej lub bardziej udane, nie zmieniły stereotypu stopniowo przedostającego się do zbiorowej świadomości Polaków, dla których od 1876 roku podstawowym źródłem informacji o naszych przedchrześcijańskich przodkach stała się (i w zasadzie pozostała do dzisiaj) *Stara baśń* Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Dodatkowo przez wiele lat niewoli tak zaborcy, jak i niektórzy rodzimi autorzy oraz naukowcy wszczepiali Polakom przekonanie o ich duchowym ubóstwie i wtórności, a własne kulturowe dziedzictwo traktowali jak wstydlivy (bo pogański²) epizod z dzieciństwa narodu, o którym najlepiej jak najszybciej zapomnieć. Zachowane – wprawdzie tylko fragmentarycznie i w przetworzonej wersji, ale jednak – mity i legendy dynastyczne o Lechu, Kraku, Wandzie, Popielu czy pierwszych Piastach sprowadzono w XIX wieku do rzędu pocziwych, naiwnych bajeczek i zepchnięto do dziecinnego pokoju. Właściwą rangę przekazowi o Piaście przywrócił dopiero Jacek Banaszkiewicz, wnikliwie analizując motywy zachowane w najstarszych polskich kronikach, lecz ta znakomita praca (I wydanie opublikowano w 1986 roku) pozostała na długi czas zjawiskiem odosobnionym i sceptycznie traktowanym przez historyków, którzy nie widzieli sensu „grzebania się” w legendach, uważając je za czcze wymysły bądź elementy zapożyczone z obcych kultur. Warto również przypomnieć, że mniej więcej w tym samym czasie (1987 rok) wydano książkę *Herby, legendy, dawne mity* Marka Cetwińskiego i Marka Derwicha, będącą niezwykle ciekawą próbą analizy polskich legend herbowych na szerokim tle porównawczym różnych mitologii indoeuropejskich.

Niewiele wniosły do zmiany stereotypu Słowianina-głupka powieści historyczne, głównie młodzieżowe, publikowane w okresie PRL-u. Przeciwnie, nawet mocniej go utrwaliły, gdyż wymogi propagandowe, warunkowane między innymi okrutnymi doświadczeniami II wojny światowej, nakazywały pokazywać Słowian wyłącznie w roli dobrodusznych wieśniaków padających ofiarą bezwzględnej germańskiej

naporu. Przechodząc na grunt historycznych prac popularnonaukowych, warto zauważyć, że nie miałyby wówczas szans zaistnieć w powszechnym obiegu na przykład *Wielka wyprawa księcia Racibora* Artura Szrejtera (na szczęście opublikowano ją wiele lat po upadku komunizmu, w 2013 roku), ukazująca słowiańskich wojów w roli najeźdźców i łupieżców pustoszących skandynawski – a więc germański! – gród. W czasach PRL-u propagowano wiedzę o tym, że tak odrażające rzeczy robili wyłącznie Niemcy/Germanowie, nigdy Słowianie... Traktując rzecz bardziej poważnie, arcyciekawa praca Szrejtera byłaby przed 1989 rokiem zapewne tolerowana wyłącznie jako akademicki przyczynek dostępny wąskiemu gronu mediewistów, porośłaby więc bibliotecznym kurzem, pozostając na marginesie badań naukowych.

Tłumaczy to również, czemu ówczesny główny nurt nauk historycznych podchodził niezmiernie nieufnie i sceptycznie do kwestii wierzeń przedchrześcijańskich (właśnie wtedy pojawiły się kuriozalne hipotezy, jakoby Słowianie nie mieli własnych bogów, mitów, świątyń ani kapłanów). Skrzętnie omijano niewygodne tematy, na przykład tak zwaną reakcję pogańską w XI wieku, gdyż uczeni wyznający heglowsko-marksistowską teorię dziejów – która gloryfikowała przede wszystkim fakty dokonane, czyli swego rodzaju historyczny fatalizm i determinizm – dość zgodnie uznawali przejście od politeizmu do monoteizmu za „konieczność dziejową”, kolejny etap rzekomo nieuchronnego „postępu”. Tym samym traktowali słowiańskie wierzenia i wszelkie przejawy ich zachowania w kulturze ludowej jako wyraz zacofania i świadectwo prymitywizmu. Krótko mówiąc, w PRL-u uważano, że skoro nasz „pogański” świat poniósł klęskę w rywalizacji z dynamiczną inwazją chrześcijaństwa, musiała to być klęska zasłużona, uwarunkowana „słabością” oraz „niższością” kulturową. Nie uwzględniano przy tym faktu, że nową na tych ziemiach religię krzewiono zazwyczaj pod przymusem, a bezwzględne niszczenie relikwii wiary ojców (jak wycinanie świętych gajów, palenie

świętyń i zabijanie kapłanów), wymazywanie „pogańskiej” przeszłości i odcinanie się od własnych korzeni musiało spowodować prawdziwy szok społeczny i kulturowy. Według niektórych historyków Polacy rozumiani jako całość narodu (a więc nie tylko szlachta, lecz też pogardzani przez szlachtę mieszkańcy wsi) nigdy nie otrząsnęli się z owej średniowiecznej traumy, dlatego do dziś nie zdołali stworzyć akceptowalnych przez wszystkie grupy społeczne legend narodowych, które trwale zastąpiłyby wyrugowane wierzenia i kulturę przedchrześcijańską.

Obecnie, ciesząc się ponad ćwierćwieczem wolności, nie musimy już pisać „ku pokrzepieniu serc”, toteż zmienia się również nasza literatura historyczna, śmielej penetrująca zarzuconą lub wręcz zakazaną wcześniej tematykę. Mitologią słowiańską zainteresowali się na przykład pisarze nurtu *fantasy*, coraz chętniej czerpiący z przebogatego źródła rodzimej demonologii. Świat słowiański nie jest w owych utworach, jak w dawniejszej polskiej literaturze, prząsny, pocziwy i infantylny, lecz stanowi wybuchową mieszankę tajemniczości i grozy, demonizmu i okrucieństwa. Świadczy to o chęci przełamania wielowiekowego szkodliwego szablonu opartego na kompleksie niższości, ale też o poszukiwaniu nowego wzoru „swojskości”, próbie stworzenia innego paradygmatu Słowiańszczyzny i odmiennego wzorca społecznego, wzorca odwołującego się do przedchrześcijańskich tradycji. Duże zainteresowanie, jakim cieszy się taka literatura (a także powstawanie coraz liczniejszych grup rekonstrukcyjnych, gier oraz portali internetowych odwołujących się do stylu życia i tradycji słowiańskich) świadczy o ogromnym zapotrzebowaniu na podobną tematykę i o społecznym oczekiwaniu na wypełnienie „słowiańskiej luki” w naszej kulturowej tożsamości.

POSZUKIWANIE MITÓW PIERWOTNYCH

Nasuwa się w tym momencie rozważań zasadnicze pytanie: czy w istocie jest z czego czerpać, skoro tak wiele źródeł zostało zniszczonych lub pogrzebanych pod

zwałami zapomnienia, przekłamań i ignorancji? Co się stało z mitologią słowiańską, jak dramatycznie pytała Maria Janion? Gdzie szukać wiarygodnych podstaw do rekonstrukcji rodzimych mitów?

Odpowiedzi na te pytania udzielił pośrednio Andrzej Szyjewski w *Religii Słowian*: „Słowianie nie otrzymali nakazu «Czyńcie sobie ziemię poddaną», który byłby obrażą wobec Ziemi jako ich matki i wobec wszystkich jej dzieci. Pozwolili natomiast mówić przyrodzie pełnym głosem, przypisując jej świadomość i ustanawiając szereg personifikujących pierwiastków otoczenia, które określa się jako demony. Ich zadaniem jest pośredniczenie, mediacja między naturą a światem kultury. Wyobrażenia, mity, obrzędy związane z tą sferą codziennego kontaktu rozpowszechniane były w kręgu rodzinno-rodowym, a wobec tego niezmiernie trudne do wykorzenia. I rzeczywiście, ocalały, mimo że w wyniku chrystianizacji zniszczono święte miejsca, w których czczono bogów, rozproszono żerców, którzy w nich wiarę podtrzymywali, oraz prześladowano tych, którzy wspominali imiona wielkich bogów, znane niewątpliwie wszystkim spowiednikom. Prawidłowością chrystianizacji był w średniowieczu najpierw atak na oficjalne instytucje pogańskie i wielkich bogów, Kościół nie miał natomiast możliwości sięgnięcia głębiej, wykorzenia zwyczajów obecnych w każdym gospodarstwie, gdzie pan domu rzucał za siebie łyżkę kaszy dla domowych duchów, czy w lesie, w polu, gdzie zostawiano ofiary dla boginek i duchów leśnych, mające zapewnić powodzenie w zbiorach i na łowach... Tutaj bezpiecznie zachowały się takie postacie jak Mokosz, niegdyś zapewne potężna bogini skarłała do formy ducha zajęć kobiecych, czy Żmij – niegdysiejsze wcielenie Welesa, występujący w folklorze w roli Króla Węży”.

Badacz sugeruje zatem, by szukać śladów rodzimych mitów w materiałach etnograficznych, w ludowych obrzędach, a także w snutych przy ognisku domowym prastarych klechdach. Warto zauważyć, że tym tropem podążyli w ubiegłym stuleciu dwaj uczeni rosyjscy, Władimir N. Toporow i Wiaczesław I. Iwanow, w książce

Issledovanija v oblasti slavjanskich drevnostej... (Moskwa 1974 rok), rekonstruując słowiańską mitologię na podstawie staroruskich bylin i baśni. Na naszym gruncie postulował podobną pracę ponad stulecie wcześniej (1835) wspomniany już Zorian Dołęga-Chodakowski w artykule *O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem*: „Trzeba pójść i zniżyć się pod strzechę wieśniaka... Tam w dymie wznoszącym się nad głowami snują się jeszcze stare obrzędy, nucą się dawne śpiewy i wśród płasów prostoty odzywają się imiona bogów zapomnianych”. Zauważmy, że w epoce romantyzmu wielu twórców, z Adamem Mickiewiczem na czele, starało się wypełnić ów postulat na gruncie literackim, jednak już na gruncie naukowym aż do początków XX wieku prawie żaden polski ludoznawca nie przedsięwziął osobistych badań wśród prostego ludu. Jednym z nielicznych wyjątków był Oskar Kolberg, lecz jego działalność w bardzo małej mierze dotyczyła zachowanych w kulturze ludowej przedchrześcijańskich elementów wierzeniowych, a właśnie one nas tutaj interesują. Piękny apel Dołęgi-Chodakowskiego pozostał przez całe XIX stulecie martwy, gdyż wywodzący się ze szlachty i bogatego mieszczaństwa literaci oraz naukowcy tylko w teorii chcieli „zniżyć się pod strzechę wieśniaka”. Zaprzepaszczona została olbrzymia szansa na zebranie ludowych przekazów z ostatniego okresu istnienia autentycznej polskiej kultury wiejskiej, która w XX wieku w większości rejonów naszego kraju praktycznie przestała istnieć. Dopiero etnograf i sławista Kazimierz Moszyński postarał się zrealizować na gruncie naukowym romantyczny apel, a wyniki swoich badań przedstawił w monumentalnym dziele *Kultura ludowa Słowian* (1929–1939), które zawiera wiele danych o pozostałościach dawnych wierzeń.

Sięgnąwszy do źródeł znacznie starszych, jakimi są średniowieczne kroniki, zauważamy, że Jan Długosz przyrównał bóstwa słowiańskie do wzorca najlepiej sobie znanego, czyli grecko-rzymskiego panteonu. Tymczasem dziewiętnasto- i dwudziestowieczni naukowcy uprawiający metodę redukcyjną (na przykład Aleksander Brückner, Stanisław Urbańczyk, Henryk Łowmiański) podważali jego

porównanie, wskazując na różnice kulturowe i geograficzne między światem śródziemnomorskim a słowiańskim, niektórzy sugerowali wręcz, że nasz kronikarz wymyślił sobie słowiańskie odpowiedniki bóstw klasycznych! Na szczęście nowsi badacze przyznają rację średniowiecznemu dziejopisowi, gdyż świat wierzeń politeistycznych w obrębie Europy i regionu indoirañskiego wykazywał znaczne podobieństwa, na co zwracali już uwagę starożytni Rzymianie, podbijając kolejne „barbarzyńskie” ludy z grupy indoeuropejskiej (zagadnienie przenikania się starożytnych kultur pod względami prawa i religii ciekawie omawia Karol Modzelewski w dziele *Barbarzyńska Europa*). W religii każdego z tych ludów istniał patriarchalny bóg zbrojny w piorun, podobnie jak władca wojny z toporem lub młotem, a także bożek lasu, wiosenna pani miłości czy dojrzała bogini urodzaju kojarzona z Matką Ziemią.

Bóstwa „pogańskie” początkowo wyrażały żywioły natury, z czasem zaś, gdy „zajęły się” aspektami człowieka i życia, zaczęły zyskiwać ludzkie cechy i charaktery. Podkreślali ten fakt tak wybitni badacze jak James Frazer (*Złota gałąź*) czy Georges Dumézil (*Bogowie Germanów*). W świetle współczesnego mitoznawstwa porównawczego (zwanego też neokomparatystyką mitologiczną, której ojcem był właśnie Dumézil) podstawą badań religioznawczych jest zestawianie i analizowanie podobnych elementów wierzeń różnych ludów, a więc metoda zastosowana już w średniowieczu przez Długosza. Trzeba jednak brać pod uwagę, że w odniesieniu do religii politeistycznych nie ma mowy o czymś takim jak uporządkowany system religijny. Idąc za Frazerem, warto zauważyć, że przy rozważaniu mitów pamiętać należy, iż bóstwo może się przejawiać w rozmaitych wcieleniach i pod różnymi nazwami, stosownie do tego, co w danym kontekście ma oznaczać jego objawienie się i roli, jaką powinno odegrać w opowieści. Charakterystyczną cechą wszelkich znanych mitologii (nawet tych dokładnie zbadanych i opisanych, jak grecko-rzymska lub celtycka) jest płynność i różnorodność przeplatających się wątków, postaci,

motywów. Nie istniał żaden kanoniczny (jak na przykład w *Biblii*) obraz mitów politeistycznych, gdyż współegzystowały rozmaite ich wersje, a co za tym idzie, można je było różnorodnie interpretować. Mamy więc do czynienia z wielowarstwową materią religijno-literacką, która nigdy nie była monolitem, lecz zbiorem różnorodnych opowieści, które także dziś można traktować swobodnie, ale należy to robić ostrożnie i w pewnych dopuszczalnych ramach. Dzięki ustaleniom nowożytnych mitoznawców zdolni jesteśmy jednak wyodrębnić nici przewodnie wielobarwnego kobierca w obrębie konkretnej religii przedchrześcijańskiej i układać z nich w miarę sensowną całość. Uwagi te dotyczą także sposobu postępowania z rekonstrukcją – czy to luźniejszą, czy ściślejszą – mitów słowiańskich, które zachowały się w nieporównywalnie gorszym stanie niż na przykład celtyckie.

SŁOWIAŃSKI ŚWIATOPOGŁĄD – PRÓBA REKONSTRUKCJI

Przystępując do pracy rekonstrukcyjnej, warto zadać sobie kolejne istotne pytania: czy światopogląd „pogański” mamy odtwarzać wyłącznie na zasadzie negacji i sprzeciwu wobec wojujących monoteizmów? Jakie wartości pozytywne reprezentowało „pogaństwo” i które z nich są użyteczne w dzisiejszym świecie? Jak rysowałyby się na tym tle koncepcja jednostki, czyli roli człowieka w świecie? Spróbujmy odpowiedzieć na te pytania przy wykorzystaniu metody porównawczej w obrębie wierzeń indoeuropejskich.

„Poznaj samego siebie” głosił napis na ścianie wyroczni delfickiej. Myślę, że gdyby słowiańscy kapłani posługiwali się pismem, podobne słowa mogliby wyryć w przedsionku świątyni w Arkonie. Tak samo jak każdy inny indoeuropejski „poganin”, nasz przodek winien był poznać swoje możliwości, zdolności i życiowe dążenia, a co za tym idzie, swe opiekuńcze bóstwo, któremu miał składać ofiary i z którym miał nawiązać kontakt (w sensie religijnym i magicznym). Samorealizacja miała więc

ściśle związkiem z powinnościami wobec rodu, plemienia, ludu – innymi słowy: osobiste predyspozycje należało wykorzystać w służbie własnej społeczności. Wspólnie odprawiane obrzędy i rytuały były więc bardzo ważne jako czynnik integrujący wyznawców. Okazuje się jednak, że w religiach indoeuropejskich – a zatem prawdopodobnie także w słowiańskiej – jeszcze ważniejszy był indywidualny kult opiekuńczego boskiego patrona, którego dobór warunkowała pozycja społeczna konkretnej osoby. Inne bóstwa były czczone przez kobiety, inne przez wojowników, inne przez kupców, myśliwych, rolników, żeglarzy...

„Funkcjonalny” dobór bóstw nie powodował wszakże konfliktu wewnętrznego w obrębie wspólnoty plemiennej czy rodowej, lecz składał się na spójny, sprawnie działający system społeczny i religijny, uwarunkowany kosmicznym porządkiem, w którym miały swoje miejsce wszystkie bóstwa odpowiedzialne za poszczególne aspekty ludzkiego życia.

Spróbujmy popatrzeć na to zagadnienie z perspektywy jednej z możliwych interpretacji religii słowiańskiej – interpretacji, którą przyjąłem w tej książce. Przykładowo Czarnobóg/Weles jest w micie słowiańskim o stworzeniu świata antagonistą Białoboga/Swaroga/Peruna, ale zarazem jego dopełnieniem, dzięki czemu może wypełniać rolę współtwórcy rzeczywistości. Byłoby zasadniczym błędem utożsamianie Czarnoboga/Welesa z chrześcijańskim szatanem, czyli wcieleniem absolutnego zła. W światopoglądzie pogańskim mroczne bóstwa reprezentujące siły chaosu, zniszczenia i śmierci były postrzegane jako istoty równorzędne z istotami światła i życia, dlatego czczono obie te kategorie bogów na równi, ponieważ wiadano, że tylko ich współistnienie może zapewnić kosmiczną harmonię. Istotnym elementem światopoglądu słowiańskiego i wszystkich wynikających zeń domniemyanych mitów była odwieczna walka światła z ciemnością, dnia z nocą, słońca z księżycem (pojmowanych zarówno jako nadprzyrodzone zjawiska, jak też odpowiadające im ciała niebieskie: Słońce i Księżyc), lata z zimą – a była to walka

wieczna, niemająca końca, gdyż naprzemiennie zwycięska dla obu stron (stąd koncepcja kołowrotu zdarzeń). Zmagania te były niezbędne dla funkcjonowania rzeczywistości, stanowiły fundament wszechświata jako całości. Dlatego należało obłaskawiać ofiarami także mroczne, podziemne bóstwa, by zapewnić sobie ich przychyłność w mniej przyjaznych porach roku (jesień, zima). Echo takiej postawy znajdujemy w popularnym powiedzonku: „Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek”.

Koncepcja współistnienia zmagających się ze sobą, ale dopełniających się potęg ukształtowana została na wspólnej indoeuropejskiej podstawie określanej jako magiczne pojmowanie świata, które ciekawie scharakteryzował Artur Szrejter w opracowaniu *Herosi mitów germańskich*: „[...] wszystko, co otacza człowieka, a także on sam oraz wytwory jego rąk (broń, ozdoby, narzędzia) przepełnione jest mocą pochodzącą od bogów i innych sił nadprzyrodzonych. Mocą wpływającą na cały świat, w tym na jednostkę ludzką, jako składową grupy społecznej. W efekcie wierzone, że każdy element rzeczywistości – począwszy od świętych gór i gajów, a skończywszy na konkretnych typach ozdób i pokrywających je motywach dekoracyjnych – zawiera moc magiczną mogącą mieć negatywny lub pozytywny wpływ na życie, pozycję społeczną i pomyślność/szczęście człowieka. Zgodnie z takim założeniem religijnym ówczesni ludzie wykształcili tysiące kultowych i magicznych zachowań, które porządkowały świat, a człowiekowi wyznaczały w nim ściśle określone miejsce”. W owym świecie odmienny od naszego dzisiejszego był stosunek do magii, którą w uzasadnionych przypadkach można było uznać za pożyteczną. Wszystkie zresztą obrzędy religijne mające na celu przebłaganie lub prośenie o coś bóstwa wywodzą się z pierwotnej magii i zawsze są rodzajem czarowania, próby nakłonienia nadprzyrodzonych potęg, by spełniły nasze prośby, życzenia, żądania. Jeśli Słowianin pragnął przebłagać danego boga, czynił to w konkretnym celu, na przykład, by osiągnąć realne sukcesy lub odwrócić zły los albo klątwę.

W kontekście powyższych uwag kompletnie upada chrześcijański zarzut bałwochwalstwa, czyli oddawania czci posągom, wynikający być może nie tylko ze złej woli ludzi Kościoła, ale także z fundamentalnego niezrozumienia istoty dawnych wierzeń. Skoro, wedle zrekonstruowanych pierwotnych mitów, wiadomo było, że jasne bóstwa przebywają w Wyraju, a mroczne w Nawii, jak ktokolwiek będący przy zdrowych zmysłach mógł sądzić, że dany bóg mieszka w swoim drewnianym lub kamiennym wizerunku? Oprócz czarowników i kapłanów także społeczna elita (lokalni władcy, arystokracja plemienna) musiała zdawać sobie sprawę z rangi czczonego przez ich społeczność symbolu w postaci podobizny bóstwa, jednakże odprawianie przed nim obrzędów było oddawaniem hołdu konkretnej kosmicznej mocy wyobrażonej przez ów posąg, nie zaś samemu posągowi. Kościół katolicki zresztą postarał się z czasem dać ekwiwalenty ludowi pozbawionemu zakazanych symboli: świątynie nowej wiary budowano na miejscu dawnych obszarów kultowych, posągi bożków zastępowano kapliczkami, „świętymi” obrazami i „cudownymi” figurami, a talizmany i amulety zostały zamienione na krzyżyki i medaliki.

Egzystencja Słowian nie była oparta na ciągłym dążeniu wzwyż, na przykład ku zbawieniu, lecz polegała na współgraniu z przyrodą i dostosowaniu się do jej naturalnego rytmu przemian. Życie, zarówno pojedynczego człowieka, jak i całych ludów, przypominało wiecznie obracający się kołowrót, którego osią było Drzewo Świata z korzeniami w Nawii i koroną w Wyraju. Koncepcja ta nie oznaczała wszakże stagnacji: kołowrót dziejów bezustannie się kręcił zgodnie z rytmem kolejnych pór roku, a więc oznaczał ciągłą powtarzalność dziejów, w trakcie których każdego roku świat najpierw powstawał na wiosnę, a potem zamierał w zimie. „Pogański” Słowianin nie dążył zatem do przebudowania życia na ziemi, gdyż byłoby to z jego punktu widzenia działaniem bezcelowe, skoro i tak wszystko na świecie toczyło się swoim torem. Dodajmy, że był to światopogląd zdecydowanie optymistyczny. W mitach słowiańskich brakowało wyraźnej zapowiedzi ostatecznej

katastrofy świata, gdyż za takową nie można uznawać zimowego zamierania życia. Przeważała wizja cykliczna, skoro nawet najniebezpieczniejszy ze wszystkich demonów, domniemany Czarnobóg, uwięziony w otchłani i sukcesywnie rozkuwający się z łańcuchów, zostaje za każdym razem ponownie skuty, by rok wegetacyjny mógł się zacząć na nowo. Słowiańskim bogom i półboskim witeziom brakuje rysu posępnego fatalizmu charakterystycznego chociażby dla herosów germańskich z ich tragicznym dynamizmem wiodącym ku nieuchronnej zagładzie (czasem samozagładzie). Przeciwnie, słoneczni bohaterowie ruskich bylin zwykle pokonują moce chaosu (takie jak żmij, władca dzikich hord, zły czarownik) i własne słabości, zdobywają upragnione cele i niemal zawsze wychodzą zwycięsko z najgorszych opresji, by potem żyć długo i szczęśliwie – jak w baśni.

Dla naszych przodków było oczywiste, iż wszystkie plemiona słowiańskie czczą tych samych bogów, tylko w różnych plemiennych wcieleniach („Perun jest mnogi”, jak tłumaczył ruski wołchw, czyli czarownik, chrześcijańskiemu kronikarzowi). Jeśli Słowianin wybierał się do Arkony złożyć ofiarę Świątowitowi, nie miał żadnych oporów, by po drodze w innych sanktuariach również złożyć hołd miejscowym bóstwom i z pewnością nie upierał się, że tylko jego bóg jest „prawdziwy”. Imiona czy różnice w lokalnych obrzędach były więc z takiego punktu widzenia sprawą drugorzędną i mało istotną. Świątowit, Radegast, Perun czy Swaróg mogli być awatarami tej samej kosmicznej energii. Podobnie w Imperium Rzymskim kapłani nie spierali się, kto ważniejszy: Zeus czy Jowisz. Nie czynili tego, gdyż doskonale zdawali sobie sprawę, że chodzi o tego samego boga. Pozorny pluralizm oznaczał w istocie „jedność w wielości”.

Reasumując, życie „poganina” było życiem bez kanonu i bez dogmatu. Nie dążył do duchowej przemiany, pragnął jedynie jak najpełniej wykorzystać dane przez bogów zdolności dla pożytku własnego i swego otoczenia. Nie czuł także potrzeby roztrząsania subtelności doktryn teologicznych, skoro w jego wierzeniach takowych

brakowało lub nie miały one znaczenia dla osobistej praktyki religijnej. Podobnie jak dawni wyznawcy politeizmu, także dzisiejsi neopoganie na pytanie, czy ich bóg istnieje, mogą odpowiedzieć wzruszeniem ramion i wskazać na Słońce, Księżyc, drzewo lub ziemię. Nie muszą zastanawiać się nad istotą natury boga, którego czczą, skoro, jak przekonująco wykazali Aleksander Gieysztor i Andrzej Szyjewski, nasi słowiańscy bogowie byli uosobieniem kosmicznych potęg i żywiołów natury, a także konkretnych aspektów ludzkiej egzystencji. Dlatego tak ważny był (i jest) dla każdego „poganina” osobisty, niemal intymny kontakt z wybranym bóstwem, nawiązujący do pradawnych magicznych tradycji i obrzędów, ponieważ określał nierozzerwalną jedność człowieka z otaczającą go naturą.

PRZEDCHRZEŚCIJAŃSKA OBYCZAJOWOŚĆ

Słowiańskiemu poganinowi obce było także pojęcie grzechu, wszczepiane wyznawcom religii monoteistycznych. Nie ciążył na nim również misjonarski obowiązek „nawracania” ani narzucania innym (prośbą ani groźbą) swoich przekonań, wielobóstwo bowiem zakłada otwartość, tolerancję religijną i poszanowanie dla cudzych wierzeń. Wiąże się z tym odrzucenie absolutnego dobra i zła, ponieważ słowiańscy bogowie jako uosobienia sił natury nie reprezentowali takich absolutów, co więcej tego typu pojęcia są niezgodne z prawami działającymi w przyrodzie. Zgodnie z takim światopoglądem nie istniał zakres pojęciowy, w którym na przykład seks uważano by za nieczysty czy grzeszny, podobnie jak nie występowały tabu dotyczące jedzenia – nie znano charakterystycznych dla judaizmu czy islamu zakazów spożywania „nieczystego” mięsa, nie znano też chrześcijańskich postów, których wprowadzenie w trakcie chrystianizacji musiało się wydawać naszym przodkom niezrozumiałe, a nawet niedorzeczne. Naturalnie brak tego typu ograniczeń nie oznaczał całkowitej swobody jednostki ani tym bardziej anarchii czy seksualnego rozpasania, gdyż przed tym wystarczająco chroniły społeczność prawa

plemienne. Słowianie, jak inne pogańskie ludy, nie potrzebowali żydowskiego dekalogu, by uważać kradzież, morderstwo czy cudzołóstwo za karygodny uczynek. Chrześcijaństwo nie miało zatem monopolu na moralność, gdyż nie ono ją stworzyło, co najwyżej zmodyfikowało i dostosowało do własnych zasad, po czym narzucało kolejnym ludom w trakcie ekspansji religijnej.

Z pewnością Słowianie dalecy byli od tego, by prześladować kogokolwiek z powodu różnic religijnych, gdyż w tych sprawach byli otwarci i tolerancyjni (o tej dobrej tradycji dawno temu niestety zapomnieliśmy). W ogóle nie lubowali się w okrutnych kaźniach, a najgorszą karą dla złoczyńcy, który łamał prawo zwyczajowe, było, jak przypuszczają naukowcy, wygnanie, czyli pozbawienie oparcia w rodzie i plemienu. Ktoś taki znajdował się poza nawiasem społeczeństwa, zostawał wyrzutkiem, banitą. W praktyce najczęściej oznaczało to śmierć skazańca, zwróćmy jednak uwagę, że dzięki wyrokowi wygnania społeczność przedchrześcijańska nie kalala swojej świętej ziemi krwią przestępcy zasługującego na śmierć. Dlatego nie mówimy w tym wypadku o humanitaryzmie dawnych praw, a o religijno-magicznej ochronie własnej wspólnoty i jej ziemi przed rozlewem niegodnej krwi, co mogłoby spowodować nieszczęście czy nieurodzaj.

A jaka u Słowian była pozycja społeczna kobiet, które po wprowadzeniu chrześcijaństwa stały się praktycznie całkowicie zależne od mężczyzn? W czasach przedchrześcijańskich pozycja niewiast była znacznie lepsza, o czym wyraźnie wspominają źródła z epoki. Na przykład kobiety „wiedzące”, a zatem wiedźmy i wieszczki, były niezwykle szanowane i poważane za swą magiczną moc i umiejętności lecznicze. Niektóre na pewno pozostawały też w jakiejś formie opiekunkami bóstw kobiecych, wątpliwe jednak, aby wykształciła się u naszych przodków warstwa typowych kapłanek – jak się zdaje, pozycję tę mogli zajmować tylko mężczyźni. Kobiety wiedzące, pełniące być może rolę świątynnych służek, strażniczek świętego ognia lub tylko wiejskich guślarek bądź znachorek, nie musiały żyć w celibacie i nie

przypominały zakonnic, jak przedstawiali to dawniejsi pisarze (choćby Kraszewski w *Starej baśni*). W ogóle do momentu zamążpójścia dziewczęta cieszyły się dość dużą swobodą, nie uważano bowiem przedmałżeńskiego seksu za „grzech”, choć oczywiście już niewierność małżeńska była surowo karana. O niepośledniej roli kobiet w słowiańskich społecznościach świadczy także fakt, że mogły dziedziczyć po mężach, mogły też po ich śmierci samodzielnie zajmować się majątkiem, w czym były równe męskim sąsiadom, jak o tym świadczy przykład pewnej bardzo zamożnej wdowy z Pomorza, o której wspominają hagiografowie świętego Ottona z Bambergu. Podobnie jednak jak u innych ludów indoeuropejskich, niewiasty nie miały nic do powiedzenia na wiecach wojowników, nie miały zatem bezpośredniego wpływu na politykę i prawo.

Kto zaś miał wpływ na politykę? Tylko dorośli i wolni mężczyźni, dlatego zgromadzenia plemienne określa się jako wiece wojowników. Wola plemienia wyrażała się głównie poprzez uchwały wiecu, a więc instytucji jak najbardziej demokratycznej, przy czym z naszego punktu widzenia była to demokracja ograniczona wiekowo i płciowo. Pierwotnie wiec był instytucją nadrzędną wobec wodzów wybieranych podczas zawieruchy wojennej. Z czasem pozycja wodzów wzmocniła się, stali się książętami, zepchnęli zgromadzenie plemienne na dalszy plan, a w czasach chrześcijańskich jeszcze powiększyli zakres swojej władzy korzystając z zachodnioeuropejskich wzorców feudalnych.

Z tego pobieżnego wyliczenia cech charakteryzujących społeczności przedchrześcijańskich Słowian widać, że nasi dalecy przodkowie doskonale znali takie wartości jak tolerancja, demokracja czy swoboda obyczajowa, a kobiety posiadały całkiem wysoką pozycję we wspólnocie.

MIT I WYOBRAŹNIA

Doprawdy jest tragicznym paradoksem, że przeciętny Polak znacznie więcej wie o

mitach greckich albo celtyckich niż o rodzimej mitologii. Winę za to ponosiły i ponoszą między innymi wadliwy system edukacji, wielowiekowe wykorzenianie przedchrześcijańskich tradycji i wszczepiony nam kompleks niższości wobec innych kultur. Zniszczono świątynie dawnych bogów, porąbano ich posągi, zlikwidowano lub przetworzono obrzędy na ich cześć, a jednak pamięć o nich sekretnie przetrwała w zbiorowej podświadomości pod postacią baśniowych i obrzędowych archetypów w skarbnicy, jaką jest własna tradycja etniczna. Bogowie Słowian, by ożyć w naszej wyobraźni, nie potrzebują bogatych przybytków ani skomplikowanych rytuałów. Ich prawdziwą świątynią jest cała otaczająca nas przyroda (dlatego Chodakowski nawoływał: „Wpatrzmy się tylko w ziemię naszą. Może Słowianie zostawili ją dla nas jako najtrwalszą księgę...”) i ludzka wyobraźnia.

Jest rzeczą oczywistą, że przystępując do literackiego opracowania wyboru słowiańskich opowieści o charakterze mityczno-baśniowym – wyboru oczywiście subiektywnego i będącego jedną z możliwych wizji owych w dużej mierze zaprzepaszczonych mitów, o czym już pisałem – czerpałem z różnych źródeł oraz opracowań. Fundamentalna była oczywiście książka Aleksandra Gieysztora, w której autor, posługując się Dumézilowską teorią podziału boskich funkcji, stworzył spójną i przekonującą koncepcję słowiańskiego panteonu i na szerokim tle etnograficznym zrekonstruował część mitów pierwotnych. Równie ważna była *Religia Słowian* Andrzeja Szyjewskiego, który z kolei skupił się na słowiańskiej wizji świata i filozofii życia. Obie te prace doskonale się uzupełniają, obie też, co warte podkreślenia, nie pretendują do pozycji dzieła przedstawiającego kanoniczny obraz wiary Słowian – i w tym samym duchu napisana jest niniejsza książka. Z kolei za podstawę do odtworzenia obrazu przedchrześcijańskiej obyczajowości i obrzędowości posłużyły mi dwie pozycje: klasyczna *Kultura ludowa Słowian* Kazimierza Moszyńskiego i niedawno opublikowana *Magia ochronna Słowian* Joanny Wawrzeniuk. Korzystałem też z ustaleń dwóch wymienionych wcześniej rosyjskich badaczy, Wiaczesław

Iwanowa i Władimira Toporowa, których rekonstrukcje mitów słowiańskich na podstawie staroruskich bylin są niezmiernie ciekawe. Przydatne okazały się także wnioski wyciągnięte przez polską uczoną Wandę Budziszewską z badań nad bałkańskimi mitami lunarnymi. Idąc śladami tychże badaczy, pokusiłem się o samodzielne wyłuskiwanie prasłowiańskich motywów i wątków mitycznych z różnych przekazów ludowych, przy czym inspirację co do stylu języka i sposobu konstruowania narracji czerpałem głównie z *Bajarza polskiego* Antoniego Glińskiego i *Baśni rosyjskich* Aleksandra Afanasjewa.

Korzystając z tak różnorodnego materiału, największy wysiłek włożyłem w połączenie wielu niepasujących do siebie elementów, aby słowiańska saga przedstawiała się czytelnikom jako w miarę jednolita i spójna całość. Pewnych kwestii postanowiłem nie rozstrzygać ostatecznie, na przykład zagadki podwójnej, a być może nawet potrójnej tożsamości wielkiej pramatki Mokoszy i jej niejasnych związków z Marzanną

/Dziewanną. Niedopowiedzenia czy wręcz pewne nielogiczności złożyłem na karb przyjętej mityczno-baśniowej konwencji, bo ostatecznie sagi skandynawskie czy legendy arturiańskie także są pełne różnego rodzaju niekonsekwencji. Dlatego bajarz, będący narratorem opowieści, w pewnym momencie przestrzega słuchaczy, by nie próbowali zgłębiać swoim ograniczonym ludzkim umysłem tajemnic nieśmiertelnych bóstw.

Nierzadko zmuszony byłem uzupełniać luki w mityczno-baśniowych historiach własną literacką fantazją, co parokrotnie zaznaczam w krótkich omówieniach dołączonych do każdej opowieści. Wyobraziłem sobie słowiańskiego bajarza żyjącego pod koniec X wieku i opowiadającego mity grupie młodych słuchaczy wywodzących się z jakiegoś plemienia Słowian połabskich. Spotkanie to mogło mieć miejsce chociażby na wyspie Ranów (nazywanej też Rugią) w pobliżu sławnego przybytku Świętowita w Arkonie, która to świątynia zostaje w toku historii parokrotnie

wspomniana. Celowo nie określiłem konkretnych ram czasowych „realnej” epoki życia bazarza, jednak z tego, co sam mówi, możemy wywnioskować, iż ówczesny świat słowiański zagrożony jest ze wszystkich stron inwazją chrześcijańską, stąd pojawiające się parokrotnie w tekście aluzje do niemieckich intruzów czy przemian w obrzędach pogrzebowych na Rusi.

Bajarz jest człowiekiem bywałym, jak sam o sobie mówi, przewędrował kawał nie tylko słowiańskiego świata, toteż wplątuje do opowieści rozmaite motywy wędrowne, pochodzące z innych przedchrześcijańskich tradycji (miedzy innymi pruskiej, ugrofińskiej, germańskiej), zasłyszane w trakcie dalekich wędrówek. W dniach kulturowego zamętu, czasach głębokich zmian społecznych i obyczajowych w środkowoeuropejskim tyglu plemiennym, w epoce przemijania dawnego świata i tworzenia na jego gruzach nowego, właśnie taka synkretyczna wersja pradawnych słowiańskich opowieści wydaje mi się najbardziej prawdopodobna. Nie sądzę, by wędrowni bazarze zbyt dbali o „czystość etniczną” historii, które opowiadali – pochodzenie ich poszczególnych elementów starają się określać dopiero współcześni naukowcy. Celem bazarzy – tak samo jak celtyckich bardów czy skandynawskich sagamadów i skaldów – było tworzenie takich opowieści oraz pieśni, które oprócz ważnych treści mitycznych i społecznych zawierały jak najwięcej atrakcyjnych fabularnie elementów, dlatego nie wahali się włączać do nich niedawno zasłyszanych motywów obcych.

Na ile moja wizja jest wiarygodna, pozostawiam ocenę życzliwym czytelnikom, z nadzieją, że lektura tego zbioru nie przyniesie rozczarowania, lecz wzbudzi w nich ciekawość, która skieruje go do pogłębienia wiedzy o korzeniach własnej kultury.

Witold Jabłoński

¹ Patrz bibliografia.

² Używam terminów „poganie, pogański” z braku lepszych skrótowych określeń ogółu przedchrześcijańskich

religii politeistycznych, w pełni zdając sobie sprawę z pejoratywnego wydźwięku tych terminów.

KSIĘGA 1

ŚWIT BOGÓW

OPOWIEŚĆ PIERWSZA

O POCZĄTKU ŚWIATA

Sława, przyjaciele! Siądźmy u ognia i prawmy gawędy z odległych czasów o naszych bogach i pierwszych ludziach.

Posłuchajcie najpierw o prapoczątku: o tym, jak powstał świat.

Świadkiem owych przedwiecznych zdarzeń nie był żaden śmiertelnik. Nieśmiertelni przekazali opowieści o tych dniach najstarszym ludziom, a dziadowie i ojcowie swoim synom i wnukom. Tak właśnie, powtarzane z ust do ust, z pokolenia na pokolenie, przetrwały do dziś.

Starców często wszakże zawodzi pamięć, toteż niejeden plątał wątki wysnute ze wspólnego kłębka, a wielu dodawało od siebie nowe, podszeplięte przez Welesa, boskiego ojca bazarzy, zsyłającego im twórczy zapach. Bazarze zaś, wędrując po świecie – od mroźnych wysp Północy aż po stepy Rusów – i z niejednego pieca chleb jedząc, nasłuchali się przy ogniskach historii opowiadanych przez innych pieśniarzy: bardów, skaldów, lirników. Włączyli je w tok swoich bająn, ubarwiając je i urozmaicając. Takie jest prawo opowieści – swobodnej i równie zmiennej jak myśl ludzka. Nie dziwcie się więc i nie gniewajcie, jeśli ja także czasem uzupełnię własnymi wątkami wielobarwny, tkany od pokoleń kobierzec pradziejów, a może i coś przy tym poplączę. Wybaczcie, jestem już starym bazarzem, a plątać się w opowieściach jest przywilejem starców.

Nie ma bowiem historii prawdziwych bądź fałszywych, są jedynie żywe lub martwe. Żyją, dopóki ktoś chce ich słuchać. Wszystkie opowieści kryją w sobie wiele znaczeń, toteż każdy, kto umie słuchać, może w nich odnaleźć prawdę o samym sobie.

Zacznijmy od załączka, czyli od jaja.

Na początku nie było nieba ani ziemi tylko bezbrzeżne sine morze okryte ciemnością. Nie było góry ani dołu, żadnego przed ani potem. W otchłannych wodach prabytu spoczywało nasienie naszego świata, zarodek życia. Złote jajo w lodowatej, wszechobecnej pustce. Jajo trwające mocą kryjącego się w nim żaru.

Skąd się tam wzięło, pytacie? Jaka przedwieczna istota zniosła je i pozostawiła samemu sobie? Nie wiem i wątpię, aby nawet bogowie wiedzieli. Może była to wielka Żar-Orlica, matka wszystkich Żar-Ptaków?... Dajmy spokój daremnym dociekaniom. Musi nam wystarczyć, że było jak było, oto jedna z tajemnic prawieku.

Jako rzekłem, jajo skrywało w sobie zarodek istnienia, boską iskrę tłącą się początkowo nieśmiało, lecz w niewyobrażalnej dla nas ćmie upływającego czasu rosnącą i nabierającą wciąż twórczej mocy. Życie ogromniało i potężniało, nasilało swój żar na przekór otaczającej je zewsząd mroźnej nicości, aż jajo przybrało od tego czerwonożłotą barwę. Z małej iskiereki powstał wszechmocny ogień, który piorunowym błyskiem rozsadził od środka skorupę i sprawił, że rozprysła się na parę części. Największa pofrunęła nad wodami i zawisła, tworząc nieboskłon, druga zatonęła w oceanicznej głębi, wyściełając dno morskie, pierwocinę naszej ziemi. Kilka pomniejszych okruchów kołysało się, wirując niespokojnie na wzburzonych falach, które wznosiły swe spienione szczyty ku niebu. Wtedy właśnie pojawiły się góra i dół, a także następstwo zdarzeń: początek, dążenie, przemiana, cel.

Powiadają, że bóg, który wyklął się z jaja, wyglądał początkowo jak olbrzymi białopióry orzeł albo żyjący na północnych wyspach białożór, dlatego nazywany jest Białobogiem. Szybował samotnie po bezkresnym pustym niebie, wypatrując kogokolwiek lub czegokolwiek. Długo jednak nie widział niczego poza kopułą niebios i bujną morską tonią zasnutą pasmami gęstej, szarej mgły. Zaczął tracić nadzieję, gdy nagle dostrzegł ciemny kształt przemykający pod powierzchnią morza. W pierwszej chwili sądził, że widzi własne odbicie w lustrze wody, gdy jednak obniżył lot, zrozumiał, że czarny cień porusza się samoistnie pod przejrzystą taflą i

tylko naśladowuje jego ruchy, być może nawet lekko je przedrzeźniając.

Serce Białoboga zabiło żywiej, gdy poczuł, że spotkał istotę pokrewną, choć odmienną, ale może równą mu mocą i rozumem. Radość białego ptaka nie trwała długo, bo kiedy zawisł tuż nad wodą, mroczny cień zatrzepotał niespokojnie pod powierzchnią, jak ryba umykająca przed skrzydlatym łowcą, i zanurkował, niknąc w głębinach nieprzeniknionych nawet dla orlich oczu.

Białobóg, rozczarowany i zasmucony porażką, przysiadł na jednej z miotających się na wodzie skorupki ogromnego jaja. Mocą boskiej wyobraźni i wiedzy wyczarował dla niej postać złotej łodzi, sam zaś przybrał mniej drapieżne, bardziej człowiecze kształty, które, jak miał nadzieję, nie przepłoszą następnym razem wodnego brata. Niechby nawet trochę ułomnego, skoro okazał strach, wszakże będącego jedynym stworzeniem w przygnębiającej pustce zdolnym przełamać boską samotność. Bóg pragnął działać, tworzyć, by wypełnić tę pustkę, lecz potrzebował pomocnika i towarzysza, gdyż chciał dzielić się z kimś osiągnięciami oraz martwić niepowodzeniami. Postanowił płynąć tak długo, aż odnajdzie nieznanego, choćby miało to trwać całą wieczność.

Powiadają nasi bajarze: „Prędko dobra baśń się baje, nie tak prędko rzecz się staje”. Nie wiemy, ile czasu trwało, aż Białobóg odszukał mrocznego brata. W końcu zobaczył, że z ubitej falami morskiej piany wyłonił się zarys znanej mu postaci.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Weź mnie do łódki, a ci powiem – odrzekł tamten.

Ponieważ na chwilę tej opowieści, by wrócić do początku, czyli do jaja.

Rozumiecie już chyba teraz, czemu w Jare Gody – ten szczęśny czas, gdy dni stają się dłuższe i bardziej świetliste, a drzewa oraz kwiaty wypuszczają pąki i pięknie zakwitają – warzymy kraszanki w wodzie z cebulą, by nabrały czerwonożłotego koloru. Czerwień to krew i ogień. Krew jest źródłem życia, oznacza więc dla nas istnienie, ale też przemijanie. Wiąże się z ludzkimi narodzinami, jednak również ze

śmiercią. Złoto zaś jest barwą słońca i bogactwa. Czerwonozłote jajo odwraca uroki, przynosi szczęście, dlatego chowamy je pod progiem nowych chat, składając hołd promiennemu bogu, który daje nam ciepło oraz chroni domostwa przed piorunami i nawałnicami. Dziewczęta ofiarowują kraszanki Matce Ziemi, by zapewniła im udane zamążpójście, zaś mężatki czynią to samo w nadziei na liczne potomstwo, gdyż każde jajo ma w sobie zarodek nowego życia i jest dla nas znakiem odrodzenia. Wydrapujemy na kraszankach ryty odradzającego się słońca i błyskawicy, by bogowie uwolnili kryjące się pod barwną skorupką siły rozrodcze, a wiosenne burze i deszcze przyniosły bogate plony. Słońce wschodzi znad wód i chowa się w nich wieczorem jak pierwsze złote jajo, dlatego na wiosnę wróżymy, tocząc kraszanki po ziemi, dlatego też nasi wieszczkowie nakazują: „Dokąd się jajo potoczy, tam idź”. I ruszamy w dalszą życiową podróż wskazaną drogą, ufni w mądrość i wolę bogów.

Powitanie „Sława!” (przywodzące na myśl rzymskie „Salve!”) używane było przez Słowian Wschodnich i stało się popularne w kręgach słowianofilskich w XIX wieku. Przetrwało do dzisiaj na Ukrainie, aczkolwiek wzbudza negatywne skojarzenia, jako że było hasłem rozpoznawczym tak zwanych banderowców. Brak pisemnych dowodów na stosowanie go także przez Słowian Zachodnich nie świadczy rzecz jasna, iż nie mogło być używane także wśród plemion z terenów polskich lub połabskich. Etnograf Kazimierz Perkowski sugerował jakiś czas temu na swojej stronie sieciowej BogowiePolscy.net, że powitanie Słowian żyjących na naszych ziemiach mogło brzmieć „Chwała!”, wszakże przytoczone przezeń argumenty nie są w pełni przekonujące. Poza tym autor niniejszego zbioru uważa, że okrzyk „Sława!” brzmi zdecydowanie zgrabniej i logiczniej niż „Chwała!”, natomiast ten drugi wydaje się raczej okrzykiem triumfu, na przykład po wygranej bitwie. Jak jednak było naprawdę, nigdy zapewne nie rozstrzygniemy wobec niedostatku źródeł.

Mit o kosmicznym jajku, obecny w wielu tradycjach indoeuropejskich, został na gruncie słowiańskim wnikliwie przeanalizowany przez moskiewskiego filologa i kulturoznawcę

Władimira Toporowa, który odnalazł jego ślady w licznych rosyjskich baśniach. O tym wątku mitycznym wspomina też w swojej książce Religia Słowian krakowski religioznawca Andrzej Szyjewski, przytaczając różne warianty opowieści o prapoczątku.

O WYŁOWIENIU ŚWIATA

Białobóg i jego mroczny brat płynęli łódką po niezmiernych wodach. Jasny bóg ukreślił ze swego złotego węża gromową żerdź i posługiwał się nią jak wiosłem. Cały czas obserwował spod oka towarzysza, którego wygląd był zaiste niezwykły. Jedni powiadają, że miał bycze rogi i całe ciało porośnięte gęstym czarnym włosem. Inni mówią, że miał węzowy ogon i płetwiaste tylne kończyny. Jeszcze inni twierdzą, że przypominał wielkiego czarnego kruka. Wszyscy mają słusze i zarazem niesłusze, bóg ten bowiem, podobnie jak jego jasny brat, był zmiennokształtny, mógł zatem przyjmować taką postać, jaka mu odpowiadała.

Białobóg zdawał sobie sprawę, że nie może się wyprzeć pokrewieństwa z owym cudakiem. W jego twarzy widział żywy obraz własnego oblicza, chociaż była to podobizna przyćmiona niczym światło dnia odbite w ciemnym lustrze, zniekształcona, jakby falowała na zmarszczonej powierzchni wody. Dlatego w myślach nazwał towarzysza Czarnobogiem, a imię to przyłgnęło do owej istoty i raz na zawsze określiło jej naturę.

Mroczny, nie mogąc znieść przeszywającego spojrzenia jasnych oczu brata, zaczął się chełpić:

– Niby jesteśmy bliźniakami, lecz tak naprawdę ja jestem starszy. Ciebie zrodziła iskra, mnie zaś wyhodowała wcześniejsza ciemność. Poza tym każde światło, obojętnie jak mocno by nie płonęło, wypali się prędzej czy później. Ciemność jest starsza od jasności, przezorniejsza i bardziej cierpliwa. Czekaj. Wie, że w końcu zwycięży, ponieważ jest wieczna i wszechogarniająca. Istniała, nim zrodziła się światłość, trwa nadal poza jej obrębem i znów niepodzielnie nastanie po końcu wszystkiego. Dlatego też ja, jej nieodrodny syn, jestem od ciebie mądrzejszy i

potężniejszy.

Białobóg słuchał słów brata z niezadowoleniem, nie lubił bowiem próżnych przechwałek. Liczyły się dla niego czyny, nie słowa. Z milczącą przyganą potrząsnął głową, sprawiając, że srebrne włosy strzeliły skrami boskiej potęgi, które rozbiegły się po całej czuprynie i otoczyły głowę poświatą. Jedna z nich rozpała nową myśl, na tyle ciekawą, że oczy boga zabłyśły jak skwarne słońce. Tak mocno, iż Czarnobóg musiał przysłonić swe źrenice kosmatą łapą, by całkiem nie oślepnąć.

– Skoro przechwalasz się, że możesz wszystko uczynić – powiedział spokojnie jasny bóg – i sądzisz, że jesteś mocniejszy ode mnie, przynieś, proszę cię, braciszku, garstkę piasku z dna morza.

– Tylko tyle? – zawołał lekceważąco Czarnobóg, śmiejąc się rehotliwie i wzruszając włochatymi barami. – Głupstwo, zrobię to bez trudu. Przyniosę znacznie więcej.

– Wystarczy odrobinka. Pamiętaj jednak – dodał niby od niechcienia świetlisty pan, grożąc lekko gromowym kosturem – byś biorąc ją powiedział: „Czynię to z mocą Białoboga i moją”, inaczej nic nie zdasz.

– Dobrze, zapamiętam. – Przytaknął mroczny brat. – Zobaczysz, jak szybko się sprawię.

We własnej postaci zanurkował w głębinę. „Niemądry ten mój brat, choć uważa się za bardzo chytrego – rozmyślał płynąc. – Myśli, że nie wiem, o co mu chodzi. Chce sam stworzyć stały ład, aby władać nim niepodzielnie, ja zaś mam być u niego na posyłki. Przechytrzę go: sam rzucę czar i będę władał ziemią”.

Zagarnął z dna garść mułu, mamrocząc: „Czynię to z mocą moją”. Kiedy wypłynął na powierzchnię, parskając i prychnąc jak prawdziwy wodny bies, zobaczył, że piasek przeciekł mu przez pazury i nie zostało nawet ziarenko.

– Nie udało się za pierwszym razem – warknął gniewnie. – Może uda się za drugim.

Zamienił się w potężnego węża morskiego i jeszcze szybciej niż poprzednio zanurzył w głęboką toń. Po raz drugi zaufał tylko swojej mocy. Tym razem zaczerpnął piach do ogromnego pyska. Krztusząc się nim i dławiąc, pomknął ku górze. Prawie się przy tym udusił, toteż wypuł część mułu po drodze. Gdy pojawił się na powierzchni, okazało się, że reszta piasku również wyciekła z paszczy przez szczyrby między zębami i nic nie zostało.

– Przeliczyłem się z siłami – zasyczał wściekle, uznając się za pokonanego. – Niech będzie, jak on chce. Ale gra się dopiero zaczyna!

Za trzecim razem przybrał postać ptaka wodnego, dużego czarnego nura. Śmignął na dno, jakby gonił smakowitą rybę. Skrzecząc niechętnie słowa podsunięte przez brata, nabrał pełen dziób i wstrzymując oddech, wrócił szybko z mrocznej głębi ku powietrzu. Pofrunął nad powierzchnią wód i złożył garstkę mułu na dłoni towarzysza. Drobną cząstkę ukrył jednak pod ptasim języczkiem, chcąc mieć z tego coś wyłącznie dla siebie. Wydał potem zwycięski klangor, choć odgłos ten przypominał raczej szyderczy śmiech lub psie ujadanie.

– Widzisz, bracie – zaskrzeczał. – Niedługo to trwało.

– Rzeczywiście, niedługo. – przyznał poważnie Białobóg, zwierając prawicę i wyciskając wodę z mułu. – Niedługo trwało, abys pojął, że jasność i ciemność nie mogą bez siebie istnieć. Nasze dziedziny uzupełniają się wzajem, a czasem też przenikają i współdziałają. Teraz pora, byśmy zaczęli wspólne dzieło stworzenia.

– Jestem gotów – zakrzyknął ochotnie Czarnobóg, znów odmieniając postać, lecz zachowując muł pod językiem.

Białobóg cisnął garść prawie suchego piasku na wodę, mówiąc:

– W imię Białoboga i Czarnoboga, ciebie, Ziemi, poczynam!

Morze wzburzyło się, zaszumiało i, jakby urażone, opieszale cofnęło się z miejsca, gdzie okruchy piachu zaczęły się scalać i rozrastać. Ustąpiło w końcu, odsłaniając wypiętrzający się łąd. Powstało niewielkie zielone wzgórze o łagodnych stokach, z

łachami złotego piachu przy brzegach.

– Nasza praziemia – stwierdził z satysfakcją Białobóg.

– Phi, niezbyt imponująca ta wyspa bogów. – Oceniał krytycznie mroczny brat. – Mała, ciasna, ledwie pomieści nas obu. Pusta i jałowa, jakby martwa – podjął po chwili coraz bardziej chrapliwie, bo muł pod językiem zaczął rosnać tak samo jak łąd na powierzchni.

– Od czegoś trzeba zacząć – stwierdził jasny bóg, wzruszając ramionami. – To pierwszy stały łąd, na którym dziś odpoczniemy po twórczych trudach. Ale co ci dolega, mój bracie? – spytał z udaną troską, dobrze bowiem znał powód niedomagania towarzysza. – Czy coś cię dławii? Może zazdrość?...

Z całej siły trzepnął mrocznego po karku piorunowym kosturem. Czarnobóg gwałtownie wycharknął duszącą go grudę i strasznie się rozkaszał, aż ziemia od tego drżała, a morze się kołysało. Z mułu, który wypłuł, utworzyły się nagie i ostre skały, a ze śliny rozległe bagniska.

– Dzięki, że wniosłeś do mego dzieła nieoceniony wkład – rzekł Białobóg z kamiennym obliczem, kierując łódź ku wyspie.

– Zawsze to jakaś odmiana – wykrztusił hardo brat, powoli dochodząc do siebie.

– Teraz spoczniemy, bo obaj jesteśmy znużeni – zarządził Białobóg, kiedy zeszli na brzeg. – Jutro czeka nas dużo pracy.

– Zgadza się, czas na sen. – Przytaknął skwapliwie ciemny bóg. – Ty tu rządzisz, Biały – mruknął ciszej, z goryczą przegranego.

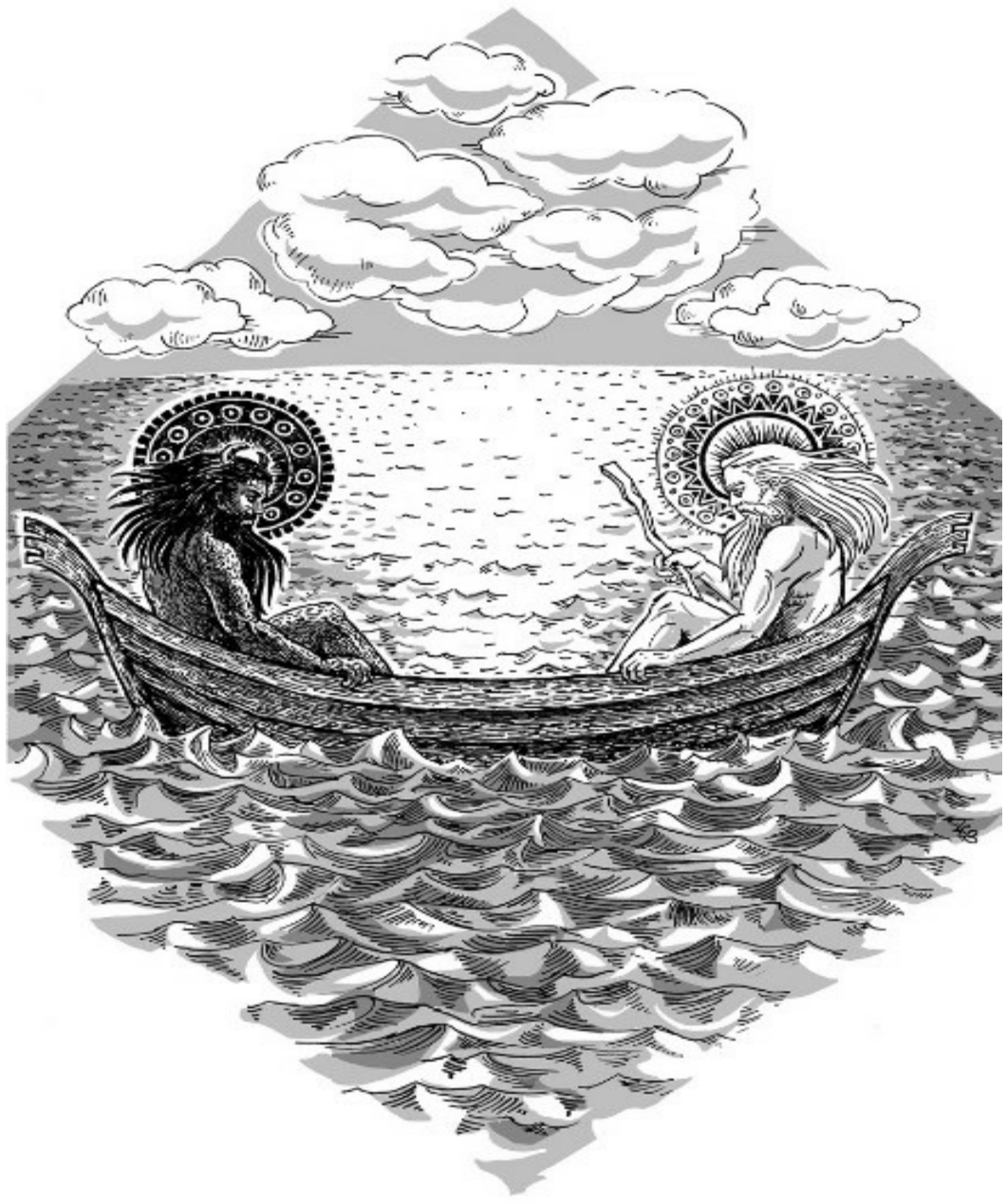
– Słyszałem to, Czarny – rzekł sennie jasny, układając się na wschodniej stronie wyspy, podczas gdy jego brat wybrał zachodnią połowę.

Białobóg zapadł wkrótce w sen sprawiedliwego i mocno spracowanego stwórcy. Śniąc o przyszłych wspaniałościach, które zamierzał powołać do życia, chrapał tak potężnie, że cała wyspa trzęsa się w posadach, tymczasem mroczny przewracał się z boku na bok, nie mogąc usnąć, nękania czarnymi myślami.

Wiedziecie teraz, jak powstała nasza ziemia. Wyłoniła się z dna morskiego, a z owego pierwszego morza wyszło wszelakie życie. Słuchając kolejnych opowieści, dowiedziecie się także, skąd na niej tak wiele śmierci i zniszczenia. Słusznie się domyślacie: z niskiej, niegodnej bogów zawiści. Zazdrość to mroczna ścieżka, fałszywa droga. Wystrzegajcie się nią podążać, bo prowadzi jedynie do gniewu, cierpienia i przeklinania niedobrych losów. Nigdy nie próbujcie zaszkodzić ani podstawić nogi lepszym od was, lecz starajcie się ich naśladować, dorównać im w prawości i szlachetności, bo inaczej nienawiść zwróci się kiedyś przeciwko wam.

Posłuchajcie, co działo się dalej...

Powszechną na Słowiańszczyźnie – od Bałkanów po Ukrainę, Białoruś i wschodnią Polskę – opowieść o wyłowionym świecie dogłębnie omówili Joanna i Ryszard Tomiccy w książce o drzewie życia oraz Aleksander Gieysztor i Andrzej Szyjowski w opracowaniach religii Słowian. Czytelników ciekawych naukowej interpretacji tego wątku mitycznego odsyłam do dzieł tych autorów.



O DZIELE TWORZENIA

Czarnobóg miał potężny i przenikliwy umysł, lecz zaćmiony przez zazdrość. Dręczony tym jałowym uczuciem, kręcił się niespokojnie na twardym posłaniu z nieśmiało wychodzących z ziemi szorstkich traw i mchów. Pierwszą noc świata przeleżał nie mogąc spać. Sen nie przychodził, spędzany dodatkowo z powiek gromkim chrapaniem jasnego brata, brzmiącym jak odgłosy szalejącej burzy. Czarny bóg zaczął swoim zwyczajem knuć śmiałe plany i zamyślać, jak stać się jedynym władcą nowego świata.

O nocnej porze, gdy sen jest najgłębszy, lecz nadchodzi wówczas także ukłucie lęku przed rychłym świtaniem i nie zawsze miłym przebudzeniem, Czarnobóg wstał, prychnąwszy jak gniewny byk. Możliwie najciszej podkraść się do śpiącego i wczepiwszy lekko pazury w jego barki, próbował zepchnąć go do wody. Przeliczył się jednak w swych niecnym zamiarach. Tam, gdzie potoczyło się ciało Białego, rodziła się ziemia, tworzyły się nowe lądy, nie pozwalając bogu runąć w morską toń ni nawet tknąć wodnej tafli. Mroczny spychał brata początkowo na wschód, lecz rozrastały się tam jedynie szeroko stepy, niezmierzone nawet sokolim okiem. Zniechęcony, pchnął brata na zachód, gdzie za każdym obrotem rozwijały się kwietne łąki. Zaczął przepychać na południe, a tam tworzyły się wielkie góry i wdzięczne doliny. Rozwścieczony, potoczył ciało na północ – równie bezskutecznie, tyle że dla odmiany jako wynik swych zapędów ujrział majestatyczne, śnieżne szczyty i skute lodem przybrzeżne skały.

Zziajany po daremnym wysiłku i załamany kolejną porażką, mocno potrząsnął ramię jasnego, by go wreszcie obudzić i przerwać nieznośne dla jego wrażliwych uszu chrapanie.

– Wstawaj, bracie, musimy pobłogosławić nową ziemię, która się ciągle rozrasta! – zawołał.

Białobóg rozwarł świetliste oczy, by ujrzeć, że niebo pojaśniało i noc ustąpiła miejsca świtowi.

– Już ją pobłogosławiłem – oznajmił, promiennie uśmiechnięty – gdy nosiłeś mnie w cztery strony świata.

I dlatego w podobny sposób my błogosławimy nasz codzienny wizerunek świata – chleb. Przed odkrojeniem pierwszej kromki kreślimy nożem na bochenku znak krzyża, by naśladować bogów w dziele stworzenia, wyznaczyć cztery strony świata.

Jasny pan wymarzył sobie wiele cudownych dzieł. Nowe kształty przebiegały mu po głowie niczym rój iskier w rozgrzanej kuźni. Ogarnięty twórczym zapalem, zatarł dłonie i rażno wziął się do roboty.

Dla obu istot nastały dni wytężonej pracy. Owładnięty wizjami Białobóg zaczął stwarzać rośliny i zwierzęta. Czarnobóg szedł za nim krok w krok i naśladował brata, usiłując mu dorównać, psuł jednak doskonałość dzieła. Gdy jasny bóg powołał do istnienia wonne kwiaty, mroczny stworzył ciernie. Gdy powstała słodka malina, tuż obok wyrósł piołun. Gdy zakiełkowały pierwsze zboża, wnet zaczęły je oplatać chwasty... Podobnie było ze zwierzętami. Jasny stworzył owce, a mroczny wilki. Jasny pszczoły, mroczny osy. Jasny motyle, mroczny komary. Jasny pożyteczne zaskronce i płazy, mroczny – jadowite żmije i morskie potwory...

Za długo by o tym powiadać, dnia i nocy by nie starczyło.

Tak powstały wszelkie stworzenia, z których jedne budziły w sercu słodycz, inne lęk. Białobóg widział dzieło brata, lecz milczał i nie przeszkadzał towarzyszowi. Od razu pojął swym boskim rozumem, że tak być powinno, by istniała równowaga, bowiem świat musiał pozostać dwoisty w wiecznych zmaganiach jasności z ciemnością. Jasny robił więc swoje i najwyżej zaciskał usta, by nie wymknęły się z nich połajanki.

Jego myśli zajmowało zresztą wtedy coś innego. Im więcej pracował, tym ziemia rozrastała się coraz szerzej, wypierając wody morskie na obrzeża. Rosła i rosła, jak wielki bochen chleba w kamiennym piecu. Morze zaś nadal się cofało, lecz burzyło się przy tym i groźnie huczało, wznosząc spienione fale ku niebu. Białobóg martwił się skrycie, że wodny żywioł, nie znajdując dla siebie miejsca, roztrzaska w końcu kopułę niebios, która runie na ziemię ognistym deszczem, niwecząc dzieło stworzenia. Wówczas wszystko znowu zostałoby zalane przez morze.

Niechętnie przyznając się do przeoczenia ujemnej strony swego boskiego planu, spytał w końcu ostrożnie Czarnoboga, co o tym sądzi. Ten zamruczał tylko wykrętnie, że według niego sprawy dzieją się tak, jak powinny, i nie ma się czym przejmować. Później oddalił się szybko.

Białobóg odprowadził go zdumionym spojrzeniem, podejrzewając, że niepokorny brat, ten wieczny mąciwoda, nie podzielił się z nim całą wiedzą i ukrył coś na dnie swej czarnej duszy. Wysłał więc za nim na przespiegi pszczołę – swe ulubione, gdyż gorliwe i pracowite, dzieło.

Owad szukał jakiś czas podejrzanego zbiega, brzęcząc niespokojnie, wreszcie wypatrzył go na zachodnim krańcu ziemi. Bóg orał ziemię pazurami, żłobiąc od niechcienia górskie wąwozy na koryta i ujścia rzek, niecki dla wielkich jezior i dołki na pomniejsze stawy. Klął przy tym na czym świat stoi, tworząc pierwsze klątwy i przekleństwa.

Właśnie w owych dniach przyplątał się doń mały wilczek, który – choć początkowo odpędzany kopniakami – uparcie wędrował mrocznym śladem, łaszac się i przymilając jak wierny pies w nadziei na ochłapy pańskiego jadła. Czarnobóg, ujęty takim oddaniem, uznał w końcu zwierza za swego towarzysza i karmił surowym mięsem schwytanych stworzeń, ucząc wilka polować. W końcu nawet zaczął z nim cicho gwarzyć.

Pszczola przysiadła na boskim ramieniu i podsłuchiwała, jak ciemny władca mruczy do wilczego kamrata:

– Mój brat nie jest najmądrzejszy ani tym bardziej wszechwiedzący, choć chciałby za takiego uchodzić. Wkrótce zabraknie miejsca dla morza, a wówczas pięknie strop niebiański i nowy wspaniały świat zginie w ogniu i wodzie. Szykuję już drogi, którymi morze wedrze się na ziemię, rozłupie ją wszcz i wzdłuż, a potem wszystko zatopi. Biały nie wie, że wystarczyłoby, aby zakreślił swoim gromowym kosturem krąg wokół wszystkich lądów i powiedział: „Dostyc tej ziemi!”, a zapobiegłby zagładzie. Będzie się miał z pyszna, gdy okaże się, że nie ma dla niego miejsca i musi się zadowolić skrawkiem nieba, ja zaś pozostanę jedynym panem świata!

Pszczółka, zatrwożona tymi strasznymi słowami, czym prędzej zerwała się do lotu, by donieść, co usłyszała. Zapomniała jednak o ostrożności i pozwoliła, by jej skrzydełka głośno zabrzęczały. Czarnobóg usłyszał ten dźwięk i zauważył owada. Klnąc szpetnie, próbował go schwytać, bo zmiarkował, że niepozorna skrzydlata istotka może być szpiegiem brata. Prawie mu się udało – ścisnął niebogę dwoma palcami, zdołała się jednak wymknąć, lekko nakłuwając jeden z opuszków boga swym groźnym żądłem. Mroczny zawył, wypuszczając ofiarę. Ssąc obolały paluch, cisnął za nią przekleństwo:

– Oby ten, kto cię wysłał, jadł odtąd twoje łajno! A gdy kogoś użądłisz, niechaj cię to zabije!

Pszczola, opowiedziawszy o wszystkim swemu panu, nie omieszkała też poskarżyć się na klątwę. Białobóg zmarszczył brwi, chwilę pomyślał, potem włożył w pokiereszowany odwłok dzielnej współpracownicy bożą iskierkę, czym sprawił, że odtąd zaczęła wytwarzać miód nieśmiertelności, którym do dzisiaj sycą się bogowie i poją nim chrobrych witezów na ucztach w Wyraju. Na drugą część klątwy nie zdołał wszakże nic poradzić, bo śmierć jest pisana śmiertelnym istotom.

Nie pytajcie mnie teraz o Wyraj i uczy bohaterów. Opowiem o tym później.

Wszystko we właściwym czasie.

Jasny stwórca uczynił dokładnie tak, jak mroczny brat zdradził wilkowi. Zakreślił gromowym kosturem krąg wokół lądów, a wtedy ziemia przestała rosnać.

Bóg chciał usiąść i odpocząć, gdyż wielce był utrudzony, zrozumiał jednak, że po wytyczeniu granic świata czeka go jeszcze jedno ważne zadanie. Powinien oznaczyć też jego środek, stworzyć oś, wokół której Ziemia będzie się kręcić w nieustannym kołowrocie dziejów.

Stwórca wszedł na górę znajdującą się pośrodku lądu i piorunowym kijem roztrzaskał leżący na szczycie kamień, wbijając laskę w głąb ziemi. Huknęło, zajaśniało, zaszumiało. Wówczas z boskiej laski wyrosło na wierzchołku góry Drzewo Życia – wielki dąb sięgający korzeniami do ziemskich i podmorskich czeluści, gdzie wkrótce, wśród ognia, błyskawic i dymu, miała powstać Nawia. Podczas gdy korzenie Drzewa tkwią pod ziemią, jego konary rozpościerają się na najdalsze krańce niebios, aby zielona korona podtrzymywała nieboskłon. Właśnie tam, pośród najwyższych gałęzi, Białobóg zbudował Wyraj, swoją siedzibę. Strzegą jej Żar-Ptaki, które zajmują się również przynoszeniem przed oblicze swego pana dusz wybrańców. W Wyraju zimują też ziemskie ptaszyny, a powracają do nas na wiosnę, przynosząc powiew odrodzenia.

Drzewo Życia rozrasta się nieustannie i będzie rosnać, dopóki istnieje nasz świat. Jego liście dają tchnienie życia wszelkiemu stworzeniu – dzieje się tak od zarania dziejów aż po dziś dzień.

Zaraz opowiem, co się zdarzyło później, lecz tymczasem przemówię do was, młodzi.

Czcicie i szanujcie święte dęby, w których zawarta jest moc bogów i tkwi duch naszych ojców. Nie pozwalajcie wrażym przybłędom plugawić świętych gajów, nie dozwólcie wycinać dąbrowy obcym ani swoim świętokradcom, lecz sami wycinajcie w pień tych, co ułamią choćby gałązkę i nie okażą należnego szacunku prastarym

konarom. Póki rosną dęby, póki okrywa je soczysta zielen, póty będziemy silni i straszni dla wrogów, a nigdy nie popadniemy w cudzą niewolę. Strzeżmy dębów, albowiem wszystkie są częścią wielkiego Drzewa Życia – wyrosły z niego i są jego synami tak samo jak my, szlachetny Lud Słowa.

Pomnijcie o tym, bracia, wryjcie głęboko w swych sercach, że w dębach jest nasza siła, a bez niej marnie zginiemy. Przepadnie wiara, zapomniani zostaną bogowie, obrzędy i odwieczne zwyczaje. Strzeżcie drzew jak największego skarbu, aby duch ludu nie osłabł, a wówczas ujrzą nas inne plemiona jako wielkich i niezwycięzonych.

Opowieści o rozszerzaniu się świata, o tworzeniu życia na ziemi, o powstaniu i wyglądzie podtrzymującej nieboskłon kosmicznej osi świata – czyli o Drzewie Życia – najobszerniej i najwnikliwiej omówili Joanna i Ryszard Tomiccy w pracy znamiennej zatytułowanej Drzewo życia. Autorzy wykorzystali w swym dziele obfity materiał etnograficzny z niemal całej Słowiańszczyzny oraz dane porównawcze z innych przedchrześcijańskich kultur, jak celtycka czy nordycka (omówili między innymi słynny Yggdrasil, gigantyczny jesion Odyna, drzewo utrzymujące światy niebiański, ziemski i podziemny). Mity o różnych formach axis mundi (rolę owej „osi świata” mogły pełnić drzewa, słupy, wyniosłe góry, drabiny) obecne są w archaicznych opowieściach ludów niemal całego świata, przeniknęły także do religii monoteistycznych pod postacią rajskiej jabłoni czy drabiny Jakubowej. W przedchrześcijańskich kultach za symbole osi świata uważano na przykład święte słupy totemiczne, niektóre góry, piramidy, czasem labirynty, zaś ikonograficznymi odzworowaniami były swastyka albo meander/labirynt. Warto prześledzić wędrówkę owych symboli w omawiającej polskie legendy herbowe pracy dwóch historyków, Marka Cetwińskiego i Marka Derwicha, a także sięgnąć po ciekawe kulturoznawcze opracowanie archeologów Krzysztofa Kowalskiego i Zygmunta Krzaka dotyczące mitu o Tezeuszu, w którym autorzy odnajdują nawiązania do osi kosmicznej w wariancie znanym ze słowiańskich baśni o Szklanej Górze.



O STWORZENIU CZŁOWIEKA ORAZ O PIERWSZEJ NOCY MIŁOŚCI

Białobóg w jednej z dębowych dziupli urządził sobie kuźnię, gdzie kamiennym młotem wykuwał piorunowe włócznie – po części do łowów i dla rozrywki, a po części w przeczuciu nadejścia tego, co nieuniknione. Wykuwał też nowe Żar-Ptaki, by strzegły bram Wyraju oraz wędrujących pod gwiazdami stad składających się z dusz ludzi jeszcze nienarodzonych i tych nielicznych zmarłych wybrańców, którzy mieli urodzić się ponownie. Gdy spojrzymy w czyste nocne niebo, widzimy czasem, jak dusze owe migocą na niebiańskich pastwiskach, okazując nam, że są wielce szczęśliwe i gotowe pojawić się na ziemi po raz pierwszy lub na nią powrócić.

Czarnobóg cały czas kręcił się w pobliżu, podpatrując braterskie dzieło.

W drugiej dziupli urządził jasny bóg łaźnię, by się w niej oczyszczać po całych dniach ciężkiej pracy. Mroczny brat wołał kąpiele w morzu, zawsze jednak pilnie baczył na to, co czyni stwórciel Drzewa.

Zdarzyło się pewnego razu, że Białobóg, wychłostawszy się brzoźowymi witkami i wypociwszy jak należy, otarł ciało wiechciem słomy i wyrzucił go z łaźni. Wiecheć potoczył się po ziemi prosto pod nogi Czarnoboga. Ten podniósł słomianą wiązkę i przyjrzał się jej uważnie.

– Hm, co my tu mamy? – mruczał zarówno do siebie, jak i do nieodstępnego wilczka. – Z pozoru zwykły śmieć, lecz przesiąknięty boskim potem. W tym marnym przedmiocie może się kryć wielka moc. Moje czarne oko dostrzega ukryty w nim zarys nowej istoty. Spróbuję ukształtować ją na swoje podobieństwo, by tylko mnie służyła. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Zaczął wodzić pazurzastymi paluchami po mokrej słomie, nadając wiechciowi

obraz dwunożnej i dwuręcznej postaci. Uformował dość dużą głowę i czubkiem pazura wyłobił w niej nozdrza, usta i zagłębienia na oczy. Dla zabawy wyciął też otwory, które u innych istot służą wydalaniu pokarmów i napojów. By dzieło lepiej się trzymało, używał śliny – własnej lub cieknącej z wilczego pyska. W ten sposób ciało przyszłego człowieka przesiąkło zarodkami rozmaitych chorób i zwierzęcą zjadłością, dziką żądzą niszczenia, zadawania bólu i śmierci oraz nienasyconą chęcią pożerania słabszych stworzeń, by zaspokajać głód ich mięsem. Choć mroczny bóg włożył w pracę mnóstwo wysiłku i pomysłowości, dzieło wciąż pozostawało tylko słomianą kukłą, podobną tym, które wyplatamy na dożynki. Zabawną, lecz pokraczną i martwą.

Zawiedziony Czarnobóg cisnął kukłę na ziemię, wołając:

– Nie przydasz się na nic, nędzny odpadku! Mój brat powinien cię cisnąć w ogień, jak czynił z poprzednimi wiechciami, którymi się wycierał, ale skoro tego nie zrobił, wdepczę cię w ziemię, lichoto!

I znów splunął, tym razem z pogardą.

Kiedy ostatnia plwocina spadła na słomę, zdało się bogowi, że kukła lekko się poruszyła... Mroczny zamrugał, niepewny, czy nie uległ złudzeniu, i pochylił się nad swoim tworem. Niestety, dziwna postać wciąż leżała nieruchomo, uznał więc, że mu się przywidziało. Jeszcze bardziej rozsierzdzony, zamierzał wdeptać swe dzieło w ziemię, jak zapowiedział, gdy rozległo się ostrzegawcze warknięcie czujnego wilka. Zaraz potem Czarny usłyszał za plecami władczy głos:

– Wstrzymaj się, mój bracie.

Mroczny, pochłonięty twórczym szaleństwem kształtowania nowej istoty, nie zauważył, że jasny brat wyszedł tymczasem z łaźni, by splukać rozgrzane ciało morską wodą. Teraz przyglądał się z pobłażliwym uśmiechem bratu.

– To całkiem ładna zabawka – oznajmił, zdobywając się na wielkoduszność. – Nadałeś jej znajomą postać, w której można ujrzeć nas obu.

– Cóż z tego – warknął wciąż niezadowolony Czarnobóg – skoro temu tworowi brak życia. Żaden z niego pożytek.

– Mylisz się, mój drogi. Tkwi w nim zarodek życia, który wziął się z mego potu, ty zaś niechcący wzmocniłeś go swą śliną. Nie zauważyłeś tego, bo skupiłeś się na zewnętrznej powłoce, pomijając duchową iskierkę utajoną we wnętrzu.

– Naprawdę ma coś takiego? – spytał powątpiewająco Czarny, podejrzewając, że kolejny raz został wywiedziony w pole przez Białego, który niczego nie czynił przypadkowo. Czyżby zatem umyślnie rzucił na ziemię ów z pozoru zbędny wiecheć?

– Naprawdę. – Potwierdził z powagą Białobóg. – Przeczuję, że będzie niezwykłą istotą, zdolną ogarnąć całość ziemskiego stworzenia za pomocą cząstki boskiego rozumu. Nie może być inaczej, skoro powołaliśmy go do istnienia wspólnie, tak jak ongiś ziemię.

– Czego zatem mu brakuje?

– Ducha – wyjaśnił jasny pan. – Trzeba go w nim rozpalic i rozdmuchać, jak ogień w kuźni.

– To twoja dziedzina – odparł z rezygnacją mroczny. – Pokaż, co potrafisz.

– Najpierw trzeba go trochę ulepszyć. Skoro ma być podobny do nas... a przynajmniej do jednego z nas... powinien być urodziwy.

Wprawnymi dłońmi stwórcy, a zarazem rzemieślnika wykończył dzieło, kształtując zgrabną, przyjemną dla oka postać. Resztki śliny Czarnoboga wtarł we wnętrze istoty, sprawiając, że przestały szpecić jej wygląd, stały się wszakże przyczyną cierpienia i śmierci. Tak jednak być musiało, gdyż narodziny każdej żywej istoty wiedą ją niechybnie ku śmierci. Wolni od niej są tylko bogowie.

Potem jasny pan tchnął w lalkę swój żar, przepalając stwora na nowo, wygładzając powłokę jego ciała, samą zaś istotę budząc do życia. Wówczas Biały natchnął głowę kukły myślami, dał sercu uczucia, mięśniom siłę, a wszystkim członkom zdolność dokonywania wielkich dzieł. Rękom użyczył zapału do pracy, nogom chęci

wędrowania, a innym częściom... Smarki, nie chichrać się za plecami starszych! Gdy trochę podrośniecie, pojmiecie, że to poważne sprawy.

Nowe dzieło przebudziło się wprawdzie, lecz jego duch pozostał na poły uśpiony. W przeciwieństwie do zwierząt, które zaraz po narodzinach wykazywały chęć przetrwania i postępowały zgodnie ze swoją naturą, ten stwór próbował nieśmiało ogarnąć myślą nieznaną świat. Wodząc zdumionymi oczami po otaczających go niezwykłościach, zastanawiał się, kim jest, skąd się tu wziął i dokąd zmierza. Wciąż bezwładny i nieporadny, pogrążony w zadumie, wsłuchiwał się półprzytomnie w dalszą rozmowę bogów, mając nadzieję, że podpowiedzą mu, jak ma postępować.

– Udało się! – krzyknął radośnie Czarnobóg, gdy istota rozwarła powieki i spojrzała nań całkiem rozumnie. – To coś żyje! Jak je nazwiemy?

– Człowiekiem – odparł bez namysłu Białobóg. – Będzie wprawdzie śmiertelny jak inne stworzenia, lecz wzbogaci ten świat w naszym imieniu, posługując się boską mądrością i wiedzą.

– Śmiertelny? – powtórzył z rozczarowaniem mroczny.

– Nieśmiertelny w nim będzie nasz duch – oświadczył jasny. – Śmierć jest niezbędna, by mogło się z niej rodzić nowe życie, a to, co stare, znużone i słabe, ustępowało miejsca młodemu, silnemu i pełnemu wigoru. Ty sam naznaczyłeś człowieka piętnem śmierci, mażąc go swoją i wilczą śliną – przypomniał, zerkając z ukosa na brata.

– Powinien zatem należeć do mnie! – zawył zwycięsko Czarnobóg, a wilczek mu zawtórował.

– Gdy ciało umrze, spłonie i rozsypie się w proch – odparł pojednawczo Biały – będzie należało do ciebie. Użyznisz nim ziemię albo morskie dno. Duch zaś pójdzie do mego Wyraju.

– Zależy, czy mu się tam spodoba – mruknął złośliwie Czarny. – Nie wszystkie stworzenia lubią twe błogie łąki i przestronne świetlice twego złotego dworu, który

właśnie budujesz w koronie Drzewa. Niektóre wolą głęboki cień kniei, gęste mgły nad bagnami lub nieprzejryste, przepastne głębiny. Podobnie może być z człowiekiem. Jest w nim twoje światło, ale też cząstka mego mroku, drogi bracie. A właśnie, skoro ma być śmiertelny, musimy stworzyć więcej do niego podobnych. – Zafrasował się nagle, tknięty nową myślą.

– Zgadzam się. Bierzmy się więc do roboty – zarządził jasny pan, zacierając dłonie.
– W łaźni zostało mnóstwo takich wiechetków. Ruszajmy.

– Ciągłe tylko praca i praca – gderał mroczny, podążając za nim rad nierad. – A kiedy będzie jej kres i spoczynek, by cieszyć się owocami?

– Szybciej niż przypuszczasz – odparł zagadkowo Białobóg, uśmiechając się pod złotym wąsem.

Stwarzali kolejnych ludzi, robota im się w rękach paliła, a że dzień zrobił się wyjątkowo skwarny, po skończonej pracy poszli nad morze, by się nieco ochłodzić. Ludzie szli za swymi twórcami w cichym, kornym orszaku, rozglądając się niepewnie na boki i lękając wszelkiego zwierza, zwłaszcza wilka, który nie odstępował Czarnego i ciągle szczyrzył groźnie kły. Natomiast wszędzie, gdzie stąpnął Białobóg, buchały z ziemi ognie. Przestraszeni ludkowie kupili się wokół nich, wyczuwając, że płomienie dają ożywcze ciepło, poza tym domyślili się, iż chronią przed drapieżnikami, skoro wilk ze skomleniem uciekał od ognisk.

Nowe istoty nazwały jasnego boga Swarogiem i czciły go pod tym imieniem, bo wygrzewały się w jego błogim skwarze i rozkwitały dzięki ciepłemu światłu, podobnie jak inne stworzenia. Odtąd także nasza opowieść będzie tak nazywać tego boga – aż do czasu, gdy nada mu kolejne miano.

– Jacyś strasznie ospali ci ludzie – zrzędził swoim zwyczajem mroczny, spoglądając z niechęcią na wspólne dzieło. – Cisi, posłuszni, potulni jak owce i wielce niemrawi. Wciąż czekają na nasz znak, byśmy wskazali, dokąd iść i co robić. Jakby nadal spali, wyczekując bohatera, który zbudzi ich do czynu. Nie widzę w nich twojej odwagi ani

mej przemyślności.

– Z pewnością nie są jak twoje podmorskie stwory, które chcą zreć jak najwięcej, by jeszcze bardziej urosnąć – odparł zjadliwie jasny brat, choć sam też nieco spochmurniał.

– Widzę, że i ciebie trapi ich zachowanie – zauważył Czarny, zezując spod oka. – Dostrzegam niewidziany wcześniej cień na twym czole. Czyżbyś także uważał, że nasze dzieło jest chybione?

– Nie jest chybione – sprzeciwił się Swaróg – tylko trudne do zrozumienia. Ludzie zdają się na pozór bezbronni i nieporadni, lecz drzemie w nich wielki duch. Trzeba go rozbudzić, jak słusznie rzekłeś, mój bracie. Mają badać świat rozumem i zmieniać go na swój użytek, by stał się dla nich bardziej przyjazny. Na to trzeba wiele czasu. Będą się musieli nauczyć samodzielnego myślenia, lecz także współdziałania. Ktoś musi im wytłumaczyć, że nie powinni uciekać w popłochu przed każdym drapieżnikiem, lecz wspólnie nań polować albo przeganiać kamieniami – bo razem będą silniejsi. Ktoś powinien im pokazać, jak zdobywać pożywienie i warzyć strawę. Jak wytwarzać oręż, pługi i inne użyteczne narzędzia. Jak siać i orać ziemię. Jak budować domy, które ich ochronią przed licznymi zagrożeniami...

– Ogromny trud. – ocenił Czarnobóg, kręcąc głową.

– By nauczyć tego wszystkiego owe słabe, bojaźliwe istoty może nie starczyć wieczności. Martwię się też, że zabraknie mocy nam obu, by ich odpowiednio wychować. Mamy w końcu na głowie cały świat.

– Znów słusznie prawisz. – przytaknął jasny bóg. – Nie możemy skupiać się na ludziach, skoro musimy pilnie baczyć w cztery świata strony.

– Może przydałyby się każdemu z nas cztery twarze? – podjął półzartem Czarny. – Byłoby znacznie łatwiej czuwać nad światem.

– Ciekawa myśl – odparł całkiem poważnie Swaróg. – Może kiedyś ją rozważę. Teraz skupmy się na czymś innym. Do opieki nad ludźmi potrzebni nam są młodzi

bogowie, nieśmiertelni jak my, z których każdy będzie sprawował pieczę nad inną dziedziną i przekaże swą wiedzę ludziom.

– Chcesz tworzyć nowych nieśmiertelnych? – zdumiał się mroczny brat, wybałuszając oczy. – Podobnych do nas? Jak? Z czego? Nie mamy chyba takiej mocy... – bąknął w końcu niepewnie, rozglądając się wokół, jakby ze strachem, że coś mu wcześniej umknęło.

– Sami nie damy rady – przyznał jasny z uśmiechem. – Nasza braterska rywalizacja to za mało, by płodzić nieśmiertelne byty.

– Powiedziałeś: płodzić? Co masz na myśli? – dopytywał się zaintrygowany Czarnobóg.

– Spłodzić mocą swych łędźwi – wyjaśnił życzliwie ojciec rodzaju ludzkiego. – Kształtując człowieka na nasz obraz, wyposażyłem także i jego łędźwie w narzędzie, którym spłodzi podobnych sobie, idąc za przykładem bogów.

– Chodzi o ten śmieszny pręcik służący do wydalania płynów? Zabawny pomysł – stwierdził po chwili namysłu brat, szczerząc gębę od ucha do ucha i wywalając na wierzch czerwony jęczor. – Właściwie to ja go ulepiłem – dodał z dumą.

– A ja tylko udoskonaliłem. Ludzie są już gotowi podjąć rzucone im wyzwanie, zresztą tak samo, jak i inne nasze stworzenia. Widzisz, że cały płonę. Rozpaliłem wszystko i wszystkich na ziemi mym żarem. Aby go ugasić, potrzebna jest...

– Zimna kąpiel? Zapraszam w moje głęby. – Mrocznego naszła ochota dać nurka w najzimniejsze głębie, gdyż mając grube futro, zgrzał się, stojąc blisko ognistego brata.

– ...potrzebna jest miłość – ciągnął spokojnie Swaróg.

– Czyli co?

– Pierwotna potęga, która teraz objawi się światu – tłumaczył cierpliwie jasny bóg jak bezrozumnemu dziecku. – Chęć zespolenia z drugą istotą, która wyzwoli płodną moc, moc tworzenia potomków niosących dalej żywotną iskrę...

Nowe pragnienie usunęło cień z jego czoła i zapłonęło z oslepiającą jasnością. Czarny, nauczony wcześniejszym doświadczeniem, zdążył na szczęście zmrużyć oczy.

– Wcale nie chcę się z tobą zespalać – rzekł niespokojnie, odsuwając się na bezpieczną odległość.

– Nie chodzi o ciebie – zapewnił Swaróg, śmiejąc się wesoło. – Potrzebna jest tu... kobieta.

Zaledwie wypowiedział to słowo, morze zaszumiało radośnie i z przybrzeżnego wilgotnego piasku obmytego zwałami morskiej piany wyłoniła się postać niezwykła, bo niepodobna do oglądanych dotychczas oczami boskimi ani ludzkimi. Powstała piękność o oczach błyszczących jak gwiazdy jaśniejące, a zarazem głębokich niczym morska toń. Okalały je promienie świetlistych rzęs, brwi zaś wznosiły się równymi, łagodnymi łukami na dumnym, jednakże delikatnym czole ozdobionym złocistą przepaską. Zarumienione policzki zdawały się płonąć wewnętrznym ogniem tajemnych żądz. Czerwone wargi gotowe były rozkwitnąć uśmiechem rozkoszy i szczęścia. Ciężkie sploty włosów o barwie dojrzałej pszenicy opadały w kunsztownych splotach aż na kibić. Zmysłowe kształty okrywała mieniąca się tęczowo, prześwitująca szata, całą zaś postać otulały, niczym ślubne zasłony, mgielne pasma. Nieznajoma trzymała w dłoniach kłębek złotych nici, którym teraz się tylko bawiła, lecz w przyszłości miała z niego wysnuwać boskie i ludzkie losy.

Szły za nią dwie druhny. Jedna młodziutka i świeża jak zorza zaranna, o licu zaczerwienionym a spojrzeniu niewinnym, w jasnej szacie i kwietnym wieńcu. Lud nazwał ją później Dziewanną, gdyż została boginką niezamężnych dziewcząt. Druga, znacznie starsza, tajemnicza, chłodna i niedostępna jak zorza wieczorna, okutana była tak szczelnie śnieżnym zawojem, że próżno starałbyś się dojrzeć jej oblicze. Nie odkryje go, póki nie nadejdzie jej czas panowania nad światem. Ci, którzy później mieli odwagę spotkać ją twarzą w twarz i pożyli wystarczająco długo, by o tym opowiedzieć, mówili, że ma rysy piękne i zimne, jakby wykute w lodzie. Oto

Marzanna.

Olśnionym oczom bogów i ludzi objawiły się trzy Zorze Dziewicze, trzy Rodzanice, piastunki ludzkich narodzin, które splatają i rozplatają nici doli każdego z nas. Niektórzy mówią, że są siostrami, inni znów powiadają, że Wielka Bogini pojawia się nam w troistej postaci: wiosennej panny, letniej matki i zimowej starki. Dajmy wszakże temu spokój, gdyż rozwikłać tajemnice kobiecej natury próżno starają się od wieków męskie umysły. Wrócimy do tego przy innej opowieści. A może wcale nie.

Za trzema boginiami postępował weselny orszak.

Najpierw szły liczne morskie rusalki, wodne panny, które miały się stać małżonkami czekających na brzegu mężczyzn z rodzaju ludzkiego. Ci huknęli gromko, skacząc z radości przez ogień, a następnie mocowali się ze sobą, by popisać się zręcznością oraz siłą. Rusalki ujęły ich za ręce i razem zaczęli pisać wokół ognisk, wirując szalonym korowodem. Potem dziewczki rzucały wieńce do wody, a młodzieńcy wskakiwali w fale, by je wyłowić. Ci, którym się to udało, szli z wybrankami do lasu. Na pamiątkę tego pierwszego święta namiętności Swaróg utworzył kwiat paproci, którego do dziś szukają wytrwale kochankowie każdej nocy Kupały.

Jeśliście tego ciekawi, powiem wam, że po owym zbliżeniu z ludźmi część wodnych panien wybrała los ziemskich niewiast, dla których największą radością i pociechą w niełatwym życiu zwykłych śmiertelniczek były dzieci zrodzone ze związków z wybrańcami. Inne, bardziej przewrotne lub obdarzone niezależnym charakterem, zostały wiedźmami służącymi Wielkiej Bogini, o której już nieco mówiłem i zaraz też opowiem. Niezwykłe te kobiety były dostępne jedynie wybrańcom. Jeszcze inne, być może rozczarowane zbliżeniem z ludźmi, odeszły i stały się boginkami mórz, rzek i jezior, wabiącymi czasem omamionych ich czarami śmiałków w głęboką toń. Wszystkie jednak zachowały w głębi duszy wspomnienie pierwszej miłości, które ukształtowało ich żywot na resztę ziemskich dni.

Tak właśnie było – w pieśniach o tym śpiewają i ludziom wspominają.

Wróćmy do dnia pierwszego święta. Za wodnymi pannami wyszły z morskich fal samice wszystkich żyjących na ziemi zwierząt. Na ich widok samce zaryczały, zawyły, zagruchały przymilnie i wydały tysiące innych dźwięków, ogłaszając czas walk godowych i rui. Gdy samice ku nim podbiegły, podpełzły lub podfrunęły, całe wybrzeże oraz okoliczne łąki i lasy zadrżały i rozkołysały się, wstrząsane gorączkową, nieposkromioną chucią, gdy wszelki zwierz zaczął się parzyć bez opamiętania. Żadna z samic nie opuściła potem swego samca, bo zwierzęta są wierniejsze od ludzi. Może dlatego, że większość kocha się tylko raz w roku.

Zanim jednak wszystko to nastąpiło, bogini, która jako pierwsza z trójki wyszła na brzeg, wyciągnęła białe dłonie do roznamiętnionego jasnego boga i przemówiła:

– Jestem Mocosza, Matka Żyznej, Wilgotnej Ziemi. Ugaszę twój żar, Swarogu, i dam ci piękne potomstwo.

Wielka Bogini głos miała śpiewny i dźwięczny niczym muzyka fletu i dzwoneczków. Kto go usłyszał, musiał się w nim zastłuchać.

– Zaiste, piękna – przyznał półgębkiem Czarnobóg, przebiegając uważnym spojrzeniem po całym ciele bogini. – Co za oczy! Gdy w nie spojrzysz, to jakbyś w nich na zawsze utonął...

Mocosza dosłyszała śmiałą uwagę pokracznego przybłądy, która zmąciła nieco powagę chwili. Spojrzała nań wzrokiem tnącym jak lód. Nie spieszyło to Czarnego.

– Dziwna rzecz, przepłynąłem całe morze wszere i wzdłuż, a nigdzie jej nie spotkałem – gadał dalej głośno, nie mogąc się opanować.

– Nie była przeznaczona dla ciebie – odparł oschle Swaróg, nawet nie spojrzawszy na brata. Pałającym wzrokiem chłonał urodę bogdanki, zniewalające lśnienie jej oczu i przepych bujnego ciała.

Dziarskim krokiem podszedł do bogini, ujął jej prawą dłoń i przyciągnął Mocoszę ku sobie, by wycisnąć na jej ustach gorący pocałunek. Sprawił, że w niewiastę wstąpił

taki sam żar, jaki w nim płonął. Gdy to się dokonało, dwie drużny panny młodej rozplynęły się w tumanie morskiego wiatru i zniknęły, jakby ich nigdy nie było. Nie przyszedł bowiem jeszcze czas na ich ziemskie działania.

Biały pan sypanął garść iskier i utworzył z nich gwiazdną drogę, którą poprowadził małżonkę do swej złotej siedziby w koronie Drzewa Życia.

Kiedy oboje mijali usuniętego na bok Czarnoboga, ten ścisnął niepostrzeżenie lewą rączkę bogini, szepcząc z cicha:

– Będę za tobą tęsknił. Spotkamy się jeszcze, miła...

Potem oddalił się spieszenie ku falom i skoczył w morską toń.

Mokosza chciała poskarżyć się małżonkowi na bezczelność mrocznego stwora, lecz jej uwagę odwrócił żaloszny skowyt pozostawionego na brzegu wilka. Spojrzała ze współczuciem na zbłąkanego, miotającego się bezsilnie zwierzaka, ten jednak tylko obnażył kły, zawarczał i popędził wzdłuż linii przyboju w poszukiwaniu wilczycy. Niektórzy powiadają, że pierwzej jednak dopadł po ciemku jedną z rusalek i posiadł ją z rozpędu, w dzikim rozżaleniu – i stąd wzięły się na świecie wilkołaki.

Gdy za Mokoszą i Swarogiem zatrasnęła się złota brama Wyraju, cały świat rozgorzał miłością, płodzącym szalem pierwszej i świętej nocy. Zbyt brzemiennej rozkoszą, by o niej zapomnieć, zbyt krótkiej, by nie żałować rychłego nadejścia świtu.

A Czarnobóg, spytacie? Skrył się w największej głębinie, gdzie lodowata toń ostudziła jego niewczesne zapęły. Ciemne serce leczyło powoli bolesne poczucie samotności i odrzucenia. Kiedy mroczny brat przeżuł całą gorycz i wreszcie ochłonał, zaczął swoim zwyczajem na zimno zamyślać kolejny podstęp.

Słowiańska opowieść o stworzeniu pierwszego człowieka zapisana została w Powieści minionych lat jako relacja ruskiego wotchwa (jak nazywano czarowników, zapewne typu szamańskiego) sprzeczącą się z wschodniochrześcijańskim kapłanem o religijne pryncypia, w tym również o mity mówiące o początkach. Jak widzimy, słowiańska tradycja o powstaniu świata i człowieka różniła się znacząco od tradycji biblijnej, stworzonej przez

wędrownie ludy pustynne w całkowicie odmiennych warunkach historycznych, społecznych i klimatycznych.

Wiara w wyłonienie się Mokoszy z mokrego piasku była niewątpliwie powiązana z faktem, iż bogini ta określana była na Rusi mianem Matki Wilgotnej Ziemi (patrz biogram Mokoszy na końcu książki). Wraz z dwiema tajemniczymi drubnami, Dziewanną i Marzanną, tworzyła troistą postać Zórz Dziewicznych, uważanych również przez niektórych badaczy za Rodzanice, słowiańskie boginie losu, czyli przedwieczne Prządki. Symbolikę tę, jak również relacje między trzema boginiami będącymi być może siostrami lub odmiennymi wcieleniami pór roku, celowo pozostawiłem w niedopowiedzeniu, akcentując występujące w różnych przekazach niejasności dotyczące ich statusu.

Opis nocy weselnej i obrzędu nawiązującego do rytualnych zachowań podczas Nocy Kupaty jest oczywiście moją literacką fantazją, podobnie jak rozwinięta dalej dwuznaczna relacja małżonki Swaroga z mrocznym szwagrem.



O UPROWADZENIU BOGINI ORAZ O NARODZINACH STWORÓW MROKU

Od tamtej pamiętnej nocy minął kęs czasu, trudno orzec jak wielki. Dla nieśmiertelnych istot, żyjących w ponadczasowych Zaświatach, ludzkie lata się nie liczą. Dość powiedzieć, że pierwsza boska para zdążyła się doczekać trzech synów.

Sporo dni i nocy upłynęło Mokoszy w Wyraju, dni i nocy toczących się zgodnie z rytmem pracy oraz wypoczynku Swaroga. Noc zapadała, kiedy jasny bóg, skończywszy robotę w kuźni i wypociwszy się solidnie w łaźni, spoczywał na prostym pośłaniu, by w końcu zamknąć oczy utrudzone czuwaniem nad światem. Wówczas nawet w świetlistej koronie prastarego Drzewa zaczynały się snuć głębokie cienie, a Żar-Ptaki usypiały na dębowych gałęziach, chowając głowy pod płomienistymi skrzydłami.

Zwykle także bogini szybko zasypiała przy boku małżonka, zmęczona gorącymi miłosnymi pieszczotami, tym razem jednak nie zdołała nawet zmrużyć oka. Nawiedzały ją wieszczce zwidy i strachy, nie pozwalając zasnąć. Czuła, że ta noc będzie niepodobna do innych.

Sen z powiek spędzała jej przede wszystkim troska o najmłodszego synka, Jarowita.

Dwaj starsi synowie nie przysparzali jej takich kłopotów: ani rozsądny, posłuszny i uczynny Swarozyc, chętnie pomagający ojcu w kuźni, miał bowiem smykałkę do wszelakich rzemiosł, których następnie uczył ludzi, ani swawolny, wiecznie rozigrany, wrywający się ku morzu Strzybóg. Młodzi jaśni bogowie wyrosli wśród najwyższych gałęzi Drzewa Życia, gdzie światłość Białoboga uczyniła ich czystymi i silnymi.

Najmłodszy, żywy jak iskra i od urodzenia marzący o walce ze stworzeniami mroku, często wymykał się spod matczynej i ojcowskiej opieki. Pewnego razu, gdy zawędrował niebezpiecznie blisko granicy światów, w wysokim gąszczu sen-trawy porastającej cały Wyraj natknął się na żmiję, która wygrzewała się w ciepłe blasku Swaroga.

Gadziny przepęłzały w owo miejsce zapewne za wiedzą, a może wręcz na życzenie Czarnoboga, by kraść cząstkę jasnej potęgi, spijać światłość, którą ich mroczny pan wykorzystywał potem w sobie tylko wiadomych celach, wykonując tajemne prace w głębokich jamach pod korzeniami Drzewa.

Teraz jedna z nich zasyczała groźnie na widok jasnego panicza i podpełzła doń szybko, zamierzając ukąsić. Dzieciak bez namysłu chwycił ją poniżej trójkątnego łba, po czym ścisnął tak długo i mocno, aż całkiem zwiotczała w jego rękę, wyzionąwszy czarnego ducha. Malec pobiegł ze zdobyczą do złotego dworzyszczka, by się pochwalić rodzicom i starszym braciom. Od tego dnia nie chciał słuchać żadnych przestróg ni połajanek – polowanie na zimnokrwiste przywłoki stało się jego ulubioną zabawą. Martwiąc się o syna, Swaróg kazał Swarozycowi wykuć dla małego braciszka złotą tarczę i myśliwski oszczep, a Strzybogowi – złapać dłoń i okiełznać siewka Złotogrzywka, konia tak rączego, że z wiatrem mógł iść w zawody. Dzięki temu stroskana macierz była nieco spokojniejsza o zdrowie synka, urodzonego myśliwego i wojownika.

Noc wielkiego niepokoju Mocoszy minęła, a kolejne dni upływały gospodyni Wyraju w promiennym szczęściu u boku ukochanego męża i udanych synów. Każdego świtu budziła ją młoda zorza zaranna, obmywając ciało bogini rosą i dżdżem. Służki Strzyboga, wiatry Świst i Poświst, zaplatały jej bujne warkocze. Pszczółki karmiły ją miodem nieśmiertelnych. Dojrzała zorza wieczorna układała do snu, a zielony dąb usypiał swym szumem. Roziskrzzone gwiazdki trzymały straż nad małżeńskim łóżem. Wszystkie dni jednakowo pogodne, tak samo radosne i

jednako przyjemne, nieco wszakże nużące w swej powtarzalności... Dlatego kobiecie przeczucie mówiło Mokoszy, że musi stać się coś, co przerwie tę sielską jednostajność i wyrwie ją i wszystkich wokół ze stanu błęgiego otępienia.

I oto zdarzyło się pewnego dnia, że mały Jarowit nie wrócił z polowania. Długo go szukano na granicy trzech światów – niebiańskiego, ziemskiego i podziemnego – aż wreszcie znaleziono leżącego bezwładnie na łące, śniącego snem nieprzespanym. Siwek Złotogrzywek stał obok zasmucony, grzebiąc nóżką w ziemi i skubiąc od niechcenia sen-trawę, która nie działała na boskiego rumaka. Opowiedział wstrząśniętym bogom, że panicza zaatakowała wyjątkowo duża i chyża gadzina, która z szybkością błyskawicy ukąsiła malca w stopę.

Matka rzuciła się natychmiast do rany, aby wyssać z niej jad. Ojciec ogrzewał syna swym żarem i próbował poić miodem nieśmiertelności, Swaróżyc opromieniał brata ożywczą mocą, a Strzybóg wionął w jego lica orzeźwiający tchnieniem. Wszystko na nic. Jarowit pozostawał zimny i nieruchomy jak jeden z kamiennych posągów, jakie stawiali mu później ludzie w podzięce za udane łowy i walki z drapieżnikami.

Zrozumieli bogowie, że gadzina musiała być niezwykajna, zaklęta, a jad nasycony mrocznym czarem Czarnoboga. Gdy pojęli, że bezsilni są wobec czarnej magii, wielce się zasepili, a matka bezradnie zapłakała.

Przenieśli uspiętego chłopaczka do złotego dworu, a potem otulili miękkimi futrami i ułożyli na otoczonym niskim płótnem ganku, w cieniu jednego z wielkich konarów Drzewa, gdzie nie było zbyt ciepło ani zbyt zimno, a powietrze zawsze było świeże i kojące. Oczekiwali, że z czasem wszystkie te rzeczy uzdrowią dzieciaka, ale mimo to Swaróg rozesłał na wsze strony świata Żar-Ptaki, by przyniosły ziele odtruwające żmijowy jad. Niestety, choć wysłannicy szukali pilnie, nie znaleźli leku.

Pytacie, czemu Swaróg sam nie wyczarował takiego ziele? Cóż, jego dzieło stworzenia świata było skończone, nic więcej nie mógł dodać, a nawet jemu nie udałooby się złamać odwiecznych praw równowagi wszechświata. Nie zapominajcie

także o potędze ciemności, która potrafi zatruć i uwieść nawet najczystsze dusze.

Mokosza codziennie czuwała przy synu, na przemian śpiewając mu słodko – nie kołysanki jednak, lecz pieśni budzące do czynu – lub popłakując, lamentując i złorzecząc wszystkim prawdziwym i urojonym wrogom. Mąż także przejmował się zdrowiem potomka, lecz męskim zwyczajem tłumił w sercu rozpacz, wyżywając się w pracy. Starsi synowie go w tym naśladowali. Jak to u nas śpiewają: „W lamentach tonąć jest rzeczą niewieścią, a rzeczą męską w milczeniu się zbroić”. Tak też czynili trzej bogowie, Mokosza jednak miała im to za złe, poczytując za karygodną obojętność. Zdawało się jej, że ona jedna cierpi na całym świecie, podczas gdy wszystko wokół toczy się nieustającym kołowrotem codziennych zajęć. Rosły w jej piersi strach, rozgoryczenie, niezgoda na zaistniały stan rzeczy. Buzowały w niej i kipiały niczym gorące źródła, gotowe wylać się w każdej chwili huczącą powodzią łez i narzekań. Tamowała je z coraz większym trudem.

Pewnej nocy wstała z łoża i wyszła na ganek, by zaczerpnąć powietrza. Świst i Poświst muskały chłodnymi powiewami jej rozpaloną, napuchniętą od płaczu twarz. Spojrzała na leżącego nieopodal synka, potem zerknęła przez otwarte drzwi na leżącego w komnacie męża. W tej chwili uczciwy, pracowity i dobry małżonek wydał jej się strasznie pospolity. Umiał, gdy trzeba, okazywać się przebiegły i stanowczy, lecz jako że z natury był szczerzy, ufny i prostoduszny, nie potrafił przewidzieć wszystkich podstępów ciemności. Brakowało w nim zagadki, tajemnicy, czegoś niezwykłego i nieprzewidywalnego, co szczególnie pociąga kobiety. Zawsze było wiadomo, co zrobi i jak odpowie.

„Niby wszystko wie i wszystko widzi, ale nie upilnował naszego synka. Męcę się teraz sama przy chorym dziecku, podczas gdy on chrapie w najlepsze” – pomyślała Mokosza, wstydząc się własnych uczuć, które napływały nieproszone. Myśli wirowały w jej głowie natrętnie jak rój dokuczliwych owadów.

Wyszła nieco dalej na ganek i przeniosła wzrok na majaczącą w oddali ledwie

widoczną granicę między światłem a ciemnością. Blask bijący od złotego dworu był teraz przyćmiony, mrok zaś czaił się, pożerając jasność po kawałku. Bogini wsłuchiwała się w nocne szmery i szelesty. Odniosła wrażenie, że coś woła ją z oddali. Noc była parna, upalna, a słowiki kwiliły w gałęziach miłosne trele. Wtem przycichły, bo zagłuszył je przenikliwy zew, mocny i nieodparty. Mocosza zdała sobie sprawę, że mrok woła do niej głosem nocnego ptaka: „Pójdź! Póóójdź...”. Zadrzała na całym ciele, przejęta nieznaną wcześniej grozą.

Otwierało się przed nią nowe wyzwanie, ofiarowując coś, czego w głębi duszy pragnęła: odwieczne zagadki i tajemnice. Choć spełniona w małżeństwie i macierzyństwie, czuła, że jakaś część jej natury pozostała niezaspokojona i teraz wyrывa się na wezwanie ciemności. W głębi duszy wiedziała, że urodzenie jasnych bogów to tylko połowa czekającego ją zadania, że nie dopełniła jeszcze swego przeznaczenia.

„Pójdź! Pójdź...”, zawodziła głucho sowa. Nagle zawtórował temu wołaniu tęskny wilczy skowyt. Bogini zadrzała ponownie, nękana lękiem o bezpieczeństwo swego domostwa, lecz zarazem zaciekawiona, co jeszcze przyniesie noc. Strach stawał się dziwnie rozkoszny, mający posmak ryzyka. Wiedziała, że w każdej chwili może obudzić męża, aby przebił groźnego natręta piorunową włócznią. Chciała tego i nie chciała zarazem. Zauroczone, wpatrywała się bacznie w ciemne kłęby mgieł, które krzepły, przybierając niesamowite kształty.

W głębokim cieniu, pośród płataniny gałęzi, błysnęły bursztynowe ślepie wilka. Wystraszona, ale zaciekawiona bogini cisnęła w tamtą stronę płat mięsa, którym zwykła karmić Żar-Ptaki. Drapieźnik śmiałym susem wyskoczył z mroku, przesadził płotek i stanął nad darem bogini. Przekonawszy się, że nic mu nie grozi, pożarł poczęstunek za jednym kłapnięciem zębatej paszczy. Potem ostrożnie, krok za krokiem, zbliżył się do Mocoszy, nieufnie zezując na widoczny w otworze drzwi dworu wieczny ogień płonący w palenisku sypialnej komnaty. Skomląc przymilnie,

dał się pogłaskać pod brodą, podrapać między uszami i poczochnąć po burym grzbiecie. Gdy gospodyni już się nim nacieszyła, niespodziewanie odezwał się znajomym głosem:

– Znam sposób na uzdrowienie twojego syna, ale musisz go do mnie przywieźć. Weź dziecko w ramiona, siądź z nim na wilczym grzbiecie, a przekonasz się, że mówię prawdę... i zobaczysz moje podziemne skarby – mrucał kusząco.

Mokosza zadrżała po raz trzeci, tym razem miotana nie tylko słodkim lękiem, ale także nadzieją. Głos rozpoznała bez trudu, choć słyszała go zaledwie raz. Mroczny brat jej męża od dnia zaślubin nieba z ziemią nie pokazał się w złotym dworze Wyraju, zdając sobie sprawę, że nie jest tam mile widziany. Wypowiedziane wtedy przez Czarnoboga harde słowa wyryły się czarnymi zgłoskami na dnie kobiecego serca.

„Użył przewrotnego podstępu, by znowu się ze mną spotkać” – myślała gorączkowo. – „Stawką w tej grze jest zdrowie mojego syna. Mroczny wie, że jestem gotowa zapłacić każdą cenę, by odzyskać dziecko. Trzyma mnie w garści. Musi być znacznie mądrzejszy od mego męża, skoro zrobił z nas wszystkich bezradnych głupców. Nie docenia jednak siły kobiecych uczuć, zdolnych odmienić charakter zakochanego mężczyzny. Podejmę wyzwanie i zwyciężę” – zadecydowała z odwagą, jaką daje tylko matczyzna miłość. Nie przyszło jej nawet do głowy, że właśnie ucieka od męża do tajemniczego kochanka, niosąc mu w darze swój największy skarb – najmłodsze dziecko.

Nie namyślając się dłużej, wzięła syna na ręce i dała się poprowadzić wilkowi na skraj pomostu. Tam siadła na wilczy grzbiet. Wczepiając się wolną dłonią w potężny kosmaty kark i ściskając boki kolanami, przymknęła oczy, gdy zwierz dał nura prosto w nieprzeniknioną ścianę mroku.

Opadła na nich zasłona, otuliła ich szczelnie jak czarny welon, przyćmiewając boską poświatę Mokoszy i jej nieszczęsnego syna. Bogini uśmiechnęła się

do otaczającej ją ciemności. Śmiało patrzyła, jak wilk zabiera ich w przepaść nieznanej mocy.

Dajcie przepłukać czymś gardło, bo całkiem zachrypłem. Woda? Chyba kpicie. Mleko? Dobrze dla szczeniąt. Najlepszy byłby miód – zacny trunek bogów, wielmożów i dzielnych wojów po skończonej walce, lecz bazarzowi wystarczy piwo: złote, jasne, pszeniczne jak włosy Mocoszy, jak warkocze naszych dziewcząt. Dajcie mi piwa, żywo! Chmielowy napój orzeźwia, rozjaśnia w głowie i wzmacnia wieszczy szał zsyłany na bazarzy przez Welesa. Dlatego my, wnuki Welesowe, tak lubimy naszego opiekuna. Pytacie, kiedy zjawi się w opowieści? Cierpliwości, już wkrótce.

Gdy Swaróg zbudził się z ciężkiego, męczącego snu, nastał poranek, dziwnie chłodny, pusty i cichy. Prastary Dąb nie szumiał, ptaki nie witały dziennego światła radosnym śpiewem. Cała przyroda jakby wstrzymała oddech i zamarła w oczekiwaniu.

Nie znalazłszy u swego boku małżonki, bóg wyszedł na przed dwór i ujrzał, że zniknął także Jarowit. Zdziwił się brakiem ich obojga, nie mogąc zmiarkować, dokąd Mocosza zabrała pogrążonego w niezwykłym śnie syna. Zastanawiał się nad tym, marszcząc spochmurniałe czoło, gdy jego uwagę przykuły widoczne dla boskich oczu, choć nikinące powoli, ślady lekkich stąpanieć żony. Obok dostrzegł inne, ciemniejsze tropy, jak gdyby wilczych łap. Do pewnego miejsca prowadziły wspólnie, lecz w końcu ślad bogini zniknął i pozostał jedynie wilczy. Nieco dalej także ten trop się urywał, jakby zwierzę i Mocosza – zapewne z Jarowitem na rękach – przenieśli się w jednej chwili do innego świata.

Ojciec rodu boskiego sądził w pierwszej chwili, że mroczna bestia porwała jego małżonkę i dziecko. Nie wypatrzył jednak nigdzie śladów walki. Zresztą, gdyby na ganku dworzyszczka wywiązała się w nocy samotniczka, z pewnością zbudziłyby go jej odgłosy, sen bowiem miał czujny. Po długim namyśle bóg doszedł do wniosku, że Mocosza odeszła dobrowolnie, zabierając ze sobą bezbronny Jarowita. Długo

nie potrafił dociec przyczyny tak oczywistej zdrady i niewierności, wreszcie doszedł do wniosku, że nieszczęsnica została zaczarowana, dając się wziąć na lep kłamliwych obietnic ciemnej mocy. Być może uczyniła to wierząc, że uratuje potomka. Uprowadzono ją zatem podstępem.

Swaróg przysiadł tam, gdzie stał, wydając ciężkie westchnienie, od którego zawyły wszędzie wichry, przyginając do ziemi wierzchołki niebotycznych drzew, a morze wypiętrzyło niebosiężne grzywacze. Pan niebios zrozumiał, że jego szczęśliwa rodzina została właśnie rozbita przez niecny postępek syna ciemności. Nie chciał w tej chwili o nim myśleć jak o bracie. Czarnobóg przestał nim być, skoro skrzywdził jego żonę i syna. Skończyły się dni spokojnego bytowania Wyraju, skoro mroczny jad wniknął w samo serce tej krainy i skaził ją nieodwracalnie.

Przybiegli dwaj synowie, Swarozyc i Strzybóg, zaniepokojeni niecodziennymi zjawiskami, jakie odczuła cała ziemską przyroda. Ujrawszy milczącego, ponurego jak chmura burzowa rodzica i nie mogąc znaleźć matki ani brata, pojęli, że tej nocy stało się coś straszego.

Zaczęli wypytywać rodzica, co zaszło. Swaróg w końcu przemówił i wyjaśnił pokrótce sprawę, nie wdawał się jednak w zbędne szczegóły własnego pożycia małżeńskiego, by nie mącić młodych umysłów. Rozkazał synom udać się na poszukiwania i przepatrzyć wszystkie zakątki znanych im światów. Boscy junacy dosiedli wietrznych rumaków i odjechali w dal, złożywszy wcześniej solenne obietnice, że zrobią wszystko, by odszukać matkę i brata.

Mijały dni, tygodnie, miesiące – u ludzi przeszły być może całe dziesięciolecia – a synowie nie wracali. Młodzi bogowie przepadli. Tymczasem zaszły również inne wielce niepokojące zjawiska. Wraz ze Swarozycem i Strzybogiem znikły gwiazdne stada, które bracia wypasali na niebiańskich łąkach. Przepadły także chmury niosące ożywcze deszcze, przez co zaczęły wysychać rzeki. Nawet morze obniżyło swój poziom, a zatoki powoli zamieniały się w grząskie, mętne bajora. Na ziemi usychały

wszelkie rośliny, marniały pola i lasy, głodowały boże stworzenia – człowiek i wszelki zwierz. Nad światem zawisła groźba pomoru, nadciągało widmo zagłady.

Wówczas Swaróg wysłał na poszukiwania swoich bliskich Żar-Ptaki, lecz te powróciły z niczym. Przyniosły tylko wieść o pewnej samotnej i wyniosłej górze, która trzęsła się w drgawkach i buchala ogniami ze wszystkich szczelin, jakby miała zrodzić potwora. Skrzydlaci wysłannicy twierdzili, że we wnętrzu góry musiała się znajdować wielka jaskinia, gdyż wypatrzyli do niej wejście, ale zavalone było ogromnym głazem, który wprawdzie podskakiwał przy potężniejszych wstrząsach, lecz nie aż tak, by otworzyć drogę do środka. Wieść ta niewiele by obeszła Swaroga, jednak Żar-Ptaki dodały, że okoliczni ludzie powiadają, iż podziemne korytarze wiodą do ognistego wnętrza ziemi u korzeni świętego Drzewa, gdzie panuje Czarnobóg i nie sięga władza jego jasnego brata.

Cierpliwość Swaroga się wyczerpała. Domyślił się, że gniewne zachowanie góry jest kolejną ciemną sprawką zdradzieckiego brata, który właśnie tam uwięził jego żonę i synów. Targnął nim gniew, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył. Serce zawrzało pragnieniem słusznej i sprawiedliwej pomsty. Zrozumiał, że nieunikniona jest wojna światów, a on sam z dobrodusznego kowala musi przedzierzgnąć się w srogiego wojownika. Zdając sobie sprawę, że nie sprosta w pojedynkę mocom ciemności, wyszkolił do boju Żar-Ptaki, a potem na grzbiecie największego z nich poleciał w góry. Postanowił ze złomów skalnych wyciosać armię odporną na mroczne zakusy.

A tymczasem góra, o której opowiadały Żar Ptaki, nadal dygotała, wstrząsana drgawkami, jakby rodziła. Jednak to nie sama góra rodziła, lecz ukryta w jej trzewiach Mokosza. W czeluściach jaskiń legła w boleściach...

Co się stało, zapytacie? Cofnijmy się zatem do nocy, kiedy bogini umknęła z Wyraju. Czarnobóg dotrzymał obietnicy i zbudził jej syna z niezdrowego snu podobnego śmierci. Przystawił do opuchniętej stopy paskudne czarne robaki, które

wypiły z krwi dzieciaka cały jad. Potem wypalił rozżarzoną żelazną rankę po ukąszeniu. Jarowit otworzył oczy, zdawał się jednak dziwnie osowiały, a jego umysł pogrążony w odrętwieniu. Wodził zdumionym, wystraszonego wzrokiem po jaskini i otaczających go istotach, nie wiedząc, kim jest ani nie pamiętając, co się z nim stało. Nie rozpoznawał zapłakanej matki ani spętanych braci. Mroczny pan zabrał go czym prędzej przed oczy bliskich, oddając pod opiekę skrzących wykuwających broni w podziemnych kuźniach. Jak powiedziała bogini, zrobił to dla dobra jej potomka. Zapewniał przy tym, że otumaniony żmijowym jadem chłopak odzyska z czasem pamięć, a matka zobaczy go znowu, jeśli spełni warunki postawione przez pana podziemi.

Cena za uzdrowienie syna okazała się bardzo wysoka. Mocosza miała trzykrotnie poddać się gorącym pieszczotom swego gnębiciela, by zrodzić mu trzech potomków dorównujących siłą i potęgą synom Swaroga, lecz będących ich mrocznym odbiciem. Bogini była wstrząśnięta i oszołomiona, usłyszawszy tak niebywałe żądanie, wciąż jednak miała przed oczami Swarogę i Strzyboga, którzy bezsilnie szarpali się w więzach ogromnych pajęczyn rozsnutych przez potworne pająki strzegące uwięzionych bogów.

Wiedziała od Czarnoboga, że synowie szukali jej wytrwale, wypytyjąc po drodze wszelkie żywe stworzenia, pilnie tropiąc wszystkie znaki na ziemi i niebie, które mogłyby ich naprowadzić na ślad zaginionej matki. Bracia, zapędziwszy stada do pobliskiego wąwozu, zaczęli przeszukiwać okolice jaskini, gdzie wpadli w pułapkę zastawioną przez mrocznego władcę. Niebacznie weszli w obszar ruchomych piasków, które ich obezwładniły. Na wpół uduszonych młodzików porwały biesy i rzuciły swemu panu do stóp.

Mocosza widziała, jak uwięzieni synowie z dnia na dzień słabną, schną i marnieją bez świeżego powietrza i światła. Ilekroć zmrużyła powieki, jawiła się jej też blada, bezrozumna twarz najmłodszego i jego błędny wzrok. Rozumiała, że aby ich

ratować, musi złożyć z siebie dań mocom ciemności. W głębi serca tliła się jednak obawa, czy Czarnobóg znowu jej nie oszuka.

Urodziła mu dwóch synów, którzy rośli jak chleb na zakwasie i bujnie rozkwitali dzięki czarnej magii rodziciela. Starszy, wprawdzie rogaty i kosmaty jak ojciec, miał jednak nieco jaśniejszą skórę i łagodniejsze wejrzenie, choć już wtedy tlił się w jego oczach żar stosów pogrzebowych. Stateczny i skrzętny, przemyślny i chytry, a zarazem dostojny i dumny jak prawdziwy następca tronu, otrzymał imię Weles. Młodszy wziął więcej urody z matki: zwodniczo delikatny i piękny – ale pięknem zimnym, drapieżnym – oczy miał czarne i niezgłębione jak noc, a włosy białe niczym zaranna mgła. Szczupły, lecz z widoczną skłonnością do tycia, zyskał miano Chors.

Ich zniewolona matka czuła, że mimo wszystko zdoła pokochać także tych nieprawych potomków, którzy teraz, gdy rodziła Czarnobogowi trzeciego syna, stali po obu jej bokach. Sypali na buchające spod ziemi płomienie sproszkowane żdźbła bladego jaskiniowego pnącza, garście wydobytych przez skrzaty klejnotów i złota, wreszcie popioły umarłych. Z powagą mamrotali zaklęcia podszeptane przez ojca. Czarujący i jednocześnie przerażający malcy mogli śmiało walczyć z prawymi synami o uczucia matki, gdyż mieli w sobie coś niezwykłego i zagadkowego, a przez to pociągającego – jak wszystkie siły ciemności.

Czarnobóg nie miał czasu czuwać nad rodzącą, zajęty był bowiem niezbędnymi czarodziejskimi dziełami. Zwijał się jak w ukropie w licznych pieczarach, tworząc nowe podziemne byty. Pożerał gwiazdne stada dusz, potem wypluwał przeżute, okaleczone strzępki na wilgotny grunt najgłębszych pieczar. Z przepastnych głębin pośród węzlastych korzeni Drzewa Świata wylęgały się w ten sposób kolejne skrzaty, zmory, biesy, wielkie pająki i żmije oraz inne podziemne stwory, pleniąc się jak robactwo w zamulonym podglebiu wszechświatowego zamętu. Mroczny brat ulepszał dodatkowo ich postać, wypalając w skażonych sercach żądzę krwi, grabieży, nienasyconą zachłanność. Przepajał zniewolone dusze swymi pragnieniami,

stwarzając rozliczne bestie, narzędzie jego śmiałych dążeń do panowania nad światem. W krwawym ogniu i gryzącym dymie szykował własną armię, przeczuwając rychłe nadejście mściciela.

Poród najmłodszego dziedzica ciemności odbierały zmory, porośnięte futrem maskary o niewieścich ciałach z długimi, niezwykle silnymi rękami zakończonymi straszliwymi szponami. Trzymały wijącą się w mękach położnicę, nie czyniły jej wszakże swymi pazurami krzywdy, gdyż wiedziały, czym by się dla nich skończyło choćby draśnięcie wybranki mrocznego pana. Mruczały kojąco jak ogromne kocice i wylizywały łakomie krew oraz wody płodowe.

Mokosza cierpiała znacznie bardziej niż przy poprzednich rozwiązaniach. Czuła niezawodnym kobiecym zmysłem, że trzeci potomek Czarnoboga będzie większy od swoich starszych braci i przybierze prawdziwie straszne kształty. Zdawała sobie sprawę, że porodzi okropnego potwora będącego ostatecznym wcieleniem mocy ciemności. Potwora, który miał przerazić i zadziwić świat, wprawiając w osłupienie nieprzyjaciół mroku, by wypijać z nich wszelkie światło i życie.

Bóle ustały wreszcie i wszystko skończyło się okrzykiem wibrującym pod kamiennymi sklepieniami tak przenikliwie, że zdawało się, iż za chwilę przebiję i zwali wszystkim na głowy skalny strop wraz ze zwałami ziemi. Nic takiego jednak się nie stało. Zmory puściły boginię, pozwalając jej miękko opaść na wilcze i niedźwiedzie skóry. Cmokały z podziwu i czule piszczwały, spoglądając na owoc żywota wybranki pana podziemi.

Półprzytomna Mokosza uniosła lekko głowę, pełna obawy, a zarazem chorobliwie ciekawa, co tym razem wyszło z jej łona. Przez mgłę załzawionych oczu niewyraźnie ujrzała gadzi, wijący się kształt, który począł pełznąć wydrążonym przez skrzaty tunelem prowadzącym ku morzu. Stwór poruszał się początkowo niezgrabnie, czepiając się skalnego podłoża pazurzastymi łapami i odpychając od ziemi długim grzebieniastym ogonem, lecz niedługo, wspomagany zaklęciami mrocznych braci,

nabrał większej pewności ruchów i mknął coraz szybciej na zew przyjaznego sobie żywiołu. Bogini miała wrażenie, że istota rośnie z każdym oddechem, wchłaniając wszelkie światło. Potwór rósł znacznie szybciej niż jego dwaj starsi krewniacy. Umęczonej matce wydawało się także, iż spłaszczony węzowy łeb troi się w jej oczach... Zamrugła i przekonała się po chwili, że owa troistość nie była przywidzeniem. Stwór istotnie miał trzy smocze łby, które chwiały się na coraz dłuższych szyjach. Mocosza usłyszała potrójne syczenie odbijające się echemi w jaskiniach, kiedy wyrośnięty gad dotarł wreszcie do wylotu korytarza i skoczył śmiało w wodne odmęty...

Opadła na posłanie, skrajnie przerażona i równocześnie dumna, że powiła potwora, jakiego świat jeszcze nie widział. Sama była wyjątkowa, tak więc wszystkie jej dzieci, nawet te nieślubne, musiały być niezrównane. Miała jednak nadzieję, że jej małżonek poradzi sobie z gadziną, choć wiedziała, że nie będzie to łatwe zadanie. Teraz czuła się pusta i wypalona, a zarazem kompletnie spełniona. Dała z siebie wszystko zarówno jasności, jak i ciemności. Niczego większego nie ofiaruje już światu. Jeśli wyjdzie kiedykolwiek z podziemi, będzie tylko przedła wraz z siostrzanymi zorzami nici cudzych losów, bo swoje życiowe zadanie już wypełniła. Mdlejąc z wyczerpania, usłyszała jeszcze, jak jej mroczny wielbiciel mówi z dumą do dwóch starszych synów:

– Wielka Matka ofiarowała nam piękny dar. Wasz najmłodszy braciszek: Żmij Trygław...

Nie było jej dane dosłuchać reszty, bo duch bogini pogrążył się wraz z najmłodszym potomkiem w najciemniejszych głębinach, gdzie nie docierały promyki światła ani żadne dźwięki, lecz panowała gęsta grobowa cisza.

Opowieści o porwaniu bogini płodności przez władcę podziemi istniały w wielu mitologiach, a najbardziej znaną jej wersją jest grecka historia o Persefonie i Hadesie. We wschodniosłowiańskich baśniach przewija się pokrewny motyw uwiedzenia dziewczyny

przez smoka/żmija, który potem zostaje zniszczony przez błyskawicę. Tajemniczy związek kobiety z wężem, symbolem nieśmiertelności i podziemnych bogactw, przewija się też w baśniach germańskich, na przykład tych zapisanych przez braci Grimm. Jest to zatem motyw uniwersalny – nie tylko indoeuropejski, gdyż widzimy go również w innych przedchrześcijańskich kulturach. Dalekim echem jego bliskowschodniej wersji jest na przykład biblijna opowieść o pramatce Ewie i jej skuszeniu przez węża. Moja wersja „zdrady” Wielkiej Bogini i okoliczności splotzenia mrocznych potomków Czarnoboga jest literacką fikcją, opartą jednakże na archetypowych wątkach związku bogini z gadzim stworem. Również historia o czasowym uwięzieniu młodych bogów, zwłaszcza pana wiosny Jarowita (czego skutkiem, jak wierzą, były susze, nieurodzaje, pomory, głód), ma podstawy mityczno-baśniowe, które omawiali w swoich pracach o rekonstrukcji mitów wspomniani już przeze mnie rosyjscy uczeni Wiaczesław Iwanow i Władimir Toporow.

Wprowadzicie umieszczone w mojej opowieści skrzaty pracujące w podziemnych kuźniach przywędrowały do demonologii słowiańskiej z ludowych wierzeń germańskich dopiero w czasach chrześcijańskich, zwracam jednak uwagę, że także Słowianie nadali rzemiosłu kowalskiemu wymiar sakralny, czyniąc naczelne solarne bóstwo, Swaroga, pracowitym i kreatywnym władcą kuźni. Skoro zaś świat Narwii zapewne był w mitach mrocznym odbiciem Wyraju, wydało mi się konieczne zasiedlenie go rasą kowali podobnych do germańskich dwergów (kartów) czy skrzatów.



O POWIEŚĆ SZÓSTA
O WALCE BOGÓW

Zdarzyło się pewnego dnia, że Czarnobóg, jego starsi synowie i wszystkie podziemne stwory nadstawiły uszu. Nawet udręczeni więźniowie, Swarozyc i Strzybóg, unieśli czujnie głowy, by spojrzeć z nadzieją ku górze, bowiem z powierzchni dochodziło groźne miarowe dudnienie...

Dum, dum, dum... Nadchodziła armia Swaroga.

Właściwie jednak już nie Swaroga...

Zagniewany bóg, gdy wkroczył na drogę walki zbrojnej, objawił się w nowej postaci: jako Perun – potężny, srogi wojownik w złotym hełmie i pozłocistej kolczudze, zbrojny w gromowy topór i wiązki błyskawicowych włóczy. Powoził wykutym własnoręcznie wozem bojowym, do którego zaprzągnął Śwista i Pośwista zamienionych w ogniste, bystronogie rumaki. Bóg unosił się w tym nadzwyczajnym pojeździe nad głowami swych wojów, jednym spojrzeniem ogarniając przyszłe pole walki. Leciały za nim nieprzeliczone stada Żar-Ptaków wydających ogłuszający bojowy skwir.

Krocząca dołem armia Peruna wywoływała drżenie ziemi i dudniący łoskot, które zdejmowały lękiem i osłabiały wolę walki w nawet najdzikszych sercach. Zastępy tworzyły chłopy na schwał, wszystkie co do jednego wielkie jak dęby, a jeszcze lepiej rzec: ogromni jak skały, albowiem bóg wyciosał ich kowalskim młotem z głazów zalegających granie Łomnicy i innych górskich szczytów. Nasycił ich swą dzielnością, a rzeźbiąc błyskawicami kamienne serca i twarde ciała, wykrzesał w swych wojach pogardę śmierci i nieprzepartą odrazę do stworów mroku. Gdy ruszyli z zapalem do boju, wymachując wielkimi maczugami i procami, ostatki mórz oraz jezior wystąpiły z brzegów, by zalać wysuszoną, spękaną ziemię. W ten sposób Czarnobóg

chciał choć na chwilę powstrzymać pochód nieprzyjaciela. Olbrzymom wcale to nie przeszkodziło, brodziły w wodzie po kolana jak dzieciaki w płytkiej sadzawce. Budziły strach samym swoim wyglądem: wielkimi kwadratowymi łbami, szerokimi twarzami o płaskich nosach, beznamiętnymi kamiennymi oczami i potężnymi szczękami gotowymi przemielić w zębach nawet smocze kości. Skórę miały grubą i odporną, barwy brunatnej, ziemistej, porośniętą tu i ówdzie gęstym włosiem jak kępkami zrudziałej trawy. Miały też szerokie bary, nogi mocne jak pnie sosen i masywne pięści zdolne wszystko zdruzgotać. Takich to wojów wykuł z górskich głązów Perun do walki z mrocznym bratem.

Wielkiej armii zastąpił drogę sam Czarnobóg, ukazując się u stóp góry, przed wielkim głązem zamykającym drogę do jaskiń.

– Witaj, bracie – rzekł z hardo uniesioną głową i drwiącym uśmiechem na licu. – Czemu przybyłeś do mnie w odwiedziny z tak licznym i zbrojnym orszakiem? Czyżbyś nudził się w Wyraju?

– Nie chcę bratobójczej walki – odrzekł Perun, nie tracąc czasu na próżną gadaninę. – Choć ciężko wobec mnie zawiniłeś, gotów ci jestem wybaczyć, jeśli spełnisz moje warunki...

– Jakież? – wtrącił z zaciekawieniem władca podziemi.

– Oddaj uprowadzoną żonę, zwolnij więzionych synów, wypuść spętane wody, a rozejdziemy się w pokoju – zażądał twardo jasny bóg. – W przyszłości zaś masz się trzymać z dala od złotego dworu.

– Uczynię tak – odparł poważnie Czarnobóg, porzucając kpiarski ton i pochylając kosmaty łeb, by nie patrzeć bratu w oczy – jeśli uznasz mych synów spledzonych z Mokoszą za równych własnym synom i przydzielisz im godne dziedziny.

Usta Peruna zacisnęły się w cienką linię, a oczy sypnęły skrami.

– Spledziłeś z nią potomków?! – zakrzyknął gromko, piorunując wzrokiem bezczelnego wroga. – Nie daruję ci tego, zdradziecki łotrze! Ubiję cię!

Choć braterska zdrada głęboko go rozeźliła, a wściekłość zaćmiła umysł, wiedział oczywiście, że nie może zabić Czarnoboga, gdyż ten był nieśmiertelny – podobnie jak on sam. Zamierzał jednak unicestwić jego obmierzłą cielesną powłokę.

– Nie ubijesz – odparł mroczny, szczerząc szyderczo palisadę ostrych zębów – bo się przed tobą skryję.

– Gdzie?! – ryknął jasny, wznosząc piorunowy topór.

– Pod człowieka – odrzekł pan podziemi.

Natychmiast odmienił postać, ukazując się jako pierwszy człowiek, którego razem stworzyli.

– Ubiję człowieka i ciebie ubiję – rzekł bez wahania Perun.

Karzący topór spadł na człowieczy zwid, obracając go wniwecz.

– Skryję się pod koniem. – Podjął dalszą grę syn ciemności, tworząc majak czarnego rumaka.

– Ubiję twego konia i ciebie ubiję – ciągnął nieubłaganie jasny wojownik, ciskając wiązką błyskawic.

– Ale jak się skryję pod drzewo, to mnie nie ubijesz. – droczył się okrutnie Czarnobóg, skrywając się w sękatych korzeniach Drzewa Świata.

– Drzewo rozetnę i ciebie ubiję – rzekł twardo Perun, rozszczepiając potężny korzeń, aż zachwiało się całe Drzewo i ucierpiał od tego Wyraj: zatrzęsły się i rozleciały w drzazgi ściany złotego dworu, zapłonęły sen-trawy, szerniały maki na błogich łąkach – przez co do dziś wyrastają czarne na pamiątkę tamtego zdarzenia.

– Skryję się pod kamieniem – zawył Czarny niczym zaszczute zwierzę, chowając się za głazem tarasującym zejście do jego jaskiń.

– I kamień rozwalę, i ciebie ubiję – odparł syn światła, rozrąbując kamień toporem.

Zastanawiacie się pewnie, czemu Perun niszczył bez wahania wszystko, o czym mówiłem: zabił człowieka i zwierzę, a potem rozrąbał święte Drzewo? Wcale nie

dlatego, że ogarnął go szal bojowy, po prostu wiedział, że wszystko to były tylko złudne sztuczki mrocznego brata, dzięki którym Czarny chciał odwlec swój nieuchronny koniec.

Kamień jednak nie był ułudą. Kiedy rozpadł się z hukiem i otwały się wrota podziemi, wychynęła z nich ogromna armia biesów zbrojnych w kanciaste – wykute naprędce, lecz przesyczone czarną magią – topory i młoty bojowe. Za kosmatymi biesami ruszyły w bój zmije, ale jakże inne od tych, które gromił Jarowit. Dzięki temu, że od dawna opijały się światłem wykradanym Swarogowi, rozrosły się do potwornych rozmiarów, a ich ciała zostały wyposażone przez Czarnoboga w pazurzaste łapy i błoniaste skrzydła.

Obie armie, światłości i ciemności, rzuciły się na siebie i zwały w śmiertelnym uścisku. Olbrzymy ciskały ogromne głazy, za jednym zamachem zmiatając z powierzchni ziemi dziesiątki wrogów. Uderzeniami maczug gruchotały czarcie i smocze czaszki. Żar-Ptaki spalały nieprzyjaciół dotykaniem płomienistych skrzydeł i miażdżyły celnymi ciosami dziobów. Zdawało się, że przeciwnicy nie zdołają wyrządzić wielkich szkód skalnym wojom i ognistym ptakom, lecz mroczna armia okazała się niebywale liczna. Atakowała całymi chmurami, nie zważając na własne straty. Każdego zabitego sługę ciemności zastępowało mrowie innych. Biesy tłukły zapamiętałe młotami i toporami w nogi olbrzymów – nogi wielkie niczym kamienne stołpy – druzgocząc twardą powłokę i równie twarde kości. Ogień wyziony ze smoczych trzewi buchał zarem tak strasznym, że topił i rozkruszał kamienne czerepy oraz maczugi. Wprawdzie smoki nie miały dużych szans w zetknięciu z pazurami i dziobami ognistych ptaków, przez co padały rozszarpane, brocząc obficie smolistą juchą, niektóre jednak były w stanie uderzeniami grzebieniastych ogonów łamać skrzydła i karki Żar-Ptaków.

Perun, pędząc po niebie w wozie bojowym, ciskał w dół ogniste włócznie,

przypalając i rażąc śmiertelnie zacieklą, lecz bezrozumną wrażą czeredę.

Czarnobóg przyglądał się temu wszystkiemu, stojąc spokojnie na wielkim kamieniu i rechocząc złośliwie.

– Nie spodziewałeś się takiej waleczności po moich dzieciach – rzucił dumnie w stronę jasnego brata. – Sprawiają wam sporo kłopotów.

– Nie pokonają nas – huknął z niebios Perun – choćbyśmy mieli zmagać się całą wieczność.

– Wieczność to bardzo długo – rzekł Czarny. – Światłość musi kiedyś zagasnąć. Za gorąco tutaj jak dla mnie – stwierdził w końcu, strząsając pot z sierści. – Ochłódzę się w morskiej głębinie.

– Idź na dno, podły tchórze, tam twoje miejsce – odparł świetlisty bóg – ale wiedz, że i tak cię dopadnę.

– Zobaczymy – warknął mroczny i skrył się w toni.

Walka trwała bez przerwy, wstrząsając podwalinami ziemi. Wiedźcie, że ucierpiał od niej cały świat. Góry plunęły ogniem, pasma skalne zapadły się, na miejscu lasów powstały pustkowia, rzeki zawróciły bieg, wylewając i tworząc nowe koryta. Różnorodne stworzenia zamieszkujące boskie dziedziny spłonęły niczym suche badyle lub, zamienione w odrażające stwory, skryły się w wodnych głębiach. Inne błąkają się do dzisiaj po jałowych terenach, wrogie żywemu światu – część z nich uciekła w podziemia, a część zamieszkała krainy wypalone do szczytu przez boskie moce.

Ziemia drżała, a przez lądy przetaczał się gorący wichur, porywając drzewa i domostwa. Część ludzi ocalała, kryjąc się w wygrzebanych w ziemi jamach lub skalnych załomach, większość jednak nie przetrwała starcia potęg i uderzenia rozpętanych żywiołów. Gdy walczą bogowie, giną ludzie, a na wojnie najbardziej cierpią niewinni. Widzimy to i dzisiaj, kiedy musimy się zmagać z nawałą wyznawców niemieckiego boga.

Taka właśnie była cena bojów światła z ciemnością.

Słyszę, co szepczecie. Ciekawi was, cóż za wielka góra kryła w swych trzewiach zejście do podziemnego świata? Zastanawiacie się, gdzie rozegrała się straszliwa bitwa...

Cóż, zdarzyło się to tak dawno temu, że nie wiedzą tego nawet najstarsi mędrcy, bajarze zaś różnie o tym opowiadają, w zależności od tego, z którego plemienia się wywodzą.

Ślężanie przechwalają się, że była to ich święta góra, gdzie do dzisiaj składają ofiary na kamiennym ołtarzu zamykającym wejście do mrocznego zaświata. Z porzuconych przez olbrzymy głazów utworzyli kamienne kręgi, otaczając nimi wierzchołek swej góry, a na niektórych blokach skalnych wyrzeźbili wizerunki bogów i stworów biorących udział w pradawnym boju. Ślężańskich snycerzy ponosiła jednak czasem wyobraźnia, skoro przedstawiali Czarnoboga pod postacią niedźwiedzia, a Mokoszę z drapieżną rybą na łonie, choć przyznać trzeba, że niedźwiedź bliski jest Welesowi, najmłodszy zaś syn bogini dorównywał żarłocznością szczupakom i innym wodnym drapieżcom.

Z kolei plemię górali z Tatr twierdzi, że bitwa rozegrała się u nich, odnajdują bowiem do dzisiaj ogromne czaszki i kości, którymi zasłana jest pewna rozległa dolina, z tej właśnie przyczyny zwana Kościeliską. Pokazują także wędrowcom wielką jaskinię wspartą na kamiennych słupach, gdzie bogini zrodziła Żmija. Wskazują również jamę, z której potomek Czarnoboga miał wypełznąć z morza na świat. A o tym, że jama ta była kiedyś pełna wody dopływającej z morza, świadczą muszle znajdowane niekiedy w okolicznych potokach i głębokich grotach.

Podróżnicy bywali w szerokim świecie opowiadają jednak, że prawdziwa kryjówka Czarnoboga leży daleko na południu, na ziemiach innego plemienia z wielkiego Ludu Słowa. Znajduje się tam góra Trygław, czczona jako miejsce narodzin trzygłowego strażnika trzech światów. Trygław, podobnie jak Ślęza i niektóre inne

wysokie góry, jest celem uderzeń wielu piorunów, dlatego ściąga zewsząd wyznawców jasnych i ciemnych mocy.

Kto ma rację? Być może wszyscy mają słuszność albo wszyscy się mylą. Pytacie, jak to możliwe? Pamiętajcie, że czas i przestrzeń, tak ważne dla śmiertelników, nie są żadną przeszkodą dla bogów, zatem te same wydarzenia mogły nastąpić równocześnie w wielu miejscach uznawanych za święte przez liczne plemiona. Ale rzeczy takich nie jest dane ogarnąć ludzkiemu rozumowi.

Posłuchajcie, co działo się dalej...

Bitwa toczyła się nieprzerwanie, a jej losy długi czas nie były przesądzone. Perun i jego wojowie zadawali wrogom ciężkie straty, lecz kolumny wyłazących z trzewi ziemi istot wydawały się nie mieć końca. Wszystko jednak ma swój kres, nawet najdłuższa bitwa, dlatego na końcu mrocznej armii wyszły z podziemi hordy zmór i wilkołaków. Nawet te stwory, choć duże oraz silne, niewiele mogły wskórać przeciw gradowi piorunów i kamiennym maczugom. Zresztą od chwili, gdy ciemny pan zaszył się w głębinach, zapal dzieci nocy wyraźnie osłabł, a szala zwycięstwa coraz mocniej przechylała się na stronę jasności.

Wreszcie jaskinia przestała wypluwać mroczne zastępy. Wtedy w wejściu ukazała się Mokosza. Wyszła na świat prowadząc za ręce dwóch malców – jednego czarnego, kosmatego jak niedźwiadek i rogatego jak byczek, drugiego o włosach białych niczym pierwszy śnieg. Chłopcy spoglądali spode łba na rozsierdzonego świetlistego woja, który z hurkotem przemierzał niebiosy na wozie bojowym. Obawiali się go, lecz jednocześnie budził w nich podziw.

– Takiego krewnego trzeba poważać i szanować, a nie lekceważyć i prowokować, jak zrobił nasz ciemny ojciec

– szepnął Weles do młodszego brata, który odpowiedział skinieniem głowy.

– Gdyby nie jego głupia pycha, nie bylibyśmy teraz zdani na łaskę tego napuszonego orła, błyszczącego wojaka – mruknął ponuro Chors.

Mokosza słyszała te jakże trafne słowa, lecz postanowiła je przemilczeć, o czym bowiem mieliby gadać, skoro było już dawno po szkodzie? Gdyby nie zbytńia pewność siebie Swaroga i zraniona duma jego brata, może nie byłoby na świecie tych młodych bogów. Gdyby nie sen nieprzespany Jarowita, gdyby nie rozpacz matki... Gdyby, gdyby, gdyby. Za późno biadać nad rozbitym dzbanem. Skoro się stało, widać się stać musiało. Nie pozostawało teraz nic innego, jak stanąć twarzą w twarz ze swym losem. Bogini i jej dwaj mroczni synowie wiedzieli także, iż Czarnobóg trzymał w odwodzie swą najgroźniejszą broń, losy walki mogły więc jeszcze potoczyć się w zgoła nieprzewidzianym kierunku.

Ujrzawszy tę trójkę, Perun wzniósł z rozpędu karzącą prawicę...

Wstrzymał się jednak, gdy spojrział na małżonkę.

Wokół głowy Mokoszy wił się wieniec uwieędłych kwiatów niczym korona czarnych węży, a jej oblicze zastygło w żałobie po tylu straconych duszach i wypaczonych istnieniach. Oczy, niegdyś lśniące jak gwiazdy, teraz były smutne i przygaszone.

Mąż zrozumiał ją bez słów i zaniechał pomsty. Pojął bowiem, że bogini uczyniła to, co uczynić musiała, wypełniając swe przeznaczenie.

Mokosza wciąż stała nieruchomo, spokojna i gotowa na wszystko. Nagle z jej twarzy zniknął wyraz rezygnacji. Popatrzyła bystro na męża, a potem przeniosła wzrok na fale bijące niespokojnie o nadbrzeżne skały.

Perun wyczytał w tym ostrzeżenie, zrozumiał, że żona daje mu znak. Czym prędzej zawrócił wóz bojowy i pomknął nad morską toń.

W tejsze chwili wody zawrzały, zabulgotały, wybuchły ogromnym pióropuszem rozbryzgów i z głębin wyskoczyło coś na kształt czarnej, kłębiastej, wydającej ogłuszający syk chmury. Niebo się zamroczyło, gdy przestłoniła je wielka plama ciemności. Rozlewała się coraz szerzej i szerzej.

Jasny bóg ruszył na jej spotkanie, ciskając na oslep wiązkę piorunów. Jego orli

wzrok wyłuskał wkrótce zarys wijącego się trójgłowego potwora, najgroźniejszego syna ciemności. Zadaniem Żmija – podobnie jak od prawieku do dziś jest zadaniem jego mniejszych pobratymców – było zżeranie wszelkiego światła i karmienie się nim na chwałę mroku. Perun szybko pojął, z kim ma do czynienia, i przygwoździł wroga spojrzeniem ogarniającym szóstkę gadzich ślepi, które łypały nań zimno, nienawistnie, a zarazem łakomie.

Padające z oczu boga smugi boleśnie bijącego światła sprawiły, że z trzech gardzieli Żmija wydarły się wściekłe skrzeki, potwór nie stracił jednak zapału do walki. Najpierw rozciągnął swoje olbrzymie cielsko, potem wygiął groźnie grzbiet. Choć oślepiiony, syczał wyzywająco. Wchłaniał bijącą od boga światłość, oplatając wóz bojowy węzowym ogonem i próbował kąsać rumaki. Nie pozostawały mu dłużne, gryząc i tłukąc wściekle kopytami trzy łby gadziny. Trygław okazał się zbyt powolny – nie nadążał za rozjuszonym wojownikiem, który nieustannie zadawał mu celnie wymierzone ciosy toporem i ognistymi pociskami. Nie nauczył się jeszcze sztuki uników, umiał jedynie rozpętywać niszczycielski żywioł.

Kolejna wiązka piorunowych strzał osłabiła bestię. Kąsające całe ciało błyskawice zadawały nieznośny ból.

Żmij skręcał się w drgawkach, zwijał w kłębek, to znów rozciągał jak struna, kłapał zębami i syczał, lecz niekończący się ognisty deszcz zamieniał jego grubą skórę w rzeszoto. Stwór krwawił z coraz liczniejszych ran. Smocza posoka spływała na ziemię ożywczą ulewą, zawierała bowiem skradzione wcześniej światowi wody deszczowe, którymi poił syna mroczny rodzic.

Napowietrzna walka wstrząsnęła ziemskimi posadami.

Perun zdołał w końcu rozłupać dwie czaszki poczwary, dzięki czemu wypłynęły z nich na niebo gwiazdne stada, którymi Czarnobóg karmił skrycie swego potomka. Gdy zaś wiązka błyskawic rozpruła brzuch Trygława, lunęły na ziemię uwięzione we wnętrzościach gada deszcze, przywracając ziemi wilgotność i żywność.

Matka uradowała się z przywracającej światu życie ofiary potomka, choć nie dała po sobie nic poznać. Stała wciąż nieruchomo przed wejściem do podziemi, ściskając za ręce dwóch starszych bękartów, z godnością czekając na wyrok zwycięskiego małżonka.

Gdy pokonana bestia runęła z wysokości niebios i wpadła w morską toń, resztki armii ciemności zachwiały się i cofnęły. Zmieszane szyki nie mogły się schronić w jaskini, bowiem Mocosza zagradzała im drogę odwrotu. Niedobitki biesów zapadły się pod ziemię lub rozplynęły w smugach czarnego dymu. Smoki syknęły żałościwie, widząc klęskę największego pobratymca, i wnet podały tyły, pragnąc zbiec – choćby i na kraniec świata – przed niechybną śmiercią. Niewielu gadom się to udało, bo Żar-ptaki ścigały je zaciekle. Zmory i wilkołaki rzuciły się do panicznej ucieczki, szukając kryjówek w gęstych puszczech i mrocznych uroczyskach. Niektóre dobił Perun swymi daleko lotnymi włóczyniami.

Tak zakończyła się najstarsza z bitew pomiędzy światłem a ciemnością.

Kosmiczny pojedynek boga gromowładcy – uosobienia sił ogniowych, słonecznych i piorunowych, będącego też symbolem hierarchicznego porządku – z przedstawiającym mroczne siły chaosu i śmierci wężem-smokiem to kolejny motyw mityczny wspólny dla wielu ludów indoeuropejskich. Pojawia się w licznych wariantach baśni słowiańskich oraz w kilku szczerkowo zachowanych przekazach mityczno-legendarnych takich jak opowieść o smoku warwelskim. W wersjach mocno schrystianizowanych przybrał postać znaną na przykład z bardzo popularnej tak w kręgu zachodnim, jak i na Rusi legendy o świętym Jerzym smokobójcy. W mojej historii kilkakrotnie podkreśliłem motyw uwięzienia przez smoka wód ziemskich, co prowadziło do susz i nieurodzajów, a mogło nawet spowodować koniec świata. Uwolnienie owych wód przez boga piorunowego przywracało płodność, a w ogólnym ujęciu – porządek kosmiczny.

Pochodzący z baśni białoruskiej (i przytaczany w pracach Aleksandra Gieysztor a i Andrzeja Szyjewskiego) dialog między jasnym bogiem a jego mrocznym antagonistą cytuję

niemal dosłownie, jedynie lekko go modyfikując, by był zgodny z moim założeniem narracyjnym.

O PONOWNYM URZĄDZENIU ŚWIATA

Na polecenie swego władcy olbrzymy przeszukały morskie dno i wygrzebały z lepkiego mułu pokonanego Czarnoboga. Przywiodły go do bram Wyraju na boży sąd.

Perun skazał przeciwnika na wieczny pobyt w jamie pod korzeniami Drzewa. Skuł go czarodziejskim łańcuchem i pozostawił na pastwę dojmującej samotności oraz gnębiącego upokorzenia. Liczył, że w końcu mroczny brat wyzna, gdzie ukrył Jarowita, którego nigdzie nie można było znaleźć. Świetlisty bóg domyślał się tylko, że przebiegły wróg ukrył chłopaka w najgłębszych czeluściach, gdzie nie sięgało Swarogowe jasne oko ani nie docierały pioruny.

Czarnobóg twierdził, że nie wie, gdzie jest Jarowit, a zasłaniał się zaćmieniem umysłu, toteż ojciec zaginionego miał nadzieję, że długie więzienie odświeży skazańcowi pamięć. Odebrał także mrocznemu bratu władzę nad morzem i przekazał ją Strzybogowi. Odtąd średni syn był panem morskiego wiatru i sławionym w pieśniach bogiem żeglarzy.

Ziemia trzęsie się czasem, także w naszych czasach, gdy Czarnobóg szarpie się, pragnąc uwolnić. Powiadają, że co miesiąc rozkuwa jedno ogniwo łańcucha. Owa żmudna robota idzie mu nieco szybciej, gdy nadchodzi zimowy czas i zwiększa się potęga sił mroku. Pod koniec zimy zostaje mu do pokonania już tylko jedno ogniwo, lecz właśnie wtedy zjawia się Perun, by zakuć więźnia ponownie, odtwarzając okowy pierwszym wiosennym gromem. Dzięki temu pryskają lody, śniegi topnieją, dni stają się cieplejsze, a kołowrót dziejów może obracać się dalej.

Muszę wam rzecz o czymś jeszcze. Swaróg, nawet gdy przybiera wcielenie Peruna, pana bitnego i krewkiego, nie przestaje być uczciwy i sprawiedliwy. Gdy zatem

postawiono przed nim dwóch bratanków, uznał, że nie będzie ich karał za winy ojca. Wszak niczym nie zawinili, co najwyżej wykonywali rozkazy rodzica. Co więcej, przydzielił mrocznym bóstwom odpowiednie dla nich dziedziny.

Weles otrzymał władztwo podziemnego świata, zwanego odtąd Nawią. Zasiadł na złotym tronie wplecionym w korzenie Drzewa, dzierżąc w ręku pasterski kostur, został bowiem pasterzem dusz tych zmarłych, którzy nie dostąpili Wyraju.

Chors został bogiem nocy, co pasowało do jego postury, gdyż równie szybko tył, co potem chudł. Skoro już noc miała swego władcę, dzień nie mógł pozostać bez własnego pana, został nim więc Swaróżyc.

Gdy Żmij Trygław, od dnia bitwy spoczywający na morskim dnie, wylizał się z ran i odtworzył swoje gadzie cielsko, przypętlł do bram Wyraju i złożył hołd zwycięzcy. Za bratem wstawił się Weles, dlatego Perun mianował smoka strażnikiem trzech światów i wartownikiem wrót do krainy umarłych.

Będę jeszcze miał okazję rzec więcej o świecie Nawii i dziejach przyrodnicich braci, gdy opowieść zejdzie na ich sprawy. Cierpliwości. Na razie, musi wam wystarczyć wiadomość, że w ten sposób utrzymana została chwiejna równowaga wszechświata, gdyż stary chytrus Czarnobóg, choć złamany i pokonany, osiągnął swój cel.

Dlaczego? Jeszcze pytacie?

Żądał przecież, by jego brat uznał zdradziecko spłodzonych bękartów za pełnoprawnych współwładców. Tak się też stało. A kiedy Czarnobóg znalazł się w więzieniu, po raz ostatni oparł się potędze jasnego brata i wypaczył magię, która miała krępować jego ciemną moc. Choć spętany, do dziś może częściowo władać ludzkim światem poprzez swych synów oraz podążających mrocznymi ścieżkami czarowników i żerców składających ofiary Welesowi i Chorsowi. Nęka też śmiertelników za pomocą podległej synom armii biesów, zmór, upiorów i wilkołaków – stworów posiadających część jego podziemnej potęgi. Tym sposobem wciąż wpływa na ludzkie losy, zsyłając niedole, choroby i nagłą śmierć, siejąc w sercach

strach, złość i nienawiść. Tylko życzliwość jasnych bogów może nas uchronić przed mrokiem, tylko krwawe ofiary mogą obłaskawić synów czarnego władcy, toteż nie zanedbujcie godnych dani dla panów i jasnej, i ciemnej strony.

Mokosza poszła na dobrowolne wygnanie, tak jak zamierzała. Osiadła na krańcu świata, gdzie wspólnie z siostrzanymi zorzami wyplata przędzę boskich i ludzkich dziejów. Czasem zjawia się w Wyraju, by odwiedzić umiłowanych synów. Opowiem o tym później.

Świetlisty pan, zakończywszy boskie sądy i rozdzieliwszy dziedzictwa, poczuł się wielce strudzony. Przekazał władzę nad światem młodszym bogom, pozostawiając im dużą swobodę. Z pomocą Swarozycy odbudował Wyraj, a powróciwszy do wcielenia dobrotliwego, pracowitego Swaroga, poświęcił się swej ulubionej pracy w kuźni.

Przychodzą jednak i takie chwile, że wyczerpuje się jego cierpliwość, gdy dochodzi do wniosku, iż przebrała się miarka ziemskich nieprawości. Zaprzęga wtedy wiatry lub Żar-Ptaki do złotego wozu i jako gniewny Perun galopuje po niebie, rażąc gromami wyjątkowo szkodliwe biesy i ludzkich złoczyńców. Wojownicy czczą go do dzisiaj pod tą postacią, wierząc, że wesprze ich na polu walki i doda męstwa w niełatwy wojenny czas.

Dziejom tym sławę śpiewają, lecz jaka wiedza płynie z tej opowieści dla nas, zwyczajnych ludzi?

Wiemy już, że kiedy z pierwszą wiosenną burzą na niebieskim sklepieniu kłębią się potworne cielska czarnych chmur, przesłaniając słoneczną światłość, piorun w nich błysnie i z rykiem uderzy, rozrywając smocze ciało, by zmijowa krew zrosiła ziemię odżywczą ulewą. W ten sposób Gromodzierzca rok po roku, ciągle od nowa pokonuje Żmija, rozszczepia chmury i oswobadza spętane wody. Niegdyś skuł zmijowego ojca łańcuchem, by życie nieustannie się toczyło w kołowrocie powtarzających się pór. Zimowa śmierć zawsze jest zaczynem nowego życia,

warunkiem odrodzenia.

Matka Ziemia zaś każdej wiosny przyjmuje niebiański ogień i uwolnione wody, by wszystko w niej zakiełkowało, rozkwitło i obrodziło. By mężny Jarowit powstał z zimowego snu, zbudzony gromem Peruna, a postarzała, zgorzkniała Marzanna odrodziła się jako młoda Dziewanna, spragniona ciepła i miłości.

Dla młodych to czas zabawy, dobierania się w pary, czas wesela. Dni stają się coraz dłuższe i bardziej świetliste, aż w końcu przychodzi ten najważniejszy dzień ostatecznego zwycięstwa nad nocą. Palimy wtedy ogień radości na znak letniego przesilenia, będącego chwilą pogromu mocy ciemności, które w zimnych miesiącach zsyłają głód, chłód i choroby.

Z opowieści o urządzeniu świata można wyciągnąć jeszcze inną naukę: nie oceniamy ludzką miarą boskich uczynków i nie próbujemy ich naśladować.

Dziewczęta niechaj dobrze się zastanowią, za kim chcą skoczyć poprzez ogień i z kim będą się tarzać na mokrej trawie w noc Kupały. Mężatki niech nie ulegają słodkim słówkom i obietnicom pierwszego z brzegu zamorskiego przybłądy, bo skutki mogą być opłakane. Pamiętajcie, że co wolno bogini... Wspomnijcie jej smutny los, gdy składacie ofiary pod lipą, świętym drzewem Mokoszy.

Mężowie niechaj będą bardziej wyrozumiali dla swoich steranych życiem żon, matek i innych niewiast, a ojcowie dla lekkomyślnych pociech, kapryśnych córeczek i synów psotników. Z czasem przecież dorosną, zmadrzeją i przejmą ojcowe dziedzictwo. Tylko sami dajcie im dobry przykład. Brońcie swoich domów przed obcymi i nie szukajcie wroga pod własnym dachem.

Nie mierzcie czynów istot nieśmiertelnych ludzką miarką, bo wtedy panowie niebios odmierzają wam boską miarę i spłoniecie w ogniu jak skwarki albo we śnie zadusi was zmora.

Czemu mrużę oko? Coś mi chyba w nie wpadło lub drży starcza powieka. Nie te oczy, co dawniej... Przynies piwa, chłopcze, a żywo!

Motyw spętania pokonanego boga podziemi łańcuchem, z którego się sukcesywnie uwalnia, by w ostatniej chwili zostać ponownie skutym za pomocą pioruna przez pana niebios, jest szeroko omawiany w pracach Aleksandra Gieysztor, Andrzeja Szyjewskiego i państwa Tomickich. Uczeni zwracają uwagę na czytelną symbolikę opowieści, obrazującą walkę światła z ciemnością, lata z zimą i dnia z nocą. W tym też duchu pozwoliłem sobie zinterpretować ową opowieść, dodając nieco własnych przemyśleń.

Powojenne perypetie Mokoszy i jej nieprawych synów (jak na przykład okoliczności wyniesienia Welesa na władcę Narwii) są moją konfabulacją, jakkolwiek zgodną z logiką hierarchii słowiańskiego panteonu i z zaproponowanym przez Aleksandra Gieysztorą podziałem boskich „funkcji”.

W opowieści o ponownym urządzeniu świata zwróciłem uwagę na kwestię podstawową dla funkcjonowania społeczeństw przedchrześcijańskich: pojmowały one dzieje przede wszystkim jako kołowrót powtarzających się co roku zdarzeń, zaś patrzenie na historię było podporządkowane temu pierwszemu sposobowi widzenia świata. Dlatego według „pogańskich” wierzeń walka boga gromowładcy ze smokiem odbywała się co roku na nowo, podobnie jak wszystkie inne mityczne wydarzenia mające wpływ na zamieranie i odradzanie się przyrody. Był to jeden z przejawów religijno-magicznego pojmowania świata, a więc sposobu patrzenia na rzeczywistość, który jest nam obecnie niemal kompletnie obcy.

KSIĘGA 2

ŚWIATŁO I MROK

O PRAWOŚCI CZŁOWIECZEJ

Po wielkiej wojnie nastały długie lata pokoju, dzięki czemu ziemski świat począł się odradzać.

Ocalałe z pogromu żmije, jaszczury i inne gadziny wypełzały ze swych ciemnych, wilgotnych nor i jak dawniej grzały się w ciepłe Wyraju, pasąc się jego światłem. Gniewało to Swaroga, pamiętał bowiem, jaką rolę odegrały podczas bojów światła z ciemnością. Wszystkie też wciąż posiadały krztyne potęgi mrocznego władcy i były jego szpiegami.

Pewnego dnia bóg zadał więc sobie trud, powyławiał wszystko, co się wiło, pełzało i było pokryte łuską, a potem wrzucił do wielkiej sakwy. Postanowił raz na zawsze pozbyć się z ludzkiego świata nadmiernie rozplenionego paskudztwa, powierzając je wodnym otchłaniom. Zdawał sobie jednak sprawę, że sam nie może dokonać tak ryzykownego dzieła, a że jego najstarszy syn zajęty był pracą w kuźni, Swaróg zawołał do pomocy pierwszego człowieka. W swej boskiej mądrości wiedział, że tylko człowiek, istota posiadająca dwoistą naturę zawierającą skrę światła i smugę cienia, może swymi czynami naruszać równowagę w przyrodzie.

Są mądrzy żercy, którzy powiadają, że człowiek ma w istocie dwie dusze: jedna pochodzi od Welesa i wraca wraz ze spopieleniem ciała do Nawii, druga zaś trafia do Wyraju, jest bowiem czystą iskrą życia. Może to i mądre, ale trochę zbyt zawile jak na mój rozum. Zapytajcie o to jakiegoś wróża z wyroczeni w Arkonie, może wam to jaśniej wyłoży.

Przy okazji Swaróg postanowił wypróbować charakter pierwszego człowieka, co miało mu wiele powiedzieć o całej ludzkości.

– Zabierz ten wór – rzekł – i nie zaglądając do środka wrzuc w morskie odmęty.

– Taki wielki?! – zatroskał się śmiertelnik. – Nie wiem, czy sam udźwignę. Może zawołam do pomocy żonę i synów?

– Jesteś pierwszym z ludzi! – zgromił go bóg. – Obdarzyłem cię wystarczającą siłą, sam powinieneś sobie z tym poradzić. Do tego, co masz zrobić, nie trzeba pomocników ani zbędnych świadków. Pozbądź się sakwy, a otrzymasz nagrodę.

– Co w niej jest? – zainteresował się człek, spoglądając łakomie na ruszający się jakby sam z siebie worek. – Szczeniaczki albo kocięta? A może coś jadalnego?

– Nie musisz tego wiedzieć – odparł stanowczo Swaróg, trochę zniecierpliwiony wścibstwem istoty. – Po prostu zrób, co ci polecono. Przysięgnij na wszystko, co dla ciebie najświętsze, że nie zajrzysz do środka.

– Jak każesz, jasny panie – powiedział gorliwie śmiertelnik, schylając głowę z pokorą. – Przysięgam na światło dnia i ludzką rodzinę.

Wbrew jego obawom wór nie okazał się zbyt ciężki, był bowiem zaczarowany. Człek dźwignął go bez trudu, zarzucił sobie na plecy i posapując, bardziej z przejęcia niż prawdziwego wysiłku, ruszył powolnym krokiem ku morzu. Wciąż zżerała go ciekawość, co też pan światłości mógł ukryć w sakwie.

„Chyba coś bardzo cennego, skoro Swaróg chce to skryć na dnie morza. Musi mieć ważny powód, by tak postąpić i dlatego wybrał mnie na specjalnego posłańca. – Zastanawiał się, pęczniąc z dumy. – Zapewne w worku jest wspaniały dar dla władcy mórz, Strzyboga. Stary chce zrobić paniczowi miłą niespodziankę. Coś się tam rusza, szeleści i posykuje... Może to żywe światło, piękne zwierzę lub nowy rodzaj Żar-Ptaka wykuty w boskiej kuźni? Albo po prostu smakowity kąsek, który trafi na pański stół? Zajrzę do sakwy ukradkiem i przekonam się, co w niej jest. Nie wyrządę tym przecież nikomu żadnej szkody”.

Nie mogąc się dłużej powstrzymać, rozsuptał worek i zerknął do środka. Ujrawszy kłębiące się i wijące ohydne kształty, cofnął się, upuszczając sakwę, a wówczas wszystkie gadziny wypełzły z radosnym sykiem. Smoki rozwinęły błoniaste

skrzydła i uleciały, a pozostałe poczwary rozlazły się na powrót po całej ziemi. Człowiek najpierw osłupiał ze zgrozy, potem padł zemdłony na samą myśl, że za złamanie przysięgi zostanie spiorunowany bożym gniewem.

Swaróg poczuł, że stało się coś wbrew jego woli i niezwłocznie przybył na miejsce zdarzenia. Przekonał się, że sługi ciemności zerwały się z uwięzi, wykorzystując ludzką słabość. Długo stał zasmucony nad wciąż nieprzytomnym człowiekiem, marszcząc jasne czoło, wreszcie przywołał Swaróżyca.

– Powiedziałeś ludziom, jak zdobywać strawę, jak wytwarzać użyteczne narzędzia, jak walczyć o byt. – Oceniał łaskawie rodzic. – Dlatego zwą cię Dadźbogiem, skoro dałeś im aż tyle i zapewniłeś dostatek. Obdarowałeś ich zaiste hojnie, lecz nie nauczyłeś najważniejszego...

– Czego, mój ojcze? – spytał niepewnie pierworodny, spoglądając z troską na bezwładne ciało śmiertelnika.

– Nie wytłumaczyłeś im, na czym polegają wierność, honor, lojalność. Nie wyjaśniłeś, jak ważne jest dotrzymywanie słowa. Zwłaszcza słowa danego potężnym opiekunom. Ludzie są zbyt samolubni, kierują się tylko własnymi korzyściami lub zachciankami. Nie rozumieją, że trzeba dążyć do wspólnego dobra. Od ciebie muszą dowiedzieć się, na czym polegają prawość i uczciwość. Naucz ich, jak wiecować dla pożytku własnego ludu oraz jak starszyzna ma odprawiać sprawiedliwe sądy i mądrze wybierać wodza na wojenną wyprawę. Młodzi powinni szanować wolę starszych, mężowie cenić pracę żon, niewiasty być wierne mężom. Nauczysz ich tego wszystkiego i dopilnujesz, by żyli wedle nadanych im praw.

– W jaki sposób mam tego dopilnować? – Zdziwił się Swaróżyca.

– Jesteś już panem dnia, zatem od tej pory codziennie będziesz przemierzał niebo na złotym wozie – oznajmił rodzic. – Patrząc na ziemię z góry, staniesz się moimi oczami i uszami. Gdy spostrzeżesz jakąś nieprawość, powiesz

mi o niej, ja zaś ukarzę złoczyńców.

– Mam bystre oczy po tobie, lecz obawiam się, że nie wszystko dostrzegę. – zafrasował się syn. – Ziemia jest wielka i ludzi na niej mnogość.

– Dostaniesz cztery oblicza. – zdecydował jasny pan, przypomniawszy sobie rzucony ongiś w żartach pomysł Czarnoboga. – Jedno zachowasz swoje, a trzy pozostałe zawrą część mocy mej i twoich jasnych braci. W jednej chwili będziesz mógł zważać na cztery strony świata. Pod stopami zaś będziesz miał Żmija Trygława na pamiątkę, że świat jest jednością dwóch sił, lecz to światłość zwyciężyła nad mrokiem.

– Teraz wierzę, że wykonam zadanie – stwierdził młodzian z promiennym uśmiechem. – Wracajmy do kuźni popracować nad nowym dziełem!

– Chodźmy, synu – rzekł Swaróg, ruszając w stronę Wyraju.

– A co z tym wiarołomnym padalcem? – Zainteresował się na odchodnym Dadźbog, spoglądając na leżącego człowieka.

– Prawda, niemal zapomniałem – przyznał najwyższy bóg. – Złamał przysięgę i wypuścił zło na ziemię, musi zatem zapłacić za błąd. Trzeba go pokarać, innym dla przykładu. Jest jednak moim ulubionym dziełem, pierwszą istotą myślącą, a właśnie nadmiernie żywy umysł sprowadził go na manowce. Wyczuwam w tym brudny paluch Czarnoboga, lecz mój upadły brat niedługo będzie się cieszył swym małym zwycięstwem, gdyż pierwszy człowiek poniesie karę, która okaże się zarazem nagrodą.

– Jakże to, ojcze? – zdumiał się słoneczny dziedzic, unosząc jasne brwi.

– Zamienię go wraz z rodziną w bociany – stwierdził Swaróg. – Skoro uwolnił wszelkie pokraczne stwory, stanie się teraz ich tępicielem. Będzie na nie polował i żywił się nimi.

– To będzie jego nagroda? – spytał zaskoczony Swarozyc. – Odżywianie się plugastwem?

– Nie. – zaprzeczył z uśmiechem boski rodzic. – Na koniec każdej zimy, gdy wraz z innymi ptakami wyleci z Wyraju do ziemskiego domu, przyniesie ludziom dusze tych wybrańców, którzy odprawili już z nami swe gody i uznamy ich za godnych powrotu na ziemię. Podobnie będzie postępował z duszami tych, którzy mają się narodzić po raz pierwszy. Gdzie zawita i założy gniazdo, tam przybędzie nowej krzepkiej dzieciarni. Ludzie będą go za to kochali i szanowali.

– Zaiste, piękny dar. – ocenił rozradowany pan dnia.

Wicie już teraz, smyki, dlaczego Lud Słowa tak kocha boćki wijące gniazda na strzechach jego chat i czemu zbrodnią jest szkodzenie skrzydlatym poślącom. Nie jest jednak prawdą, co niańki bajają dzieciakom, że bocian je przyniósł i wrzucił przez dymnik do matczynej kolebki. Ptaki te są wybrańcami, potomkami pierwszego człowieka i nosicielami dusz z Wyraju. Dlatego tam, gdzie zamieszkają, przynoszą ludziom dobrobyt i szczęście. Zapamiętajcie tę opowieść i spróbujcie ją zrozumieć.

Starsi zaś niech się dowiedzą, że za sprawą woli Swaroga jego promienny syn objawił się ludziom jako Świątowit o czterech twarzach, pierwszy prawodawca i strażnik odwiecznych obyczajów. Widzi więcej niż ojciec i bracia z osobna – widzi wszystko, bo ma cztery twarze. Ma w sobie siłę nie tylko własną, ale także krewniaków, a zatem posiada moc najwyższą.

Może teraz łatwiej wam będzie zrozumieć, co przedstawia jego posąg w Arkonie. I dlatego żercy opiekujący się tą świątynią chętnie powtarzają: „Wielka to tajemnica, że Swaróg jest Perunem, a obaj są Świątowitem”. Słowa te staną się dla was mniej zagadkowe, gdy całkowicie pojmiecie opowiedzianą dziś historię. Czasem bowiem rozwiązanie najtrudniejszych życiowych zagadek mamy przed oczyma – wystarczy spojrzeć na świat wnikliwie. Dobrze użyta wiedza to wielka potęga, przyjaciele. I wy zróbcie z niej odpowiedni użytek, piekąc wielki, rumiany kołacz na doroczną obiadę w świątyni.

Przytoczona baśń o powstaniu bocianów (jak też wiele innych opowieści o tych

wspaniałych ptakach) popularna jest na całej Słowiańszczyźnie i niewątpliwie stanowi ślad po wierzeniach dotyczących zarówno narodzin człowieka, jak i jego losu po śmierci.

Ciekawe jest spostrzeżenie, że według niektórych opowieści dawni Słowianie dopuszczali możliwość reinkarnacji, co przedstawiłem w kilku miejscach książki jako powrót niektórych dusz z Wyraju na ziemię.

Motyw dwóch dusz, być może wywodzący się z dualizmu szamanistycznego (elementy szamanizmu są silnie obecne w wierzeniach słowiańskich, o czym przekonująco pisał Andrzej Szyjewski), jest widoczny w wielu polskich i ruskich baśniach, a jego korzenie tkwią zapewne we właściwej dla Słowian religijnej koncepcji natury człowieka.

W interpretacji charakteru i funkcji Świętowita kierowałem się głównie koncepcjami Aleksandra Gieysztor i Borysa A. Rybakowa, dodając krzytnę własnych przemyśleń.



O TARCZACH SŁONECZNEJ I KSIĘŻYCOWEJ ORAZ O WILKOŁAKACH I UPIORACH

Spójrzmy na potomków najstarszych bogów. Czy dobrze się układało między tymi jakże odmiennymi braćmi z dwóch różnych ojców?

Strzybóg i Weles władali na swoich włościach i nieczęsto nawiedzali Wyraj, nie wchodzili więc sobie ani innym krewnym w drogę. Z kolei o niechlubnej pamięci Żmiju Trygławie i zaginionym Jarowicie nikt nie ważył się wspomnieć przy władcy złotego dworu, by nie zostać spiorunowany jego gniewem.

Zupełnie inaczej było ze Swarozycem i Chorsem. Nie będzie dla nikogo z was zaskoczeniem, gdy powiem, że ci przyrodni bracia nie przepadali za sobą. Trudno się temu dziwić. Codziennie się ze sobą stykali, mieszkając pod wspólnym dachem. Każdy, kto widział ich razem a umiał patrzeć i porównywać, gołym okiem dostrzegał wyraźne różnice pomiędzy krewniakami. I nie chodziło tylko o to, że jeden władał dniem, a drugi nocą. Różnili się wszystkim: wyglądem, charakterem i usposobieniem.

Swarozyc był rostry i krzepki jak dębczak, barczysty, rumiany i ogorzały od pracy w kuźni. Prawdziwy okaz zdrowia i siły. Oczy jasne niczym dwa jeziora, włosy pszeniczne jak nici Mokoszy. Wyrazista i szczerą twarz, z której mogłeś bez trudu wyczytać uczucia. Z natury prosty w obejściu, pogodny, otwarty na cały świat i przystępny dla innych istot, spoglądał na nie życzliwie, choć może nieco z góry, lecz tę mimowolną wyniosłość usprawiedliwiała nadana mu przez ojca wysoka władza. Czasem jego przystojne oblicze przysłaniała chmura, gdy troskały go czyjeś nieprawości lub podłe zamiary czające się na dnie ludzkich dusz, nic jednak nie zdołało na dłużej przyćmić radosnej, życiodajnej natury Dadźboga.

Chors zaś był wiotki, delikatny, giętki jak pnący się po ścianie powój. A raczej

niczym wątle rośliny wyrosłe w podziemnych ciemnościach albo na morskim dnie. Wiecznie blada twarz i mlecznobiała skóra miały w sobie pewien omdlewający czar, a także zwodniczą łagodność. Ciągłe zdawał się zmieniać oblicze: policzki raz stawały się owalne i gładkie, innym razem zapadłe i ostro zarysowane, jakby ich właściciel zrobił się nagle wychudły, wręcz wynędzniały. Nabierał wtedy drapieżnego, niebezpiecznego wdzięku. Po jakimś czasie wszystko wracało do poprzedniego stanu i znowu bywał miękki, wydelikacony, ospały. W czarnych oczach błyskały czasem dziwne iskierki, niczym światło dalekich gwiazd, lecz próżno doszukiwałbyś się w nich choćby cienia jakiegoś cieplejszego uczucia. Właściwie nawet: cienia jakiegokolwiek uczucia, były bowiem zimne i niezgłębione jak najgęstszy mrok, z którego Chors przecież się wywodził. Nigdy nie wiadomo było, co myśli i przeżywa, nie sposób też było przewidzieć, co uczyni. Stroniący od innych, wędrujący własnymi drogami, za jedyne go towarzysza mający odziedziczonego po ojcu wilka, ten samotnik o skrytej naturze wzbudzał w Dadźbogiu niejasne obawy, a zarazem niezdrową ciekawość.

Swarożyca wszystko w młodszym bracie mierziło. Denerwowała go milkliwość oraz nieszczerłość pana nocy, który przygwożdżony kłopotliwym pytaniem, nigdy nie odpowiadał wprost, lecz zawsze wymijająco. Drażniła władcę dnia nawet mlecznobiała grzywa Chorsa, opadająca gęstą falą na ciemne, nieprzeniknione oczy. Najbardziej nieznośna dla pierworodnego dziedzica była jednak dziwna nieokreśloność postaci krewniaka. Gniewało Swarożyca, że Chorsa zawsze otulają zwoje fałdzistej czarnej szaty skrywającej całą sylwetkę, przez co świetlisty dziedzic nie wiedział, jak młodzik wygląda naprawdę: gruby jest czy chudy, umięśniony czy wątły. Właściwie nie wiedział o nim niczego pewnego. Chors wymykał się wszelkim określeniom niczym oślizgły piskorz.

Oprócz wspólnej matki nic ich nie łączyło, a dzieliło wszystko. Nie dawało to spokoju pierwszemu następcy Swaroga i nieraz spędzało mu sen z powiek.

Bracia rozmawiali ze sobą niewiele i boczyli się na siebie, gdy podczas wykonywania boskich obowiązków mijali się o brzasku i o zmierzchu u bram Wyraju, czyli w porach, kiedy jeden wyruszał w drogę po niebie, a drugi wracał do domu na spoczynek. Życzyli sobie wówczas miłego dnia albo dobrej nocy. Tylko tyle lub aż tyle, bo mogli przecież wcale ze sobą nie gadać i całkiem się unikać, odwracając głowy w milczeniu, jak to się zdarza pomiędzy ludzkimi krewnymi, zwłaszcza gdy chodzi o spadek po bogatym przodku. Ślepa zachłanność zniszczyła już niejednen wielki ród. Pierworodni niech postarają się wyobrazić sobie, jak ciężko być tym młodszym, mniej ważnym i uznawanym za gorszego. Trudno żyć, kiedy sam los wyznacza komuś tak niewdzięczną rolę.

Ojciec bogów widział, co się dzieje, choć pozornie nie zwracał na nic uwagi, udając zajętego kowalskim rzemiosłem. Martwił się jednak, że nabrzmiewające między przyrodnimi braćmi napięcie może doprowadzić do kolejnej wszechświatowej waśni, która ponownie zburzy porządek całej przyrody. Postanowił otwarcie wesprzeć pierworodnego i jednocześnie przypomnieć bękartowi, gdzie jego miejsce, aby w przyszłości nie było w tym względzie żadnych nieporozumień. Skoro nie wystarczyło obdarowanie Swaróżyca wozem do wędrówek po niebie, podczas gdy Chors musiał przebywać pieszo swą nocną drogę, trzeba było wymyślić dla pierworodnego jakieś wyraźniejsze odznaki jego nadrzędnej pozycji. Przemyślawszy całą rzecz, doszedł do wniosku, że pora poszukać najstarszemu synowi odpowiedniej narzeczonej. Gdy Swaróżyć uderzy w konkury do jakiejś dobrze urodzonej panny, jego myśli zajmie coś ciekawszego niż rozgryzanie tajników braterskiej natury. Owładnięty zbawiennym, jak sądził, pomysłem, Swaróg od razu wziął się do roboty. Uprzedził syna, że niedługo wyposaży go w dar, którego wspaniałość pozwoli Dadźbogowi zdobyć serce każdej boginki, nawet najwybredniejszej.

Pracował nad nowym dziełem dzień i noc, a tak zawzięcie, aż co jakiś czas ciemniało mu w oczach, zaś strugi potu zlewały oblicze. Odrzucał w kąt kolejne

nieudane wersje zamysłu, dążąc jak zawsze do doskonałości.

Chors, zaciekawiony, nad czym najwyższy władca tak długo pracuje, posłał na przespīgi wilka odziedziczonego, jako już rzekłem, po Czarnobogu. Zwierz ten był nieodstępnym towarzyszem nocnych wędrówek białowłosego pana, lecz w czasie dnia równie wielką wierność okazywał Welesowi, któremu donosił o wszystkim, co działo się w złotym dworze. Wilk miał także to do siebie, że nigdy nie przepuścił okazji, by coś zbroić w Wyraju. I tym razem, wyszedziwszy, nad czym pracuje promienny bóg, postanowił trochę namieszać w zbożnym dziele tworzenia. Gdy Swaróg przestał na chwilę walić młotem i odwrócił się od kowadła, by wyprostować zmęczone plecy, bestia błyskawicznie pochwyciła zębami porzucony kawał złota i bezszelestnie popędziła przez łąki Wyraju na granicę światła z ciemnością. Nim zrobiła skok w otchłań, myślą przekazała Chorsowi wieść, z czym i dokąd się udaje. Uspokojony młodzieniec wybrał się więc tym razem bez wilka na nocny wypas gwiazdnego stada, czego starszy brat nie raczył w ogóle zauważyć podczas spotkania u bram Wyraju. Prawdę mówiąc, Swaróżyc nie poświęcił krewniakowi nawet chwili uwagi, podążał bowiem do domu wesół i podniecony oczekiwaniem na dar, którego rankiem spodziewał się od ojca.

Wracający o świcie z nocnej wędrówki Chors zastał u bramy starszego brata bardziej niż zwykle rozpromienionego i jaśniejącego dumą. Pogwizdując, Dadźbog zaprzęgił Żar-Ptaki do swego wozu, a potem dziarsko na niego wskoczył. Dopiero wtedy ujawniła się w pełni przyczyna jego zadowolenia: w prawicy dzierżył świetlistą włócznię, zaś jego lewy bok okrywała wspaniała złota tarcza. Dłonie Swaroga nadały jej idealnie kolisty kształt i sprawiły, że świeciła własnym żarem, oslepiając każdego, kto próbował w nią zbyt długo spoglądać.

– Wystroiłeś się jak na swacbę, mój bracie – rzekł cicho Chors, mrużąc czarne oczy. – Jasny pan szuka żony?

– Niedaleki jesteś od prawdy, Chorsie – odparł Swaróżyc, zadowolony, że jego

nowy wygląd zrobił na krewniaku wrażenie. – Dar mego ojca zawiera życiodajną moc i przyniesie płodne błogosławieństwo Matce Ziemi. Dzięki niemu wszystko jeszcze piękniej rozkwitnie: trawy i zioła, drzewa i krzewy, a także ludzkie plony. Mieszkańcy ziemi będą witać niegasnący blask mojej tarczy każdego ranka i sławić go po wsze czasy.

– A jeśli go nie docenią i zaniedbają składania ofiar? – spytał niby od niechcienia pan nocy.

– Oślepię ich i spiekę swym ogniem, spalę zasiewy i domy – rzucił lekko promienisty, jakby chodziło o drobnostkę.

– Zaprawdę, sprawiedliwie – wycedził młodszy brat przez zaciśnięte zęby. – To z pewnością utrzyma ich w posłuszeństwie. Szkoda, że twój ojciec – dodał, podkreślając słowo „twój” – nie pomyślał, by i dla mnie wykuć podobny oręż, choćby z podlejszego kruszcu.

– Chyba więc powinno ci to dać do myślenia, mały braciszku – rzekł beznamiętnie Dadźbog. – Widocznie zbyt mało się starałeś podczas nocnych wędrówek. Niewiele z ciebie pożytku, skoro myślisz wyłącznie o sobie, nie dbając o dobro naszych ziemskich poddanych. Polując w mroku, rzucasz strach na całą sforę mrocznych stworzeń, lecz nic to nie daje ludziom ani jasnym bogom, bo pragniesz zaspokoić tylko swą próżność i głód wilczego druha. A właśnie, nie widzę go dziś przy tobie...

– Wysłałem go z pewnym sprawunkiem – oznajmił Chors tajemniczo. – Mam zamiar sprawić tobie i ojcu wieczorną niespodziankę.

– Nie mogę się już doczekać – rzucił lekceważąco brat. – A co do wesela – dodał, przypomniawszy sobie pierwsze zdanie krewniaka – rzekłeś być może dobrą wróżbę. Mój nowy blask zapewne olśni jakąś hożą dziewczynę.

– Olśni albo oślepi, czasem chyba także spopieli – mruknął pan nocy z przekąsem. – Nie rozpalaj się zbyt, bracie, kiedy szukasz trwałej miłości, bo za szybko się możesz wypalić. I nie obiecuj sobie zbyt wiele.

– Żebyś się jeszcze nie zdziwił. – Odgryzł się Swaróżyc. – Znalazł się znawca miłości. Nic nie wiesz o tych sprawach, bo twoje zimne serce kocha jedynie dziką gonitwę i łowy. – Uciał pogawędkę, kierując wóz ku szeroko otwartej bramie.

– Kocham także zdobycze! – zaoponował urażony Chors, lecz starszy brat już go nie słuchał.

Słoneczny pan krzyknął „wio!” i szarpnął za wodze, by pobudzić ogniste ptaki do szybkiej jazdy.

Po chwili złoty zaprzęg zamienił się w płomienną kulę, wędrującą po nieboskłonie ze wschodu na zachód. Ludzie, widząc niezwykłą poświatę wyglądającą jak rozjarzona źrenica w błękitnym oku nieba, przystawali zadziwieni i zachwyceni. Kłaniając się słońcu i błogosławiąc jego ożywczą moc, zanosili doń korne modły oraz składali w ofierze część ziarna przeznaczonego na siew i miodowo połyskujące bursztyny.

Dzisiaj też tak czynimy: z pierwszym brzaskiem, w południe i o zmierzchu kłaniamy się Swaróżycowi i sławimy jego moc, a siewcy i zniwiarze dbają, by podczas pracy nie stać plecami do świetlanego włodarza. Zawsze zwracają ku niemu oblicza, tak jak on zwraca własne w naszą stronę.

Gdy ludzie poznali – dzięki bajarzom – historię powstania owego niebiańskiego zjawiska, nazwali je Tarczą Swaróżycy na cześć dzierżącego ją młodzieńca lub Tarczą Swaroga, na pamiątkę jego ojca, który wykuł tę cudowną rzecz.

Chors niespecjalnie przejął się hołdami składanymi bratu, wiedząc, jak zmienne i niewierne potrafią być ludzkie serca. Jego uwagę przykuło coś zupełnie innego.

Kątem oka zauważył, że gdy słoneczny wóz przejeżdżał przez bramę, boski woźnica posłał ciepły uśmiech stróżce zakutanej w ciemną oponczę z kapturem. Ta uniosła nieco głowę i wówczas, zamiast zwiędłych warg i szczerbatego uzębienia zmory, która zwykle pełniła funkcję odzwiernej, błysnęło wdzięcznie zaczerwienione liczko nadobnej panny... Błysnęło i zaraz znikło, ale Chors zdążył je złowić bystrym

spojrzeniem. Zdał sobie sprawę, że starą jędzę Śmierciche, która pilnowała, by żadna niepowołana dusza nie przedostała się do Wyraju z krainy Welesa albo świata żywych, zastąpiła nowa służka, na dodatek młodziutka i urodziwa. Najdziwniejsze zaś było to, że postawszy chwilę w otwartych wrotach i popatrzwszy w ślad za odjeżdżającym, zamknęła bramę od zewnątrz i podążyła za władcą słońca, znikając na skraju korony Drzewa, gdzie rozciągały się niezgłębione przepaście.

Zaciekawiony Chors pragnął podążyć za nieznajomą, czuł się jednak znudzony samotnym uganianiem się na piechotę po nocnym niebie i niezbyt miłą rozmową z bratem. Ponadto przypomniał sobie, że czeka na pilne wieści z Nawii, dlatego w razie nagłego powrotu wilczego druha powinien koniecznie pozostać na miejscu, jeśli pragnie wieczorem odnieść długo wyczekiwany sukces. Udał się więc do srebrnej chatki, którą wznosił sobie niedawno, by jak najmniej stykać się z mieszkańcami złotego dworu. Legł na pościeli, a kołysały go, jak zwykle, szum Dębu i dzienne śpiewy Żar-Ptaków. Sen jednak nie przychodził. Ilekroć pan nocy zamknął powieki, widział obraz tajemniczej dziewczeczki. Nazwał ją w myślach Jutrzenką, bo była dlań obietnicą pięknego jutra. W końcu młodzik zapadł w męczący półsen, obiecując sobie w duchu, że następnego dnia wyjaśni zagadkę tajemniczej uroczej służki.

Wstał wcześniej niż zazwyczaj, na długo przed zmierzchem, i wyszedł przez uchyloną bramę na spotkanie brata, nie mogąc się doczekać jego powrotu, gdyż zgodnie z zapowiedzią przyniósł coś, czym chciał się pochwalić całemu światu. Zauważył też, że dziwna odzwrotna znowu się gdzieś zapodziała. Rozglądał się i wyteżał wzrok, ale nie mógł jej nigdzie wypatrzyć. Zaczął w nim kiełkować niemiły domysł, że spóźnienie brata i nieobecność stróżki mają ze sobą jakiś związek. Może są na schadzce? Myśl taka była dlań szczególnie nieprzyjemna i drażniła jak cierń w stopie.

Wreszcie usłyszał z ulgą turkot kół wozu brata, brzmiały niczym grzmot przetaczający się po niebie. Wyprostował się dumnie przed bramą, starając objawić

się w całej okazałości. Ludzie dojrżeli z ziemi wczesnie wschodzący księżyc jako bladą okrągłą tarczę, niknącą prawie w blasku zachodzącego słońca, tym niemniej wyrazistą. Skąd jednak Chors wziął wspaniałą srebrzystą tarczę?

Kiedy ubiegłej nocy wilk skradł kawał złota i zaniósł go do Nawii, podczas skoku w otchłań i szalonego biegu po zaświatowych bezdrożach zabrudził metal swoją śliną, przez co kruszec się wysrebrzył. Reszty dokonały mroki i śmiertelne mgły podziemnej krainy. Czarodziejskie złoto straciło niemal cały swój blask, wygasł wewnętrzny żar kruszcu, który zmroczył się i pociemniał. Weles, widząc, co się stało, postanowił ratować resztki mocy ukrytej w skradzionym metalu – potężnym zaklęciem zmienił złoto w srebro.

Potem przekazał zdobycz skrzatowi Jaryle, wspaniałemu kowalowi, który wykuił z niej srebrzystą tarczę i takąż włócznie. W trakcie pracy skrzat kłął siarczyście na wilka, narzekając, że ten zmarnował niebiański materiał. Kiedy tylko kowal skończył robotę, szary drapieżnik ukradkiem zaniósł tarczę i włócznie do chaty Chorsa, który odpoczywał po nocnej podróży. Będę miał jeszcze okazję opowiedzieć o niezwykłym Jaryle...

Mówicie, że nie tylko Jaryło, ale wszystkie postacie tej opowieści są niezwykle? Zgadza się, wszak nie opowiadamy o zwykłych kmiotkach, lecz o bogach i bohaterach.

Gdy bracia stanęli twarzą w twarz, oko w oko i tarczą w tarczę, okazało się, że srebrny puklerz Chorsa świeci zdecydowanie słabiej niżli słoneczny Dadźboga. Mimo to młodzik był dumny z roboty uzdolnionego skrzata, który rzeczywiście wykonał mistrzowskie dzieło.

– Widzisz teraz, bracie, że mogę się z tobą równać – oświadczył chętnie pan nocy, jednocześnie szukając wzrokiem odźwiernej, której jednak wciąż nigdzie nie było.

– Mamy być sobie równi, bo twoi słudzy wykonali tę lichą kopię dzieła mojego

rodzica? – odparł drwiąco Swaróżyc, uśmiechając się szeroko. – Domyślam się, że to właśnie jest szumnie zapowiadana niespodzianka, którą chciałeś nas zadziwić? Wzbudza tylko śmiech! A to się ojciec ucieszy na wieść, że szary wilk został na twej służbie złodziejem! Pamiętaj, że widzę wszystko na tym świecie, gdyż mogę korzystać, gdy zechcę, z czterech twarzy... Przestań się łudzić, młodziku. Nigdy mi nie dorównasz. Jak sroka ucieszyłeś się z bezwartościowej błyskotki. Wykradziony kruszec nie ma własnego blasku, tylko świeci światłem odbitym, jak sam chyba widzisz. Ty także pozostaniesz na zawsze mym bladym odbiciem.

– Jestem władcą nocy. – Upierał się Chors drżącym z przejęcia głosem, wodząc błędnym spojrzeniem po okolicy. – Nocne stworzenia uznają we mnie pana! Wykarmię je blaskiem mych srebrnych promieni i będę równie potężny jak ty! Nawet stary Swaróg to przyzna.

– Wątpię. – Przyrodni brat spoważniał. – Mroczne gusła, kradzieże i podstępny nie uczynią cię silnym. Jesteś tylko mym nocnym cieniem. Koniecznym, bo światłość nie może istnieć bez ciemności, ale gorszym jak twoje skażone srebro. Tak samo sądzi mój ojciec...

– Usynowił mnie i wydzielił odpowiednie władztwo. – sprzeciwił się dotknięty do żywego młodzik. – Docenia mnie bardziej niż ty, bo zna mą wartość.

– Twą wartość? – powtórzył Dadźbog niczym złośliwe echo, do reszty tracąc cierpliwość. – Zważ na swe położenie. Twój prawdziwy ojciec siedzi w lochu, bracia działają w podziemiach, ty zaś jesteś przygarniętym z litości bękartem – wyliczał bezlitośnie, tnąc słowami jak biczem. – Codziennie przypominasz Swarogowi o hańbie naszego rodu. Ciesz się, że nie zostałeś uwięziony albo wygnany. Zadowol się tym, co masz, i nie próbuj więcej mierzyć się z lepszymi od siebie.

To rzekłszy, pogonił grotem włóczni Żar-Ptaki, by popędziły do dworskiej ptaszarni, gdzie chciał je wyprząc od wozu. Poniewczasie pożałował wypowiedzianych w gniewie okrutnych słów, lecz w jego naturze leżało mówienie

całej prawdy, nawet jeśli była bolesna.

– Bogowie i ludzie jeszcze się na mnie poznają! – zawołał za nim Chors, niepewny czy jego głos przebił się przez turkot kół.

Spod jednego z nich trysnęło błoto zmieszane z łajnem gwiazdnych krów i zalało twarz nocnego łowcy. Nie zdążył osłonić się tarczą, którą zresztą także oblepiły smugi brudu.

Syn Czarnoboga, zaślepiony błotem i złością, uniósł srebrną włócznię, mierząc w brata, choć widział tylko jego rozmazaną sylwetkę. Wilk sprężył się do skoku, jeżąc sierść na karku i warcząc. Chors powstrzymał jednak rękę. Nie mógł nawet oskarżyć Swarożyca, iż specjalnie ochlapał go błotem, skoro tamten nawet się nie obejrzał... W sercu pana nocy rozlała się gorycz kolejnej zniewagi.

Młodziak opuścił w końcu oręż, wolną ręką ścierając breję z twarzy. Skrzywił się z odrazą, ujrawszy tłuste plamy na dłoni i czarnym rękawie szaty. Bez namysłu siadł na wilczy grzbiet i kazał się zawieźć w miejsce, w którym mógłby spokojnie się obmyć. Nie chciał tego robić w dworskiej łaźni, gdzie naraziłby się na ciekawskie spojrzenia oraz pokątne szepty rozplotkowanej służby.

Po drodze przykazał wilczemu druhowi, by później postarał się wywęszyć miejsce pobytu tajemniczej odźwiernej. Zwierz zaskomlił jakby ze zdziwieniem.

Drapieżca zaniósł swego pana na brzeg morza, po czym odbiegł, węsząc dookoła w poszukiwaniu tropu.

Wokół było pusto, tylko nad widnokręgiem kołowały morskie ptaki, pewnie mewy albo rybitwy. Chors zdjął górną część szaty i opłukał się słoną wodą, zmywając brud.

W tejże chwili usłyszał nad głową gwałtowne łopotanie skrzydeł i żaloszny krzyk ranionego ptaka. Spojrzał do góry i zobaczył przepiękną łabędzicę broczącą z białej piersi krwistą kaskadą, od której spurpurowiała zachodnia strona wieczornego nieba. Ścigał ją Żar-Ptak przypominający olbrzymiego raroga. Leciał za trzepoczącą bezradnie ptaszyną i nadstawiał chciwie dziób, by spijać jej posokę.

Młodzik bez wahania sięgnął po włóczę i celnym rzutem przeszył napastnika na wylot. Ognisty ptak zaskrzeczał przeraźliwie i sięgnął potężnym dziobem do swej piersi, by wyrwać srebrzysty grot, wkrótce jednak zabrakło mu sił i zaczął spadać, wirując rozpaczliwie. Nim doleciał do ziemi, rozsypał się w popiół, a srebrny oręż powrócił do dłoni Chorsa, przywołany boską mocą właściciela.

Ocalona łabędzica nie wydawała się wcale zadowolona z wmieszania się młodego boga do walki. Krzycząc niespokojnie, sfrunęła na brzeg i przysiadła na sporym kamieniu w pobliżu wybawcy. Najdziwniejsze było to, że rany na jej piersi błyskawicznie się zasklepiły, a wtedy zorza zachodnia zbladła i pociemniała, ustępując miejsca nadciągającej nocy. Piękna samica czyściła przez chwilę dziobem swe pióra, a potem odezwała się ludzkim głosem:

– I cóżes uczynił, nierozważny młodziku? Zabiłeś ulubionego ptaka Swaróżyca. Będzie się o to na nas gniewał, a w gniewie potrafi być straszny tak samo jak jego ojciec... Swaróg kocha każde swe dzieło, a Żar-Ptaki należą do jego ulubionych. Nikt cię nie prosił o pomoc, sama dałabym sobie radę.

– Nie musisz mi tak wylewnie dziękować – mruknął pan nocy, obmywając grot z nalotu popiołu. – Krwawiłaś i wzywałaś pomocy. Myślałem, że Żar-Ptak chce cię skrzywdzić.

– Myślałeś – powiedziała cierpko, przedrzeźniając Chorsa. – Wcale nie myślałeś, lecz zadziałałeś pochopnie, jak to zwykle młodzieńcy. Zrobiłeś coś, zanim pomyślałeś... Ale Swaróżyca mówił prawdę – dorzuciła, zmieniając niespodziewanie temat. – Rzeczywiście ciało masz białe i gładkie jak jakaś cud dziewica.

– Co ty nie powiesz? – syknął młodzik, czując, że jego blade lico okraślił lekki rumieniec. Przy okazji uznał, że nie ma powodu osłaniać torsu, nie zarzucił więc opończy na gołe ramiona. – Naprawdę odkrywcze stwierdzenie jak na ptasią główkę. Nie wiedziałem, że jesteś w tak bliskiej poufałości z moim przyrodnym bratem. Często o mnie gadacie? – zapytał na pozór obojętnie.

– Niespecjalnie – odparła łabędzica, wciąż przypatrując mu się z uwagą. – Zdarza się to tylko wtedy, gdy zabraknie nam innych tematów. Dobrze wiesz, Chorsie, że Swaróżyc zawsze mówi prawdę.

– O tak, dziś nawet przekonałem się o tym aż do bólu – odparł z westchnieniem władca księżycy, polerując pilnie srebrną tarczę skrajem szaty.

– Potrafi być przykry – przyznała – lecz nie ma złych zamiarów. Po prostu nie znosi złudnych nadziei ani mglistych mrzonek. Rozprasza senne mary swym złotym promieniem, rażąc zbudzonego prosto w oczy... Ja zaś nie chciałam cię zawstydząć – podjęła pojednawczo po chwili milczenia. – Wybacz, jeśli poczułeś się urażony. Przed chwilą udowodniłeś, że mimo iż sprawiasz wrażenie marzyciela, jesteś szybki i silny jak twój wilczy przyjaciel. Gotowyś bronić słabszych i w razie czego nie wahasz się atakować. Myślę, że kiedy o coś walczysz, potrafisz być nieustępliwy i bardzo wytrwały. Osiągniesz w końcu to, czego pragniesz, musisz tylko opanować sztukę cierpliwego czekania. Stanowisz dla mnie kuszącą odmianę. Jesteś inny, a przez to ciekawszy. Chłodny, nieprzystępny i tajemniczy, podczas gdy twój brat jest gorący, męzny, mocarny, lecz w gruncie rzeczy prosty w działaniu jak chłopski cep – oceniła, przechylając zalotnie główkę.

– Długo się spotykacie? – zainteresował się, nabierając coraz większej śmiałości.

– Dosyć długo – wyznała. – Wiedziałbyś o tym, gdybyś patrzył dalej niż na czubek własnego nosa. Wiele razy mijales mnie w bramie, nie zauważywszy, że zastąpiłam starą Śmiercicę.

– W końcu cię jednak zauważyłem. – podchwycił Chors, uświadamiając sobie niejasno, że być może właśnie odkrył sposób na dziewczyny. – I to, co ujrzałem pod kapturem, przeszło moje najśmielsze wyobrażenia – dorzucił pospiesznie, by całkowicie zatrzeć pierwsze złe wrażenie.

– Lepiej późno niż wcale – mruknęła kwaśno dziewczyna zaklęta w łabędzia, wciąż strosząc się z urazą.

– Kim jesteś? – zaczął wypytywać, mając dosyć zagadek. – Skąd wzięłaś się w złotym dworze? Dlaczego poza nim przybierasz taką postać? I czemu pozwalałaś, by Żar-Ptak poił się twoją krwią?

– Cierpliwości – odparła, wygładzając pióra i rozsiadając się wygodniej na omszałym gładzie. – Dowiesz się wszystkiego, jeśli wysłuchasz mej opowieści. Nie jest zbyt długa, ale trochę smutna.

– Smutek mi nieobcy – rzekł pan nocy, wzruszając ramionami. – Historia mego rodu także jest niewesoła. Nie spiesz się z opowieścią, noc jeszcze młoda – zauważył, układając się na piasku z opończę pod głową. Obok położył się wilk, grzejąc bok swego pana.

– Młoda jak my – szepnęła zaczarowana panna. – Ale co pomyślą ludzie, gdy nie zobaczą cię na niebie?

– Że skryły mnie czarne chmury – odparł Chors beznamiętnie. – Bezksiężycowa noc to dla nich żadna nowina.

– Najlepsza do wszelkich guseł. Twoi żercy takie lubią – zauważyła bystro i rozpoczęła opowieść: – Jestem córką Strzyboga i morskiej boginki Rosy Pięknookiej, królowej wszystkich rusałek. Moje imię brzmi Jutrzenka...

– Wiedziałem – mruknął z zadowoleniem.

– Nie starczy nocy na opowieść, jeśli będziesz mi ciągle przerywał. – zdenerwowała się łabędzica.

– Zamieniam się w słuch – odparł układnie, unosząc obie dłonie w geście poddania.

– I dobrze. Byłam ukochaną córką tatusia, pana mórza oraz wiatrów, nieco szalonego i porywczego boga żeglarzy. Matka także mnie uwielbiała, dogadzała mi, rozpieszczała. Nie było zabawki, której nie mogłabym dostać, skoro jej zapragnęłam. Igrałam z wodnymi pannami pośród fal i byłam bezgranicznie szczęśliwa. Nie doceniałam jednak tego daru, gdyż nie wiedziałam wtedy, czym jest nieszczęście.

Myślałam, że tak będzie zawsze.

Wszystko zmieniło się, gdy mój jury rodzic sprawił, że Rosa powiła w jednym miocie dwunastu synów. Ojciec był zadowolony i dumny z takiej liczby męskich potomków, lecz jego małżonka, wyczerpana mękami porodowymi, nie miała dosyć mleka, by ich wszystkich wykarmić. Wciąż lamentowała z tego powodu. Próżna z natury i rozkochana we własnej urodzie, obawiała się, że żarłoczni chłopcy wyssać z niej całą piękność, a co najmniej zepsują doskonały kształt piersi. Dochodziło przez to między naszymi rodzicami do bezustannych kłótni, bo oboje mieli w sobie dzikość wodnych i powietrznych żywiołów. Od tego morze ciągle się burzyło, wstrząsane straszliwymi sztormami, rybacy nie mogli wypływać na połowy, a żeglarze w dalekie rejsy.

Wreszcie Strzybóg miał tego dosyć i posłał chłopaczków na kraj świata, pod opiekę swej matki Mokoszy. Czule się nimi zajęła i wykarmiła mlekiem gwiazdnych jałowic, dzięki czemu rośli zdrowo na chwałę swojego ojca. Cały Wyraj i morski świat obiegały wieści o pięknym poświęceniu pramatki, która, jak każda babcia gotowa zrobić wszystko dla wnuków, karciała ich łagodnie za niewinne chłopięce psoty i wybaczała przewiny...

– Dlaczego nic o tym nie wiedziałem? – zdumiał się Chors, znowu niebacznie przerywając tok opowieści.

– Spałeś – wyjaśniła oschle łabędzica, raptownie strosząc pióra. – Przesypiasz całe dnie, żeby nocą trzymać straż. A kiedy już się budzisz, jesteś zbyt zamyślony, by zauważać cokolwiek, co nie wiąże się z twoją osobą. Zwykle pozostajesz skupiony tylko na własnych sprawach.

– Zapewne tak było – mruknął zachmurzony i nieco stropiony młodzik.

– Bez wątpienia. Pozwól mi spokojnie opowiadać, bo inaczej nigdy nie skończymy. Tak więc pod opieką waszej matki wybuchało dwunastu krzepkich podrostków, rozbuchanych jak spienione bałwany i rozbrykanych niczym morskie

koniki. Można by rzec, iż dwanaście junackich miesięcy to twoi mleczni bracia.

Chors chciał już wtrącić, że ma wystarczająco wielu braci i związanych z nimi kłopotów, lecz w porę ugryzł się w język.

– Kiedy podrośli na tyle – podjęła – że umieli samodzielnie polować i dbać o siebie, wrócili do domu ojca. Wszyscy, z rodzicem na czele, powitali ich z radością, podziwiając ich urodę i rezolucję. Wszyscy, tylko nie nasza matka.

Nie chcę źle mówić o swej rodzicielce, by nie kłaść własnej muszli, lecz trzeba przyznać, że Rosa, jak większość rusalek, miała dość zimne serce, w którym nie było zbyt wiele miejsca dla macierzyńskiej czułości. W przeciwieństwie do mnie nie tęskniła za tą wrzaskliwą i łobuzerską gromadką zmieniającą nasz podmorski dwór w istne rojowisko śledzi. Wolałaby spokojnie podziwiać swą urodę w wodnym zwierciadle, słuchając tęsknych syrenich śpiewów, tymczasem wokół znów zapanowała nieustająca wrzawa, szum, gwar, tupot nóg, ciągłe krzyki i szarpanina. Wychowani przez ukochaną babkę malcy wciąż porównywali do niej swą matkę. Jak się domyślasz, porównania zawsze wypadały na niekorzyść Rosy. Nie mając szacunku u synów, nie potrafiła zapanować nad niesforną, rozwrzeszczaną czeredą czupurnych szczeniaków. Wcale jej nie słuchali, robili wszystko, na co im przyszła ochota, czasem wręcz na złość królowej. Matka oddychała z ulgą, kiedy chłopcy wyruszali z ojcem na łowy, lecz kiedy powracali, nastrój Rosy znów się psuł.

Pięknooka pani niemal codziennie suszyła małżonkowi głowę w sprawie synów, zamęczała go niezliczonymi skargami i wymówkami. Strzybóg bardzo źle to znosił, wreszcie pewnego dnia, gdy moi bracia ostro sprzeciwili się matce, wygnał ich z domu.

– Wracajcie do swej babki – huczał, gniewny jak rozszalałe morze – skoro u niej było wam lepiej! Za to, że nie umiecie szanować własnej macierzy, odsyłam was znów poza ten świat! Zobaczymy, czy nasza pani pramatka zechce was przyjąć w takiej postaci!

Jednym machnięciem prawicy zamienił chłopców w orły, a raczej zestrachane orłeta. Gdy wiedzione nową naturą załopotały skrzydłami i uniosły się wysoko nad morską taflą, rodzic drugim ruchem ręki pchnął ich wraz z potężnym wiatrem w stronę Wyraju. Niewiele trwało, aż zniknęli w oddali, a na dnie mórz znowu zapanowała głucha i martwa cisza. Patrzyłam na to, co się stało, milcząco przełykając łzy. Wiedziałam, że mój ojciec, gdy zaślepi go gniew, bywa porywczy i krewki, toteż lepiej wtedy mu się nie sprzeciwiać. Zawsze byłam dobrą i posłuszną córką, tym razem jednak coś się we mnie zakotłowało, wręcz buntem. Gdy stado moich orlich braci zamieniło się w małą plamkę nad widnokregiem, wyszłam na brzeg, gorzko płacząc.

Siedziałam na tym właśnie kamieniu, wpatrzona tępo w dal, gdy podszedł – tak cicho, że aż mnie wystraszył – dziwny starzec w białej szacie, o oczach gorejących jak dwa ognie, ze złotym wężem i srebrną czupryną...

– Swaróg! – Nie wytrzymał Chors, zapomniawszy, że miał się nie odzywać.

– Cóż za spostrzegawczość – zaskrzeczała łabędzica. – Oczywiście, że był to Swaróg, ale wtedy jeszcze go nie znałam. Spojrzał na mnie ze współczuciem i dobrotliwie zagaił:

– Za kim tęsknisz, gołąbko?

– Tęsknię za ukochanymi braćmi, którzy zamienieni w orliki i przegnani z domu przez srogiego ojca, bujają gdzieś wysoko w obłokach. Właśnie znikli mi z oczu. Nie wiem, czy ich jeszcze zobaczę.

– Płacz, skoro ci to przynosi ulgę, ale nie trać nadziei – rzekł srebrnowłosy. – Wiem, co możesz uczynić, by uratować braci.

– Cóż ja mogę? – zapytałam wątpięco, choć jednocześnie się uspokajałam.

– Więcej niż sądzisz – odparł nieznajomy. – Twoja siostrzana miłość ma w sobie wielką moc. Podążaj za słońcem, by dojść tam, skąd wyrusza na codzienną wędrówkę i gdzie kładzie się na spoczynek, a trafisz do bram Wyraju. Tam znajdziesz swoich

braci.

– Wyraj jest bardzo daleko stąd... niewyobrażalnie daleko – powiedziałam w zadumie. – Leży w koronie Drzewa Życia, na granicy światła i ciemności, dokąd dolatują jedynie orły i inne ziemskie ptaki chcące tam przezimować. Zanim dotrę do Wyraju mogę umrzeć z głodu.

– Nie lękaj się, ptaszyno – zaoponował staruszek. – Dam ci bułkę odrostkę, która wyżywi nie tylko ciebie jedną. Mogłabyś nią karmić stu ludzi przez sto lat, a wciąż byłaby cała.

Wydobył z zanadrza piękny kołacz – złoty, jakby wypieczony ze słonecznych promieni – i mi go wręczył. Z wdzięcznością przyjął czarodziejski dar.

– Posilaj się bułką, popijając wodą z górskich źródeł, tylko nie kosztuj nawet kropli z krwawego Dunaju, który oddziela świat żywych od krainy umarłych – doradził mędrzec. – Jeśli to uczynisz, zapomnisz wszystko ze swego życia i straciwszy sprzed oczu cel wędrówki, zabłądzisz do ciemnej, jałowej Nawii. Idź zawsze w stronę światła – tak dotrzesz do upragnionego kresu drogi. Gdy znajdziesz przemienionych braci, skrop ich swoją dziewiczą krwią, a przywrócisz im dawną postać. Wiem, że twój paniński kwiat już kwitnie i gotowa jesteś do zamęścia – oznajmił niespodziewanie z dziwnym uśmiechem pod złotym wąsem.

Dziewczyna na chwilę zamilkła.

– Zniknął, nim zdążyłam mu podziękować – podjęła w końcu. – Natychmiast ruszyłam w drogę. Podążając za słońcem, przemierzyłam wiele dróg i bezdroży, szłam przez gęste lasy, kwietne łąki i pola uprawne, omijając jednak ludzkie osiedla, by nie wzbudzać człowieczej ciekawości. Żywiłam się bułką odrostką i pokrzepiałam wodą przeczystych ruczajów. Nie potrafię powiedzieć, jak długo trwała owa wędrówka, może rok, może miesiąc.

Nie umiem też wyjaśnić, jak przebyłam lub może przepłynęłam krwawy Dunaj, jak pokonałam przepaściste urwiska i jak wspierałam się na niebotyczną górę. Wszystko

działo się niczym we śnie, niczym za sprawą czarów. Dość, że w końcu stanęłam u wrót Wyraju, za którymi ujrzałam błogie łąki porośnięte sen-trawami i pękami czarnych maków, a dalej wyniosłe ściany i wieże złotego dworu. Nie zdołałam pójść dalej, bo bramy strzegła nieprzejednana zmora Śmiercicha.

– I po coś tu przybyła, ptaszyno? – zapiszczała gderliwie. – Należysz do żywego świata, nie czas jeszcze dla ciebie na nasze łąki. Tylko zmarli wybrańcy mogą przekroczyć progi złotego dworu.

– Szukam mych braci zamienionych w orły – odpowiedziałam szczerze, uznając, że w jej obliczu najlepiej jest mówić prawdę. – Widziałas ich może, zmoro?

– A jakże. – Przytaknęła ze świszczącym śmiechem.

– Co dzień tłuką się o tę bramę, pragnąc przedostać się do środka. Odlatują tylko po to, by zapolować. Potem znowu wracają, z wielkim wrzaskiem domagając się prawa wejścia...

– Pragną przedostać się do swej babki Mocoszy – wyjaśniłam z nadzieją, że imię wielkiej bogini zrobi na odzwiernej wrażenie. – Nie znają innej drogi.

– Przepuścić ich nie mogę – odrzekła uparcie starucha. – Nie w mojej mocy odmieniać wyroki przeznaczenia. Muszą pozostać na żywym świecie, dopóki nie dopełni się nad nimi sąd bogów. Wkrótce sama ich zobaczysz.

Usiadłam pod bramą, by poczekać. Istotnie, niedługo nadleciał tuzin orląt. Nie zauważywszy mnie, zaczęły atakować bramę, czyniąc ogromną wrzawę. Okrwawiały swe pierzaste piersi, skrzydła i dzioby o zagradzające drogę złote kraty, które sięgają wszak do sklepienia niebios. Śmiercicha tylko chichotała złośliwie, widząc ich daremne wysiłki.

Wstałam i zawołałam braci. Spozrzegli mnie wreszcie i zlecieli się, by muskać moje dłonie i stopy dziobami. Wtedy skropiłam ich swoją krwią, tak jak radził staruszek. W jednej chwili z orłów stali się dorodnymi chłopakami, odzyskując tak lubą mi postać. Rozradowani szczęśliwą przemianą, zaczęliśmy ścisnąć się i całować.

Potem zasiedliśmy na polanie przed bramą, pożywiając się bułką odrostką, aby zebrać siły na długi powrót.

Zaniepokoiło mnie, że choć ja i odzyskani bracia przeżywamy radosne chwile, zmora wciąż śmieje się złośliwie, co rusz łypiąc na nas spod czarnego kaptura.

– Cóż cię tak bawi, zmoro? – Nie zdzierżyłam w końcu jej rehotu i odważyłam się spytać.

– Wasza niefrasobliwość – odparła, krztusząc się śmiechem. – Cieszyście się jak dzieci, ale wiedźcie, że znaleźliście się na niepowrotnym szczycie. Droga tu względnie łatwa, gdy się korzysta z czarów, lecz powrotu bronią trwoga i śmierć. Brama przed wami zamknięta, a za waszymi plecami rozciąga się bezdenne przepaść. Jak wydostaniecie się stąd, skoro nie macie skrzydeł? Trzeba było pomyśleć o tym zawczasu, moja gołąbeczko. Zostaniecie tutaj na wieki, oglądając pochód marzmierników w zaświaty. Bułka odrostka wyżywi was, nie uchroni jednak przed bezsilną rozpaczą. Gdy siły w was całkiem opadną i straciecie resztkę nadziei, przyjdę po was i zaprowadzę, dokąd rozkażą bogowie: jeśli będą łaskawi, czekają was błogie łąki Wyraju, jeśli zaś nadal będzie ich gniewać wasza krnąbrność – a wiedźcie, że nieposłuszeństwo wobec rodziców karzą zazwyczaj dotkliwie – pošlą was w gościnę do Welesa i będziecie błąkać się bez końca w otchłaniach Nawii. Nie macie odwrotu i nie czeka was nic oprócz zimnej pustki wieczności. – Zakończyła ze złośliwą uciechą, szczerząc spróchniałe zębiska.

Spojrzelśmy po sobie w milczeniu i w jednej chwili zalaliśmy się łzami, zrozumiałwszy, że jędza ma rację. Utknęliśmy w okrutnej pułapce.

Długi czas siedzieliśmy bezradnie w ponurym milczeniu. Nie poddałam się jednak mdłej żalobie i wciąż przemyślałam, jak wydobyć się z matni, w jaką zapędzili nas starsi bogowie i moja własna nieprzezorność. Wspomniałam słowa srebrnowłosego starca, bym nigdy nie traciła nadziei, dzięki czemu poczułam się podniesiona na duchu. Wiedziona szczęśliwym przecuciem, wstałam i trzykrotnie pokłoniłam się

siedzibie jasnych bogów, żarliwie prosząc o opiekę i wsparcie.

Gdy to uczyniłam, ujrzałam, jak z dachu dworzyszczka sfrunęło coś niby kula ognia, która poleciała szybko w naszą stronę. Kiedy zbliżyła się ku nam, ja i moi krewni rozpoznaliśmy ogromnego Żar-Ptaka – tego samego, którego dziś tak pochopnie zgładziłeś...

Zakłęta w łabędzicę zerknęła przelotnie na słuchającego, jakby spodziewając się skruchy z jego strony, lecz młodzik powstrzymał cisnące mu się na usta słowa i tylko zwiesił posępnie głowę na pierś, unikając wzroku ptaszyny.

– Serce zabiło mi żywiej, a moi młodszy bracia zerwali się na równe nogi, wznosząc radosne okrzyki. – Podjęła po chwili Jutrzenka. – Płomienisty raróg przemknął przez kratę niby świetlista chmura, przysiadł na skraju przepaści i odezwał do nas w te słowa:

– Witaj, Jutrzenko, witajcie, bracia miesięczni! Przysłali mnie tutaj Swaróg i syn jego, Swarozyc. Co rozkażesz, boginko?

– Zabierz nas z tego przedśmionka wieczności do świata żywych – zażądałam, nabierając znowu pewności, że strzegące mnie jasne moce nie pozwolą nam marnie zginąć.

– Uczynię to – oznajmił ognisty latawiec – wiedz jednak, że czeka nas długi lot. Muszę być podczas niego karmiony, inaczej siły mnie opuszczą i razem runiemy w przepaść.

– Mam bułkę odrostkę, która wystarczy dla ciebie i dla nas – zapewniłam.

– Siadajcie więc na mój grzbiet, a gdy się obejrzę, dawajcie jadło – rzekł i pochylił się ku ziemi, byśmy łatwiej mogli się na niego wspiąć.

Pomieściliśmy się wszyscy. Siadłam z przodu, ściskając szyję ptaka kolanami. Rozpoczęliśmy podniebny lot, od którego aż kręciło się w głowie. W dole ziała bezdenna przepaść, a przed nami majaczyła wąska nitka krwawego Dunaju, nad którym musieliśmy przelecieć, by dostać się do świata żywych.

Zauważyłam, że moi bracia, choć jako orły latali równie wysoko, są mocno wystraszeni i trzymają się kurczowo piór Żar-Ptaka.

– Co innego latać na własnych skrzydłach – mruknął do mnie skamieniały ze strachu pierworodny Styczeń

– a co innego powierzyć swe życie cudzym.

Zaledwie dopowiedział te złowróżbne słowa, gdy nasz napowietrzny wierzchowiec, poruszający się dotychczas równym, spokojnym lotem na prądach wiatrów, zaczął trzepotać skrzydłami jak ptaszek schwyty w sidła. Obniżył wysokość i zdawało się, że stracił połowę sił.

Czym prędzej podałam mu kawałek bułki, którą połknął za jednym kłapnięciem dzioba. Pokrzepiony, znów wzbił się wyżej i wyrównał lot, lecz po chwili zaskrzeczał z wyrzutem:

– Karmisz mnie okruchami jak wróbla! Jesteśmy dopiero w połowie drogi. Jeśli nie dostanę więcej, wszyscy zginiemy.

Rada nierada pochyliłam się i podałam mu całą bułkę z nadzieją, że się nią nasyci. Pochłonął bez trudu czarodziejski kołacz i pomknął dalej z podwojonymi siłami. Jakiś czas leciał, spokojnie robiąc skrzydłami. Minął dzień, a na ziemi zapadła noc. W dole połyskiwała rubinowo coraz wyraźniejsza i większa wstęga Dunaju. Nim noc minęła, Żar-Ptak zaczął bić powietrze z coraz większym trudem i skarżyć się wniebogłoso:

– Słyszysz, jak szumi rzeka umarłych? Utoniemy w niej bez ratunku, jeśli znów się nie posilę!

Nie miałam już nic, co mógłby zjeść, zanosił się więc na to, że czeka nas niechybna śmierć. Na skraju rozpaczki przypomniałam sobie wszakże, iż Żar-Ptaki są mięsożerne. Wiele może uczynić ten, kto musi wiele osiągnąć. Zwłaszcza kiedy pragnie ratować bliskich. Wyjęłam nóż zza paska i odcięłam nim swą lewą pierś, po czym na czubku ostrza podałam ją nienasyconemu stworowi.

Ptak łakomie pożarł okrwawiony strzęp mego ciała i rzekł z wdzięcznością:

– To mi wyborne jadlo! Dzięki tobie przybyło mi w dwójnasób sił, Jutrzenko! Zaniósę was aż nad morze, do rodzica.

Niemal zemdlałam od nieznośnego bólu. Zaciskałam zęby, by nie wystraszyć jęklwym zawodzeniem struchlałych braciszków ani samego latawca. Czerwona struga tryskała z mej piersi, zabarwiając purpurowo wschodnią stronę nieba, dlatego wkrótce wstał krwawy świt.

Gdy usiedliśmy na przybrzeżnym piasku, malcy ledwie zdołali mnie znieść z ptasiego grzbietu, po czym ułożyli troskliwie blisko linii przyboju. Polewali mą twarz zimną morską wodą i próbowali zatamować krew, starając się przywrócić mnie do przytomności. Na razie bezskutecznie.

– Co się stało tej dzielnej dziewczynie? – Zdziwił się ognisty ptak, wyciągając w moją stronę długą szyję. – Zraniła się czymś po drodze?

– Nie wiesz, że nakarmiła cię własną piersią? – odrzekł zagniewany Styczeń. – Dostarczyłeś nas na miejsce całych i zdrowych, ale za jaką cenę?

– Nie martwcie się, bracia miesięczni – odparł Żar-Ptak z namysłem. – Kobiety nie umierają od każdego krwawienia.

Położył płomienny dziób na mej okaleczonej piersi i tchnął we mnie swój wewnętrzny żar. Rana wypaliła się i zagoiła w mgnieniu oka, a pierś znowu ładnie zaokrągliła. Otworzyłam oczy, czując przyływ sił. Chciałam podziękować niezwykłemu stworzeniu, to jednak wzniosło się ku niebu i wkrótce zniknęło w obłokach.

Strzybóg wybaczył synom i przyjął ich pod swój dach, uznawszy, że dostali wystarczającą naukę. Nie był jednak zadowolony ze mnie, bo okazałam nieposłuszeństwo wobec jego ojcowskiej woli. Ukarał mnie w sposób bardziej przemyślny niż moich braci. Ustalił z ojcem Swarogiem, że mam być odźwierną bramy Wyraju, zastępując starą Śmiercicę, która została klucznicą krainy Welesa.

Od tamtej pory, gdy otwieram albo zamykam bramę, na niebie rozbłyska jutrzienka, zapowiadająca nadejście lub odejście słońca.

– Albo przybycie i ustąpienie księżycy – mruknął przekornie Chors, któremu dotąd udawało się starannie sznurować wargi i trzymać język na wodzy, lecz tym razem nie wytrzymał.

– Swaróżyc upodobał sobie me towarzystwo i lubi ze mną przestawać – podjęła zaklęta, puszczając mimo uszu uwagę młodzika. – Ale na ziemi mogę przebywać tylko pod postacią łabędzicy. To również sprawka mojego ojca, dodatkowa kara za samowolę. Co pewien czas, zazwyczaj raz na miesiąc, Żar-Ptak, który uratował mnie i moich braci, upuszcza z mej piersi nieco krwi. Wówczas niebiańska zorza barwi się czerwono na pamiątkę tamtego zdarzenia. Uważam jednak, że była to niewielka cena za zyskanie większej swobody...

– Swobody? – burknął drwiąco pan nocy. – Strzybóg pozwolił, żeby jego ojciec i starszy brat zrobili z ciebie służącą, a ich skrzydlaty stwór pastwił się nad tobą, wykorzystując twą wdzięczność. Moim zdaniem wspólnie uknuli podstęp: chcą związać cię silniej ze sobą, abyś bez oporu poszła za Swaróżycą...

– Co ty bredzisz?! – odparowała gniewnie dziewczyna. – Zazdrość chyba zaćmiła ci umysł. Jaśni bogowie nie są zdolni do podstępów, zawsze działają otwarcie. Niecne pułapki to żywioł twego mrocznego ojca i nieprawych braci.

– Jak sobie chcesz – odrzekł Chors pozornie spokojnie. – Myśl tak, skoro łatwiej ci z tym żyć. Trudno pogodzić się z prawdą, że zostało się haniebnie wykorzystanym i oszukanym. Lepiej żyć złudzeniem. A jeszcze niedawno twierdziłaś, iż to ja jestem panem ułudy...

– Bo jesteś! Mamisz i oszukujesz innych swym wykradzionym zwodniczym blaskiem. Ludzie widzą cię tylko z jednej, tej jaśniejszej, strony, nie znając drugiej, znacznie bardziej mrocznej. Ja nie dam się nabrać na twoje sztuczki. Sądzisz innych według siebie, ale myślę, że głęboko się mylisz.

– Może tak, może nie. Zostanę jednak przy swoim.

– I dobrze ci tak. Mam nadzieję, że przy następnym spotkaniu porozmawiamy o czymś przyjemniejszym niż wasze rodzinne swary.

– Zatem spotkamy się jeszcze? – Podchwycił bystro, a jego czarne oko błysnęło mroczną skrą.

– Czemu nie – odrzekła, ulatując w stronę Wyraju. – Skoro tak lubimy się spierać, musi to być coś więcej niż przelotna znajomość.

Odleciała, zabiwszy mu w białowłosą głowę niezłego ćwieka. „I zrozum tu dziewczyny” – pomyślał Chors, po czym stwierdził, że musi poprosić o radę starszego brata, skoro pozostał mu jeszcze spory kęs nocy. Wysłał do Welesa pierwszego napotkanego nietoperza z wieścią, by potajemnie spotkali się w Zaklętym Borze. Rogaty pan Nawii zgodził się i wkrótce wyskoczył – pośród ognia i dymu – spod ziemi na zalaną księżycowym światłem polanę, gdzie już czekał młodszy krewniak.

O czym dwaj mroczni bogowie gadali, nie wie żaden śmiertelnik. Ni jeden nocny stwór nie ważył się ich podsłuchiwać, a cóż dopiero opowiedzieć o tym komukolwiek. Dość rzec, że gdy następnej nocy Chors wyruszył na schadzkę z Jutrzenką, zdawał się znacznie bardziej promienny i ożywiony niżli podczas pierwszego spotkania.

Czekał przy tym samym kamieniu, lecz łabędzica się spóźniała. Każda chwila oczekiwania dłużyła się panu nocy w nieskończoność. Po długiej przechadzce wzdłuż linii przyboju, mając nieodłącznego wilka u boku, młodzik zasiadł w końcu na omszałym głazie, czochrając od niechcienia sierść na karku wiernego zwierza i ciężko wzdychając.

– Czemu tak wzdychasz? – Rozległ się głos nadlatującej łabędzicy.

– Bo czekam na pewną niesłowną dziewczeczkę, która naznaczyła mi tutaj schadzkę – odparł, drocząc się chytrze, nie podnosząc głowy i udając, że nie rozpoznaje jej głosu. – Ale wciąż się nie zjawia.

– Czy ta dziewczyna jest urodziwa? – spytała zalotnie zaklęta, przysiadając opodal.

– Jakżeby nie! – podjął przebiegle Chors. – Inaczej bym tak na nią nie czekał. Widziałem jej twarz tylko przez chwilę, bo ją przede mną skrywała, ale wiem, że Jutrzenka jest tak zachwycającą pięknnością, iż kto na nią spojrzy, oczu oderwać nie może. Nawet w pochmurne dni jej czoło świeci jak słońce, warkocz lśni promieniami tęczy, a głos ma tak słodki, że wprawia w zachwycenie nawet skały! Tęsknię za nią, bo chciałbym ją wziąć za żonę.

– Trudno zawierzyć słowom zmiennego pana księżycy – zażartowała ptaszyna. – Pamiętaj, że ożenić się łatwo, ale odżenić trudno. Namyśl się więc dobrze, zanim coś postanowisz.

– Nie muszę się namyślać – odrzekł głosem dźwięczącym jak żelazo. – Pragnę być na zawsze z tą wodną panną, choćbym miał iść za nią na kraniec świata.

– Skoro tak, nie potrzebujesz szukać aż tak daleko – powiedziała, przysunęła się bliżej i musnęła go czule dziobem.

– Wciąż jesteś łabędzicą – stwierdził z westchnieniem, przenosząc dłoń z wilczego karku na łabędzią pierś i pieszcząc ją delikatnie. – Wolałbym cię ujrzeć w twej prawdziwej postaci.

– Jeśli naprawdę mnie kochasz – odpowiedziała słodko – twe serce znajdzie sposób, żeby przełamać ojcowską klątwę. Nietajne ci wszak różne gusła...

– Być może już znalazłem – odparł Chors z zadowoleniem. – Twój ojciec jest potężnym bogiem, ale jego klątwy nie należą do zbyt wyszukanych.

Wypowiedział rozkazującym tonem odczarowujące zaklęcie podszeptane przez Welesa.

Łabędzica zamachała skrzydłami, wyprostowała długą szyję, wspięła się na tylnych łapach, otrząsnęła gwałtownie z piór i przed olśnionym księciem nocy stanęła zachwycająca ślicznotka.

– Znalazłeś sposób, by mnie wyzwolić spod władzy ojca oraz przyszłego męża –

stwierdziła szczebiotliwym głosem. – Winna ci jestem dozgonną wdzięczność.

– Nie chcę, żebyś mnie kochała tylko z wdzięczności, jak gotowa byłaś kochać Swarozycę – oznajmił, pochmurniejąc.

– Nie kocham go i nigdy nie pokocham – oświadczyła, rumieniąc się. – Chciałam być posłuszną córką. Podobnie syn Swaroga chciał spełnić wolę swego ojca i gotów był pokochać mnie z obowiązku. Miałam cały dzień, aby przemyśleć podejrzenia rzucone przez ciebie wczorajszej nocy. Rzeczywiście, jest trochę niejasności, na które nie zwróciłam uwagi targana uczuciami, które przyćmiły mi rozum. Dlaczego Swaróg pojawił się akurat w chwili, gdy szalałam z tęsknoty za braćmi i wysłał w daleką pieszą wędrówkę, zamiast od razu zamienić mnie w ptaka? Wiedział przecież, że w ludzkiej postaci nie zdołamy zawrócić spod bramy Wyraju. Wpędził mnie w zasadzkę, mając świadomość, że po długiej drodze będę zbyt zmordowana, by jasno myśleć. Czemu, gdy niemal straciłam wszelką nadzieję, Żar-Ptak nadleciał jak na zawołanie? I czemu musiałam znów cierpieć, karmiąc ognistego ptaka swoim ciałem i pojąc krwią? Czy to wszystko było przemyślanym podstępem, by mnie całkiem usidlić, uzależnić i tym sposobem ujarzmić mą niesforną kobiecą naturę?

– Cieszę się, że sama do tego doszłaś.

– Utwierdziła mnie w tym przekonaniu dzisiejsza sprzeczka z przyszłym teściem i mężem – podjęła po chwili dziewczyna, marszcząc brewki. – Przez nią właśnie spóźniłam się na spotkanie. Obaj wypytywali mnie o śmierć swego Żar-Ptaka i nie byli zbyt mili. Obwiniali mnie o tę stratę.

– Skrzywdzili cię? – zapytał pan księżycy, zrywając się i chwytając za oręż.

– Nie ośmielili się, jestem w końcu córą władcy mórz. – uspokoiła chłopaka, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Ale rozumiałam, że nie zawsze są tak dobrzy, za jakich pragną uchodzić. Kiedy trzeba, potrafią być również podstępni, bezwzględni, a nawet okrutni, zwłaszcza gdy bronią swej władzy. Po prostu uciekłam im przed nosa i tyle mnie widzieli – zakończyła z perlistym śmiechem.

– Mogą cię szukać – ostrzegł poważnie pan nocy – a raczej nas, bo pewnie już zmiarkowali, że coś nas łączy. Choć przecież, jako poranna i wieczorna Jutrzenka, mogłabyś zadowalać nas obu, co zakończyłoby spór – zauważył z łobuzerskim uśmiechem – lecz Swaróg już dawno ustalił, że żona winna mieć jednego męża i być mu bezwarunkowo wierna. Od czasu zdrady Mokošy te zasady obowiązują bogów i ludzi. Zresztą Swarozyc ani ja nie lubimy dzielić się tym, co możemy mieć tylko dla siebie. Czeka cię teraz prosty wybór, morska królowno: złoty wóz mojego brata lub wilczy grzbiet. – Wskazał na swego wiernego druha, który usłużnie nadstawił karku.

– Nie muszę dłużej się zastanawiać – odpowiedziała, topiąc błękit swych oczu w czarnych toniach jego źrenic. – Wybieram wilka.

– W takim razie pojedźmy do mej srebrnej chaty – rzekł, pomagając Jutrzence umościć się na grzbiecie zwierza. – Gdyby zamierzyli do niej wtargnąć, przełamując ochronne czary, zawsze zdążymy schronić się w Zakętym Borze. Tam na pewno nas nie znajdą. To las skrzatów mego rodzzonego brata Welesa.

– Jedźmy już – ponagliła niecierpliwie.

– Wilk nie uniesie nas dwojga. – Zafrasował się młodzik. – Pobiegnę za wami, lecz najpierw utworzę drogę.

Cisnął na nieboskłon srebrną tarczę. Odbita w morskiej tafli księżycowa poświata utworzyła błyszczący szlak, gładki niczym gościniec usłany śniegiem.

Mieli już wyruszać, gdy drogę zagroził im Swarozyc na swym wozie bojowym. Nagle noc stała się widna jak dzień.

– Ciągłe mnie naśladujesz, a do tego niszczysz i kradniesz, bękarcie! – krzyczał rozeźlony bóg, potrząsając złocistą włócznią. – Próbowaleś zabrać blask mojej tarczy, zabiłeś ulubionego Żar-Ptaka, a teraz jeszcze chcesz ukraść mi narzeczoną!

– Narzeczoną? – zadrwił Chors. – Właśnie chciała od ciebie uciec. Nie musiałem jej wcale wykradać.

– Zawróciłeś jej w głowie, choć nie wiem czym – srożył się Dadźbog. – Być może

gładką mową. Nie rozumiem, jak może woleć bladego wymoczka od prawego woja...

– W ogóle niewiele rozumiesz – odparł hardo przyrodni brat. – Umiesz się tylko swarzyć i straszyć kmiotków suszami. Razem z ojcem uknułiście podstęp, by zwieść na manowce córę Strzyboga.

– Podstęp? – powtórzył zaskoczony Swarożyc. – Podstępny są dobre dla ciebie i twoich nieprawych braci. Naprawiliśmy tylko szkodę wyrządzoną przez popędliwego krewnego. Chcieliśmy pomóc dziewczynie...

– I tak jej pomogliście, że teraz woli wilczy grzbiet od twego złotego wozu – dokończył złośliwie pan nocy.

– Mówi prawdę – wtrąciła się wreszcie Jutrzenka, do tej pory spokojnie przysłuchująca się kłótni. – Nie chcę cię, Swarożycu, i nie wyjdę za ciebie.

– Ustąp nam z drogi, złoty bracie, a rozejdziemy się w różne strony i nigdy już nie spotkamy. Chociaż raz uznaj zwycięstwo nocy... która zawsze przychodzi nawet po najdłuższym dniu – rzucił kpiarsko srebrny młodzik, pewien przewagi po słowach umiłowanej.

– Przenigdy! – wrzasnął słoneczny bóg. – Mój ojciec stanowi prawo, a ja jestem karzącą dłońią Swaroga! Oto jego wyrok!

Niespodziewanie zwrócił się w stronę wiszącej na niebie tarczy księżycy i cisnął w nią złotą włócznią. Rzucił celnie, a od tego mocarnego ciosu powierzchnia puklerza zadrżała i pokryła się głębokimi bruzdami. Do dziś są widoczne, gdy oglądamy księżyc w pełni.

Jednocześnie morze się wzburzyło i zawrzało dzikim sztormem, aż trwożnie zakrzyczało zbudzone morskie ptactwo. Księżycowa droga zaczęła niknąć, blednąć i rozpadać się w drobny pył. Wilk zawył, tracąc grunt pod nogami. Chors zdążył chwycić ukochaną w ramiona, nim szary wierzchowiec runął w przepaść.

Z północy nadleciały potężne wichry, sługi Strzyboga. Ogarnęły wirem kochanków i zaczęły ściągać oboje ku groźnie wypiętrzającym się morskim falom.

Tymczasem wierny wilk nie poddawał się i dzielnie walczył za swego pana. Wylądował na przybrzeżnym piasku i zaparłszy się przednimi łapami o wielki głaz, sprężył do niesamowitego skoku. Jednym susem znalazł się przy jaśniejącym woju i wbił potężne kły w złotą tarczę. Zerwał ją z ramienia Swarozycy i popędził na zachód, aby zatopić puklerz w morzu. Gdy ktoś spojrzy odważnie prosto w słońce i nie oślepie od tego, może wypatrzy na gorejącym kręgu czarne ślady wilczych zębów.

Dziedzic Swaroga przez chwilę zdawał się stropiony, a bez tarczy jego blask został nieco przyćmiony. Szybko jednak Dadźbog zebrał wszystkie siły, czarodziejskim sposobem przyzwał do dłoni włócznię i rzucił nią, przesywając wilka na wylot. Zwierz zaskowyczał boleśnie i zwałił się w morską toń. Wypuścił słoneczną tarczę, po którą zaraz podjechał prawowity właściciel.

Swarozyc odzyskał w pełni swą światłość i krojąc złotym wozem mrok, jak radło kraje czarną skibę, przygalopował na miejsce braterskiej zwady, by zobaczyć skutki swych wcześniejszych poczynań.

Chors zmagął się z rozszalałym żywiołem, który pragnął wyrwać mu z rąk wybranekę. Młodzik obawiał się, że dłużej nie zdoła jej utrzymać, gdyż siły wiatru zdawały się niewyczerpane, podczas gdy jego zaczynały maleć. Jutrzenka wyczuła to, otworzyła załzawione oczy i całkiem przytomnie szepnęła panu nocy na ucho:

– Poczekajmy, aż moi bracia dorosną...

Zaraz potem wichur wyszarpnął ją z ramion ukochanego i rzucił prosto w rozwartą morską czeluść, która pochłonęła dziewczynę w mgnieniu oka i zamknęła się nad nią niczym potworna paszcza.

Księżycowy uwodziciel wyczołgał się ledwie żywy na brzeg. Na wpół przytomny słyszał, jak ucichła wichura i uspokoiła się burza, a z głębi wód dobiegł ciężki głos Strzyboga:

– Bracia, synowie jednej matki! Nie umiecie godnie walczyć o mą córę, swarzycie

się wciąż między sobą, więc żaden z was nie będzie jej miał. Zostanie morską panną, dopóki półbóg zrodzony z ludzkiej niewiasty nie uwolni jej zaklęciem. Wtedy sama wybierze, kogo zechce.

– Sprawiedliwe sądy boże – orzekł Swarozyc, widać jednak było, że niezbyt jest zadowolony z decyzji brata.

Boskie przeczucie mówiło mu, że przyszli teściowie zawsze zazdrośnie strzegą swych latorośli i z byle powodu gotowi są uznać za niegodnych wszystkich kandydatów na zięciów. Zagryzł wargę, aby nie wdawać się w dalsze rodzinne swary, i zawróciwszy wóz, popędził lotem ognistej strzały do Wyraju, gdzie opowiedział rodzicowi o wyniku nadludzkich braterskich zmaganiań.

Po chwili na niebie zapadły ciemności, na morzu zaś martwa cisza. Poczerniały nieboskłon zatrzasnął się nad nieszczęsnym kochankiem Jutrzenki jak wieko czarnego kufra.

Takie to dzieje dawne, ale jeszcze nie koniec historii.

Gdy Chors doszedł do siebie, zobaczył, że morze wyrzuciło na brzeg ciężko ranionego wilka. Bóg ściągnął z nieba srebrną tarczę, wygładził ją, na ile zdołał, i uleczył druha srebrnym blaskiem. Odtąd wilcze plemię zanosí pochwalne pieśni do każdej pełni, sławiąc skowytem mrok i księżycową poświatę, która ongiś przywróciła do życia praojca szarych drapieżców. Chors karmi je w zamian czarodziejskim lśnieniem, choć błogosławieństwo to traci na sile wraz z upływem kolejnych dni, gdy srebrna tarcza zmienia się stopniowo w ostry sierp.

Wilki i wilkołaki składają mu w podzięcie krwawe ofiary, aby mógł bez końca powtarzać cykl miesięcznych przemian. Właśnie dzięki nim księżyc odzyskuje siły i znowu podczas kolejnej pełni widzimy go w pełnej krasie. Blask puklerza Chorsa pozwala wilkołakom polować na inne żywe stworzenia, dając im ochronę przed wszystkim, co nie zostało dotknięte magią, dlatego stwory te można zniszczyć tylko za pomocą ofiarnego srebrnego sierpa, takiegoż topora lub mocą świętego ognia.

Wilczy pan rozwiesza zasłony ciemności, pozwalając swym dzieciom kryć się w cieniu i skradać w mroku, by mogły przemykać blisko ofiar i podarować im łaskę zostania częścią krwawego obrzędu na jego cześć. Dlatego też do dzisiaj najbardziej łaknący krwawych czynów młodzieńcy przechodzą niesamowitą przemianę podczas tajemnych leśnych obrzędów, kiedy przywdziewają wilcze skóry i zbierają się w zbójckie watahy.

Jeśli zwykły człowiek niebacznie wraca nocą przez las, a mimo to dociera do domu cały i zdrowy, winien czuć się wyróżniony przez Chorsa i złożyć mu dzięki. Dzięki nie byle jakie, bo pamiętać trzeba, że pan księżycy ceni sobie przelewanie krwi i zadawanie śmierci, traktując to jako ofiarę dla siebie. Nie bez powodu ataki wilków są ulubioną zabawą mrocznego boga i jego sług.

Musicie wiedzieć, że zmagania Chorsa ze słonecznym bratem trwają bez końca. Słońce podczas lata panuje na niebie, gdy dni są długie i ciepłe, a noce krótkie. Kiedy jednak nadchodzą zimowe miesiące, czas władania mrozu i ciemności, księżyc zyskuje przewagę nad słońcem. Trwa tak do czasu, aż grom Peruna wyzwala spętane wody, wtedy nastają wylewy rzek, ziemia pokrywa się zielenią młodej roślinności, a dzień robi się coraz dłuższy, pokonując zachłanność nocy.

Od chwili utraty umiłowanej Jutrzenki duch Chorsa stał się jeszcze bardziej mroczny. Nie mogąc ani nie chcąc pogodzić się z wyrokiem Strzyboga, pan nocy wędrował po niebie tęskny, smutny i lekko przyćmiony, skupiając swe promienie na morskiej powierzchni, aby choć poprzez tafłę wody móc pieścić uroczą Jutrzenkę. Zaczął sterować przyptywami i odpływami mórz w nadziei, że znajdzie ślady ukochanej. Rozesłał też po całej ziemi armię upiorów, które przywabia dziewicza krew miesięczna, licząc, że zwęszą dłań trop i doprowadzą go do miejsca, gdzie srogi ojciec uwięził niesforną córkę.

Skąd się biorą upiory, pytacie? Powstają z ciał tych nieszczęśników, którzy, splamiwszy się poważną zbrodnią, zawiśli na stryczku i nie doczekali się godnego

pochówku. Albo tych, co sami skończyli ze sobą na gałęzi. Lub tych, których rozszarpały w borze dzikie zwierzęta. Albo padli na polu bitwy, a nikt nie spalił ich zwłok i nie pogrzebał popiołów. Takie przeklęte dusze nie trafiają od razu do Nawii. Upiory wstają z martwych, napędzane mroczną księżycową mocą, żądne krwi i zemsty na żywych. Zbrodniarze krążą zwykle wokół miejsca swego krwawego czynu i nękają przypadkowe ofiary, a czasem nawet własne rodziny, dopóki żywi nie spalą zwłok, a bogowie nie zdejmą z upiorów klątwy, uznając, że już odkupili swą winę.

Dawniej, gdy wszędzie na ziemiach Ludu Słowa płonęły pogrzebowe stosy, było znacznie mniej upiorów, czy też, jak to się teraz mówi, wampirów. Z popiołów bardzo trudno powstać, chyba że za sprawą potężnych czarów. Jednak obecnie, gdy krzewiciele obcej wiary coraz śmieiej wkraczają pośród nas i zakazują całopalnych obrzędów oraz zmuszają, byśmy grzebali zmarłych w ziemi, rozpleniło się plugastwo upiorów. Nie wiedzą pobożni głupcy, że przez to, co w swej ślepcie nazywają „chrześcijańskim pochówkiem”, przysparzają tylko sług Chorsowi.

Nie lękajcie się jednak, najmilsi, bo coś wam poradzę. Jeśli znajdziecie ciało pochowane w ziemi, które wbrew zwykłemu porządkowi rzeczy zachowało świeżość i wydaje się nietknięte przez zgniliznę ani robactwo, tudzież opite krwią, zazwyczaj sprawę powinny załatwić dwie czynności: wbicie w serce osinowego kołka i ucięcie głowy potwora. Prawda jest jednak taka, że jedynie płomień stosu pogrzebowego wypalają złowieszczą moc wskrzeszania zmarłych. A kiedy żegnamy wielkiego władcę i wojownika, człek taki może dostąpić odpowiedniej dla niego chwały tylko w świętym ogniu.

Pytacie także, czy Chors jest zły, skoro włada stadami wilkołaków i upiorów, którymi straszą was niańki i przed którymi drżą także dorośli? Gdy chodzi o bogów, bardzo to niemądre pytanie, dziateczki. Mówiłem już, aby nie mierzyć boskich czynów naszą ludzką miarą.

Świat nie zna takiego pojęcia jak „zło”, bo w przyrodzie wiecznie ktoś kogoś

pożera. Tak samo bogowie nie są źli ani dobrzy – są tacy, jacy są, postępują więc zgodnie ze swoją naturą. Nikt, nawet nieśmiertelni, nie wybiera swojego przeznaczenia. Wszyscy spełniamy swą powinność. Każdy własną.

Czy wiatr, który czasem muska przyjemnie nasze twarze, a innym razem wywraca drzewa i domy, jest dobry lub zły? A czy wilk, nieodłączny towarzysz księżyca, kiedy rozszarpuje i pożera sarnę, owcę albo nawet człowieka, naprawdę jest zły? Może tylko zwyczajnie głodny?

Chors nie jest więc zły ani dobry. Po prostu jest sobą.

Panem nocy i wszystkich nocnych stworzeń, które otacza opieką. Winniśmy okazywać mu cześć taką samą, jak pozostałym bóstwom, i obłaskawiać darami, jeśli nie chcemy trafić na jego stół ofiarny w głębi kniei. Pamiętajcie jednak, że każdy wielki dar wymaga wielkiego poświęcenia.

Mówicie, że znów mrużę oko? Taka moja starcza przypadłość.

Walka słońca z księżycem (boga słonecznego z bogiem księżycowym) to podstawa jednego z bałkańskich mitów lunarnych, a podobne rozwiązania narracyjne obecne są także w baśniach całej Słowiańszczyzny. Z kolei powiązana z ową walką historia o wilku (albo smoku), który pożera tarczę słoneczną lub księżycową, to motyw występujący w mitach wielu ludów indoeuropejskich.

Obok niego snuje się równolegle opowieść o dziewiczej Jutrzence i jej dwunastu miesięcznych braciach, cudem wybarwionych przez starszą siostrę od śmierci. Historia księżycowej dziewczyny, porwanej i zawłaszczonej przez słońce, znana jest także ludom ugrofińskim. Z kolei w licznych rosyjskich baśniach przewija się motyw wiatru porywającego i więżącego kniaziównę. Wiatr ten był niewątpliwie późnym, zmienionym pod wpływem pojęć chrześcijańskich wcieleniem kapryśnego i srogiego władcy wichrów Strzyboga. Natomiast w jednej z baśni zapisanych przez Antoniego Glińskiego występuje zagadkowy „królewicz z księżycem na czole”, bohater zakochany w Jutrzence, który wydaje się symbolicznym ludzkim odpowiednikiem boga księżycowego, Chorsa.

Ze zbioru Glińskiego wziąłem też opowieść o dwunastu braciach i dzielnie ratującej ich siostrze. Jakkolwiek autor zapisał ją w swoich rodzinnych stronach (Nowogródzczyzna, dzisiejsza Białoruś), niektórzy badacze uważają, że motyw ten w swojej pierwotnej formie pochodzi z germańskiego kręgu kulturowego. Mielibyśmy w takim wypadku kolejny motyw baśniowy znany wielu ludom bez względu na dzielące je bariery kulturowe i językowe.



O NAWII ORAZ O WYZWOLENIU JAROWITA

Opowiem teraz najpiękniejszą i najdziwniejszą historię, jaką w moim długim życiu słyszałem.

Pamiętacie uwięzionego w Nawii Jarowita?... Wysłuchajcie więc jego dziejów.

Najpierw jednak słów parę o tajemniczej krainie umarłych.

W Nawii nie znajdzie się żywych ludzi, tylko cienie tych, kim byli za życia. O ile wiem, nikt nie zdołał przekroczyć cielesnie jej wrót strzeżonych przez trzygłowego Żmija. Ponoć niektórzy guślarze i pewne wiedźmy chwalili się, że w głuchej puszczy, na mrocznych uroczyskach lub w pieczarach znajdowali wejścia do ukrytego królestwa i przedostawali się doń na chwilę dzięki potężnym zaklęciom, a potem wracali do naszego świata dziwnie odmienieni. Twierdzili, że Nawia wcale nie znajduje się za morzem ani krwawą, ognistą rzeką, lecz jest dosłownie o krok, niemal na wyciągnięcie ręki. Wygląda podobnie do żywego świata, lecz wszystko jest w niej obumarłe i dziwacznie wykoślawione. Różnie o tym bajają, lecz ja podczas swoich licznych wędrówek nie spotkałem jeszcze nikogo, kto przekroczył niewidzialną granicę i zasługiwałby na wiarę.

Mówi się też, że potężni wróże odwiedzają Nawię w wieszczych snach wywołanych przez wywar ze specjalnych grzybów. Spotykają duchy przodków i radzą się ich w różnych sprawach. Zdarza się to również zwyczajnym ludziom podczas snu – nie zdają sobie sprawy, gdzie się naprawdę znaleźli i nie pamiętają zbyt dobrze, czego tam doświadczyli. Może dlatego ich wizje są mgliste, niejasne, a często przeczą sobie nawzajem.

Jedni opowiadają, że widzieli wielkie górskie błonie, na którym Weles wypasa dusze, kierując nimi czarodziejskim kosturem, a czyni to siedząc na złotym tronie

opieczonym korzeniami świętego Drzewa. Straż nad stadami duchów trzymają szkaradne biesy i smoki ziejące ogniem.

Inni widzieli głęboką otchłań, w której dusze złoczyńców bez końca błakają się po jałowych niwach, gdzie kierunki nie mają żadnego znaczenia, a drogi pulsują i wiją się pod nogami jak węże.

Jeszcze inni twierdzą, że duchy wyklętych przez bogów pracują całą wieczność dla skrzatów w podziemnych kuźniach. Dusze sprawiedliwych przebywają za to w miejscach podobnych do tych, jakie zamieszkiwali za życia, i zajmują się tymi samymi pracami, i cieszą się martwym spokojem, choć tęsknią za ziemskim bytem. Właśnie owi sprawiedliwi zmarli chętnie przybywają z zaświata na nasze wezwanie.

Może wszyscy, którzy opowiadają o Nawii, mają rację, a może nikt. Może to tylko senne majaki, wyraz naszych lęków lub pragnień.

W opowieściach guślarzy chyba jednak jest ziarno prawdy, skoro w noc Dziadów zanika granica między światem a zaświatem, zaś duchy przodków przychodzą na wezwanie, by ogrzać się przy naszych ogniskach i biesiadować z potomkami.

Wszelako wystrzegajcie się, zwłaszcza młodzi i ciekawscy, podczas Dziadów zadawania zmarłym niestosownie dociekliwych pytań o zaświat i jego sprawy. Przodkowie bardzo tego nie lubią i mogą się na was srodze rozgniewać. Zadumają się tylko, zapatrzą w gwiazdy, potem odejdą w milczeniu, urażeni. W najlepszym razie usłyszycie zwięzłą odpowiedź, że każdy sam się musi przekonać, gdy przekroczy bramę wieczności i doświadczy takiej Nawii, na jaką swoim życiem zasłużył. Nie próbujcie też podążać za uchodzącymi duchami ani śledzić, dokąd idą. Możecie tym ściągnąć na siebie wielki gniew Welesa i już nie wrócić pomiędzy żywych.

Jarowit mieszkał w królestwie syna Czarnoboga, lecz nie wiedział, że przebywa poza światem bogów. Nie pamiętał nic ze swego dzieciństwa w Wyraju, nie przypominał sobie rodziców ani starszych braci. Myślał, że cały świat wygląda jak Nawia, że wszędzie jest spękana ziemia pokryta pożółkłą roślinnością i uschłymi

drzewami majaczącymi wśród mgieł jak udręczone cienie umarłych, że wszędzie rozpadliny zieją mrokiem...

Niektóre z owych szczelin przypominały szramy wycięte w skale, a buchały ogniem lub krwistoczerwoną lawą, niekiedy także gorącą siarczaną wodą z podskórnych źródeł, w której chłopak lubił się pławić. Po takiej kąpeli zawsze się czuł jak młody bóg. Gdy zaglądał do innych rozpadlin, widział tylko bezdenne czeluście usiane rojami wędrujących światełek, które w końcu znikwały w nieprzeniknionych cieniach. Wypytywał swego opiekuna, skrzata Jaryłę, o te światełka, lecz zawsze otrzymywał wykrętne odpowiedzi.

Młodzieniec nie czuł zamiłowania do pracy w kuźni, w której jego wychowawca najchętniej spędzałby cały czas, wykonując różne przedmioty dla swego pana Welesa. Jarowit nigdy nie widział owego tajemniczego władcy, nie miał również pojęcia, że jest on jego przyrodnim bratem.

Wicie już, że początki skrzaciego rodu sięgają czasów, gdy Swaróg i Czarnobóg walczyli ze sobą, boskie armie zmagaly się na granicy zaświata, a zrab ziemskich krain drżał w posiadach. Pierwsze skrzaty wspomogły syna ciemności swym rzemieślniczym kunsztem, wykuwając broń dla armii biesów, które za sprawą czarnej magii wylęgły się z mrocznych zakamarków pod korzeniami Drzewa. Po skończonej wojnie światła z ciemnością skrzaty przeszły na służbę u nowego władcy Nawii, Welesa, ze smutkiem jednak patrzyły, jak ich ukochana podziemna kraina zamieniła się w dymiące zgliszcza, jak się spaczyła i odkształciła. Część z nich uprosiła więc pana zaświatów, by pozwolił im przenieść się do świata na powierzchni, na co łaskawie przyzwolił. Tym sposobem sporo skrzatów zamieszkało w Zaklętym Borze i innych puszczech, a inne upodobały sobie ziemskie zagrody, w których żyją odtąd na prawach niewidocznych domowników, pomagając ludziom w zamian za smaczne jadlo i napitek. Nawet takie udomowione skrzaty nie wyzbyły się wszakże tęsknoty za utraconą podziemną krainą i bywają w niej częstymi gośćmi.

Kowal Jaryło należał do tych, którzy pozostali w Nawii. Pracował w kuźni będącej dla niego całym światem. Czasem żartował sobie z danego mu pod opiekę młodzieńca i wykorzystując przypadkowe – lub może zaplanowane przez bogów – podobieństwo ich imion twierdził, że jest prawdziwym ojcem Jarowita, a jego matką była zdybana na granicy światów rusałka, która nie przeżyła porodu. Młodzieniec nie wierzył jednak w słowa opiekuna, zwłaszcza odkąd przyjrzał się swemu odbiciu w mętnej sadzawce nieopodal kuźni, trudno bowiem było o osobę bardziej odmienną wyglądem od karła, a i charakterem też się różnili.

Jarowit był wysoki, długonogi, śmigły jak młody dębczak, jasnowłosy, jego ładna twarz miała proste i regularne rysy, zaś szczery uśmiech ukazywał zęby równe i białe. Duże oczy przypominały bliźniacze jeziora, w których odbijał się błękit zapomnianego przez chłopaka pogodnego nieba. Złotawa skóra nawet w podziemnych mrokach zachowała zdrowy odcień i gładkość cienkiego lnu. Jarowit cały był złoty, gładki i słodki niczym miód, ale przy tym dzielny i mocny jak tur.

Jaryło natomiast dźwigał pokraczny kadłub na krótkich, krzywych nóżkach, a do guzowatego łba miał przyklejone pasemka niegdyś kruczoczarnych, obecnie szpakowatych włosów. Lico jego było szpetne, niekształtne, okraszone licznymi brodawkami i długim, zakrzywionym jak sępi dziób nochalem, a także siwą brodą – wprawdzie rzadką, ale sięgającą niemal do ziemi. Uszy miał odstające, szpiczaste, z wiehczkami włosów na ich czubkach, jak u wiewiórki. Małe, żółtawe, rozbiegane oczka przypominały ślepia łasej na ziemskie skarby gadziny, a przebiegły uśmiezek bezkrwistych warg odsłaniał poczerwiałe, rozchwiane pieńki przywodzące na myśl przegniłą palisadę. Na plecach nosił ogromny garb i zdawał się poruszać wiecznie przygięty do ziemi pod brzemieniem własnej brzydoty.

Nawet niedoświadczony młokos nie uwierzył, że plugawy pokurcz mógł spłodzić tak hożego, dorodnego, zupełnie niepodobnego do siebie potomka, choćby i z najpiękniejszą rusałką.

Młodzieniec był dość bystry, lecz nie zastanawiał się nigdy, skąd karzeł bierze jadło i inne użyteczne rzeczy w obumarłym, pustym świecie. Skoro w komorach gospodarza nigdy niczego nie brakowało, taki stan wydawał się Jarowitowi oczywisty. Wszyscy łatwo przyzwyczajamy się do dobrego, lekkiego życia i nie doceniamy go – młody bóg nie był w tym względzie wyjątkiem. W naturze ludzkiej, a może także i boskiej, leży też jednak wieczne nienasycenie, ciągłe pożądanie nowych doznań oraz rozkoszy. Także pod tym względem chłopak nie różnił się od ciekawych świata i pragnących przygód młodzieńców.

Ulubioną rozrywką Jarowita było galopowanie po pobliskim Żmijowym Polu na narowistym karym ogierze, którego zwał Czarnolotkiem. Jaryło twierdził, że skradł rumaka dla swego wychowanka z łąk Wyraju, młodzieniec wątpił jednak w niebiańskie pochodzenie wierzchowca, koń bowiem wyglądał i zachowywał się jak istota z Nawii rodem: czarny był jak smoła, z nozdrzy buchał mu ogień, oczy sypały skrami, z uszu waliły kłęby dymu. Kiedy gnał niczym wicher, kopytami krzesał srebrne wyblęski, gdyż karzeł podkuł go srebrnymi podkowami. Uganiając się na nim po rozległej równinie, chłopak polował na żmije wijące się pod nogami rumaka, którego jad się nie imał. Łowy na gadziny budziły w boskim sercu niejasne wspomnienia, dlatego oddawał się im namiętnie, licząc, że otworzą w jego duszy jakieś zamknięte drzwiczki, za którymi kryje się wyjaśnienie dręczących go pytań. Nie dziwiło go jednak, że żmije nie próbują przed nim uciekać ani go kąsać, a zabite jednego dnia, odradzają się następnego w tej samej liczbie i kształcie.

Pewnego ranka zbudził go grzmot, od którego zadrżała spękana ziemia martwego świata, a wraz z nią cała kuźnia.

To Perun zapędził się w pogoni za wyjątkowo uciążliwą zgrają biesów na pogranicze Nawii i poraził stwory gromem, którego odgłos dotarł w najgłębsze podziemia. Jarowit niejasno przypominał sobie niesłyszany od dawna dźwięk i czuł, że ten wywołał w jego sercu nieokreśloną tęsknotę. Dziwna magia zaśpiewała w duszy

chłopaka, wypełniła żyły ogniem i przeszła ciało dreszczami.

Młodzieniec obmył się naprędce i przyodział w czystą białą szatę. Dłonie drżały mu przy tym jak nigdy, w głowie kłębiły się tabuny ulotnych myśli, a przed oczyma duszy jawiły się niewyraźne wspomnienia błogich, świetlistych łąk, po których hasał będąc dziecieniem... Jarowit wyszedł ze swej izdebki. Gdy zajrzał do pracowni karłowatego opiekuna, którego winien był uważać raczej za strażnika, serce tłukło mu się o żebra niczym ptak pragnący się wyrwać z ciasnej klatki.

Jaryło jak zwykle wykuwał kolejne arcydzieło na rozkaz Welesa. Choć nikczemnej postury, skrzat był bardzo silny, acz trudno było dociec, skąd brała się jego moc. Nie odwrócił się w stronę wchodzącego młodzieńca, pozornie skupiony na robocie, w końcu jednak zapytał:

– Czego ci trzeba, chłopcze?

– Zbudził mnie dzisiaj gromki huk, potężniejszy niż uderzenie twojego młota – odparł rozdygotany młodzieniec. – Gdy wstałem, poczułem, że przepelnia mnie dziwny niepokój, a coś jakby rozciąga me ciało i wprawia w nieustanne drgawki... Czy to choroba?

– Można i tak to nazwać – mruknął opryskliwie skrzat. – Choroba typowa dla chłopców w tym wieku.

– Jak się nazywa? – zaciekał się Jarowit.

– Żądza... przygód – burknął opiekun. – A powiedz, co dzieje się z twoim sercem?

– Wrywa się z piersi i pcha mnie ku nieznanym przestrzeniom – odpowiedział szczerze wychowanek. – Chcę dziś pojechać poza Żmijowe Pole, pragnę poznać to, co rozciąga się dalej.

– Wiem, co się z tobą dzieje – rzekł skrzat, przerywając pracę. – Dorastasz, a w twej duszy obudziła się chęć podróżowania i dokonania śmiałych czynów. I... potrzebna ci także dziewczyna – dorzucił, łypiąc chytrze spod oka.

– Dziewczyna? Cóż to takiego? Jakaś nadobna rusałka? – domyślił się

podopieczny, wspomniawszy opowieści starego.

– Nie zaczynaj od przygód z rusałkami – warknął karzeł, machnąwszy prawicą jak cepem. – Serca tych istot są zimne i samolubne, a uczucia niestałe. Potrzebujesz ludzkiej dziewczyny, bo to wdzięczne i ucieszne stworzenia. Skoro naprawdę kogoś miłują, liczy się dla nich tylko jeden wybranek. Potrafią dać wiele czułości i ciepła... a tego brakowało ci ode mnie – przyznał, posepniejąc na chwilę.

– Twierdzisz, że powinienem nawiedzić ludzkie krainy? – wywnioskował młodzieniec, unosząc brwi ze zdziwienia. – Ten jasny świat na powierzchni, o którym czasem wspominałeś, gdy język ci się rozwiązał po wielu kubkach mocnego piwa? Mówiłeś jednak także, że nie jest zbyt przyjazny podziemnym istotom. Ludzie boją się nas, ale mogą być też niebezpieczni...

– Nie dla ciebie, mój chwacie – odrzekł Jaryło. – Dobrze cię wyszkoliłem i łatwo sobie poradzisz nawet z największym osiłkiem, choćby miał bary niedźwiedzia. Przeczuję, że mógłbyś tam wiele nabroić i zdobyć nieśmiertelną sławę. Przed laty, gdy byłem młody jak ty, włóczyłem się po świecie i płodziłem dzieci z ludzkimi pannami – dorzucił z przechwałką w głosie, szczerząc krzywe zęby w uśmiechu.

„Biedni ludzie nawet pewnie nie wiedzą, skąd wzięło się wśród nich tylu karłowatych, pokracznych odmieńców” – pomyślał przekornie młodzian, z trudem powstrzymując się, by nie parsknąć śmiechem.

– Ale ludzka niewiasta to dla ciebie zbyt pospolity łup – podjął po chwili przebiegły karzeł, wciąż łypiąc badawczo na wychowanka. – Miłości tak dorodnego śmiałka godna jest królowa albo nawet bogini.

– Królowa? Bogini? – powtórzył w zamyśleniu młodzieniec, jakby smakował przyjemnie brzmiące wyrazy.

– Istota dorównująca ci urodą i mocą. – uściślił skrzat. – W końcu nie chowałem cię dla byle kogo.

– Znasz może jakąś? – Zaciekawiał się Jarowit.

– Tak się składa, że znam – odparł kowal niby od niechcienia. – Mieszka na pograniczu światów, niedaleko jak na możliwości twego Czarnolotka, który jednym skokiem może pokonać sto kroków.

– W którą stronę mam jechać?

– Na wschód. – Skrzat wskazał właściwy kierunek.

– Tam, gdzie zawsze odradzałeś mi jeździć? – kolejny raz zdumiał się wychowanek.

– Odradzałem, bo byłeś zbyt niedojrzały, by zmierzyć się z czyhającymi po drodze przeciwnościami – wyjaśnił Jaryło.

– Jakimi? – spytał krótko Jarowit, gotów stawić czoło całemu światu.

– Po pierwsze, przejście zagradza wielki głaz rzucony przez olbrzyma. Trzeba usunąć go z drogi.

– To da się zrobić. Jestem chyba dość silny. Co dalej?

– Dalej znajduje się żelazny most zawieszony nad bezdenną przepaścią i nabity ostrymi ćwiekami – wyliczał karzeł. – Sam go wykułem na życzenie naszego rogatego pana. Twój rumak powinien go przebywać bardzo ostrożnie, bo jeśli skaleczy nogę, obaj runiecie w otchłań. Po drugiej stronie mostu czuwa ogromny żmij, starszy niż twoja pamięć. Ma trujący oddech i zabójcze spojrzenie.

– Jak go pokonać?

– Tym mieczem – odparł spokojnie stary. – Wykułem go dla ciebie w nocy.

Zręcznym ruchem wydobył zza kowadła ukryty tam oręż. Miecz był zaiste wspaniały, choć pozbawiony wymyślnych ozdób. Lśnił i wyglądał na bardzo ostry. Gdy zachwycony młodzik chwycił go w dłoń, stwierdził też, iż broń jest doskonale wyważona. Zakręcił nią młyńca, omal nie ścinając długiej brody karła.

– Ostrożnie – rzekł skrzat, mimo woli cofając się o krok i odchylając głowę do tyłu – bo mnie zasieczesz.

– Nigdy w życiu – zapewnił chłopak. – Szkoda byłoby stracić takiego mistrza...

Ale podsunąłeś mi pomysł, jakie nadać mu miano. Nazwę go Sieczeniec.

– Godne imię – pochwalił karzeł. – Dobrze dla miecza zwycięskiego witezia, jakim wkrótce się staniesz. Kiedy zabijesz żmija, nie zapomnij odrąbać mu głowy – zaznaczył – by nie odrodził się za twoimi plecami. Gorycz to podstępna i mściwa bestia. Może cię oszukać, udając martwego.

– Zrobię, jak radzisz. Cóż za ponure miano: Gorycz. Lepiej z takim uważać... Masz jeszcze dla mnie jakieś wskazówki? – spytał, przypasując miecz i przywołując Czarnolotka.

– Owszem. Kiedy zabijesz żmija, będziesz musiał przejechać Bagno Topielców, głębokie i zdradliwe trzęsawisko. Czarnolotek zna drogę i będzie skakał z kępy na kępę, lecz trzeba zważać na utopce, które będą próbowały pochwycić twego konia za nogi i wciągnąć was w toń. W razie czego siecz Sieczeniecem po ich łapach bez chwili wahania!

– Zapamiętam. Co czeka mnie potem?

– Potem już sama radość – oświadczył Jaryło z szerokim, lecz nieco obleśnym uśmiechem. – Znajdziesz uspioną boginkę pod uszłą jabłonią. Ktoś rzucił czar na nieszczęsną i odtąd śpi jak zabita. Próbowałem ją kiedyś obudzić, ale bez powodzenia. Przepowiadam jednak, że twój młodzieńczy wigor zziała z nią cuda. Smagnij ją lekko jakimś cienkim badyłkiem, spryskaj ożywczą wodą z pobliskiego źródła, a następnie pocałuj w usta... Na pewno się przebudzi i okaże ci wdzięczność... A co robić dalej, podpowie ci samcza natura. – zakończył, oblizując zwiędłe wargi długim ozorem i mocno się przy tym śliniąc.

– Jadę – zdecydował Jarowit, wskakując na grzbiet rumaka i ściskając go kolanami. – Bywaj, mistrzu.

Czarny koń ruszył pędem, przeskakując wrota zagrody.

– Bywaj! – krzyknął za nim skrzat.

Rozochocony młodzieniec nie pomyślał nawet, aby podziękować staremu za dar

oraz rady. Często to błąd u młodych i zdolnych, którzy sądzą, że wszystko im się należy tylko dlatego, że są właśnie młodzi i zdolni. A nierzadko zdolni są rzeczywiście do wszystkiego, dlatego myślą, że każda przewina ujdzie im na sucho. Dzieje się tak, dopóki ich dola nie ostudzi niewczesnych zapałów kubłem zimnej wody na łeb. Wtedy rozumieją, jak bardzo się dotychczas mylili, choć na naprawianie szkód jest już często za późno.

Karzeł odprowadził wychowanka uważnym spojrzeniem, uśmiechając się złośliwie pod wąsem. Gdy stracił młodego z oczu, siadł na przyzbie i zamknawszy oczy znieruchomiał, mieląc tylko językiem jakieś złowieszcze zaklęcia.

Jarowit nie bawił się długo z kamieniem zawalidrogą. Zamiast marnować nań siłę swych mięśni, wypróbował na głazie ostrze nowego miecza. Sieczeniec rozciął skałę łatwo jak grudę masła – od góry do dołu. Rozpadła się na połówki, które runęły na boki. Młodzieniec przejechał pomiędzy nimi, a wówczas obie części głazu znowu się zeszyły, zatraskując się z hukiem za jego plecami. Witeź uznał, że dobrze się stało – przynajmniej nikt nie będzie go śledził ani przeszkadzał mu w odnalezieniu uspiionej bogini.

Wkrótce dotarł do żelaznego mostu utrzymującego się tylko na jednym słupie, przez co był chybotliwy, a na dodatek najeżonego ostrymi kolcami. Koń Czarnolotek przeszedł między nimi ostrożnie, powoli, nie zahaczając o żaden, czarodziejskim wzrokiem wyczuwając wszystkie, nawet niewidoczne przeszkody. Jarowit pilnował się, by nie patrzeć w dół, bowiem widok bezdennej czeluści mógłby wywołać zawrót głowy, a zatem osłabić siły, które oszczędzał na pokonanie zmija. Gdy przejechał szczęśliwie na drugą stronę, wyjął dwa haki mocujące kraniec kładki do urwiska, a wówczas most zerwał się z pozostałych uwięzi i zaczął kręcić się jak oszalały wokół jedyne utrzymującego go słupa. „Teraz nikt za mną nie przejedzie” – pomyślał młodzieniec.

Nieopodal spoczywał w uspieniu straszliwy zmij Gorycz. Spać musiał niezmiernie

długo, bo tu i ówdzie jego łuskowaty grzbiet i wielki jak góra łeb zdążyły porosnąć kępki rzadkiej, pozółkłej roślinności. Wokół walało się bez liku kości olbrzymów i różnych innych istot, co świadczyło, że Jaryło nie lgał, mówiąc o śmiercionośnym oddechu i zabójczym spojrzeniu potwora.

Jarowit zostawił rumaka przy uschniętym krzaku, sam zaś najciszej jak potrafił podkraść się z dobytym mieczem do lewego boku poczwary, zamierzając zadać cios w samo serce. Zakładał, że nawet czarodziejskie istoty muszą je mieć po tej stronie.

Sen zmija może i był długi, okazał się jednak niezbyt głęboki. Nim witeź zdołał podejść na tyle blisko, by zadać szybkie i celne pchnięcie, usłyszał niski głos dobywający się jakby z wnętrza stwora, gdyż nie widać było, aby smok poruszał paszczą:

– Ejże, młodziku! Czy ci świat niemiły, że szukasz tu śmierci niechybnej? Uciekaj, pókiś cały!

– Nie powstrzymasz mnie – odrzekł hardo Jarowit, wznosząc oręż. – Przybyłem tu, by uśpić cię na wieki.

Żmij rozwarł lewe oko i łypnął na śmiałka straszną pionową źrenicą. Widząc, że nie robi to na młodym bogu żadnego wrażenia, poczwara odwróciła cały łeb w stronę przybysza i wytrzeszczył nań oba ślepia. Również bez skutku. Zdumiony potwór, rozumiejąc, że ma do czynienia z nie lada witeziem, rozwarł najeżoną ostrymi kłami paszczkę i zionął morderczym oddechem. Jarowita ogarnęła chmura żrącej siarki, lecz kąpiele w siarczanych źródłach wystarczająco go uodporniły, dzięki czemu trwał niewzruszenie, a miecz w jego dłoni nawet nie drgnął.

Żmij wyciągnął długą szyję i kłapnął zębiskami, na szczęście młodzieniec zdążył odskoczyć na bezpieczną odległość. Wówczas z paszczy wyskoczył długi rozwidlony język, którym smok owinął przeciwnika w pasie i począł go ciągnąć ku gardzieli.

Wojownik zapierał się nogami jak mógł, aż stopy wyłobiły w suchej ziemi głębokie bruzdy, lecz jęzor z niesamowitą siłą ciągnął witezia na spotkanie śmierci w

przepastnych trzewiach poczwary. Rozeźlony śmiałek zdołał w końcu uwolnić prawicę dzierżącą miecz i ciął z całej siły ohydnie pulsujący żywy arkan. Krępująca go część języka opadła na ziemię, pozostała zaś żmij błyskawicznie schował w paszczy, rycząc przy tym boleśnie. Z pyska stwora popłynęła struga cuchnącej czarnej posoki.

Jarowit został przywleczony na tyle blisko wielkiego łba, że mógł zadać cios decydujący o wyniku starcia. Nie myślał już o smoczym sercu – bez wahania wbił sztych miecza w żmijową źrenicę. A wbił go głęboko, po czym przekręcił ostrze Sieczeńca, by mieć pewność, że cios okaże się śmiertelny. Gdy po chwili wyszarpnął miecz, z oczodołu wypłynęło żmijowe oko wraz ze śluzem i krwią. Gad przymknął powiekę, wydał przeciągłe syczenie, które brzmiało jak ostatnie tchnienie, i znieruchomiał.

Witeź żmijobójca, pomny przestróg opiekuna, nie dał się jednak nabrać na sławetną smoczą sztuczkę. Wskoczył na kark poczwary i przykładając ostrze do nasady wielkiego łba, zawołał:

– Nadszedł twój kres, potworze! Zanim zetnę ci łeb, chcę się dowiedzieć, kim jesteś i skąd się tu wzięłeś. Czyje czary sprawiły, że strzeżesz przejścia przez most?

Odpowiedział mu ten sam niski głos:

– A czyjeż, jeśli nie Welesowe? On tutaj panuje nad wszystkim. Oszczędź mnie, młodzieńcze, bom godny politowania. Karzeł oszukał nas obu.

– Jakże to? – zdziwił się Jarowit.

– Wieki temu, u zarania dziejów, nie byłem żmijem, lecz olbrzymem – zaczął opowieść Gorycz. – Perun wykuł mnie i moich braci ze skalnych złomów, byśmy walczyli dla niego z mocami ciemności.

– Gorycz to twoje prawdziwe imię? – Upewnił się witeź.

– A jakże. Perun nadał mi je, bym niósł gorycz jego wrogom. Nie sądziłem, że to miano okaże się przekleństwem. Jasny bóg posłał nas, byśmy wdarli się do podziemnego świata i zaprowadzili tutaj ład w jego imieniu. Szliśmy z siłą

górskiej lawiny, tocząc wielkie głazy, by ciskać nimi w chmary zmór oraz biesów, których kości widzisz dookoła. Zdawało się, że nic nie zdoła nas powstrzymać, lecz sprawiły to mroczne czary. Moc Welesa okazała się nie do przemożenia. Zabłądziliśmy na tych jałowych niwach, bo wszystkie drogi plątały się niczym zdradliwe węże. Długo zdawało się nam, że idziemy ciągle do przodu, lecz w końcu zrozumieliśmy, iż kręcimy się w kółko, bo wciąż wracaliśmy na owo pobojuwisko. Wówczas napatoczył się nie wiedzieć skąd paskudny karzeł, który zaofiarował się zostać naszym przewodnikiem...

– Jaryło – stwierdził raczej niż zapytał Jarowit.

– Owszem, tak się przedstawił. – przytaknął Gorycz. – My, olbrzymy, jesteśmy dosyć łatwowierne, toteż zaufałyśmy skrzatowi, że wyprowadzi nas z matni. Karzeł wskoczył na moje ramię i tak wędrowaliśmy jakiś czas nierozłączni. Twierdził, że wskaże nam właściwą drogę, był to jednak podstęp. W pewnej chwili, udając, że chce szepnąć mi do ucha coś ważnego, sługus pana podziemi wypowiedział zaklęcie, którym przemienił mnie w żmija. Nie pamiętam owej chwili, wiem tylko, że gdy rozwarłem gadzie oczy, powaliłem ich zabójczą mocą wszystkich mych braci. Jaryło oddalił się prędko, złośliwie rechocząc. Na odchodnym rzekł: „Będziesz tutaj pilnował splątanych dróg, zabijając każdego, kogo ujrzysz, aż znajdzie się śmiałek, który zniweczy twoją niosącą śmierć moc. Długo na to poczekaasz”.

– Smutna historia – ocenił ze współczuciem młodzieniec, opuszczając oręż – jak wszystkie w tej ponurej krainie. Jaryło ostrzegał mnie jednak, że żmije bywają wielce przebiegłe, dlaczego zatem miałbym ci wierzyć? – zapytał, znowu przykładając ostrze Sieczeńca do gadziego karku.

– Nie chcę twej zguby. Dość już śmierci sprawiłem samym swoim istnieniem. Skoro mi nie ufasz, zastanów się, czemu Jaryło zachęcał cię do podróży, bajając o zaczarowanej bogince?

– Nie ma żadnej bogini? – podchwycił z rozczarowaniem Jarowit.

– Owszem jest, za tamtymi bagnami – oznajmił Gorycz. – Wiesz jednak, czemu spoczywa uśpiona? Sprawił to kolejny czar mściwego karła. Widząc ją ongiś, jak przechadza się na granicy światów, zapłonął pożądaniem. Założył czapkę niewidkę, którą dostał od Welesa, i zdybał dziewczynę pod złotą jabłonią. Wyjawiał brance swoje uczucia, ona jednak okrutnie go wyśmiała, szydząc z uczuć karła, wytykając mu nikczemny wzrost i szpetotę. Zwinnie odebrała mu czapkę niewidkę i droczyła się z biedakiem, co rusz znikając mu z oczu. Słyszał jeno rozchodzący się wokół drwiący śmiech. Rozwścieczony i dotknięty do żywego, zatruił boginkę swym nieczystym oddechem, od którego padła uśpiona, a złota jabłoń uschła, tracąc owoce. Skrzat rzucił na dziewczynę zły czar podpatrzony ukradkiem w *Księżce Doli Welesa*, w której jego pan sobie tylko wiadomymi czarodziejskimi znakami spisuje całą wiedzę tajemną, a także losy bogów i ludzi – przeszłe i przyszłe dzieje trzech światów.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytał ciągle nieufny chłopak.

– Jaryło sam się tym przechwalał, odwiedzając mnie czasem, gdy dokądś wędrował – wyjaśnił spokojnie olbrzym. – Mały łotr złapał się w końcu we własne sidła. Niezbyt dobrze zna zaklęcia, nie wie bowiem, że z czarodziejskiego snu może zbudzić boginię tylko ktoś jej pokrewny, a zatem młody i dzielny witeź zesłany przez jasnych bogów. Zdaje się, że ty nim jesteś... Jakże mam cię zwać?

– Nazywam się Jarowit.

– Hm, ciekawe – mruknął zaczarowany stwór. – Imię niby podobne, ale nie wyglądasz na krewnego kowala.

– Bo też nie jestem jego krewniakiem, choć usiłowałem mi to wmówić, gdy byłem mały – odparł śmiałek, wybuchając szczerym śmiechem.

– Nawet głupi by w to nie uwierzył – zawtórował mu żmij. – Ty zaś nie jesteś głupcem. Karzeł wytyczył dla ciebie trudną, pokrętną drogę, rzucając kłody pod nogi, by osłabić twe siły. To on mocą swych czarów rzucił na wschodni trakt kamień olbrzymów, a także wykuł żelazny most, który tak pięknie uczyniłeś całkiem

nieprzejezdnym...

– Nie zdoła mnie teraz dogonić – stwierdził z zadowoleniem Jarowit – ani przeszkodzić w zdobyciu bogini.

– Nie zamierza ci w tym przeszkadzać – oznajmił Gorycz. – Leżę tu długo i nasłuchiwałem się jego przechwałek, zrozumiałem więc, co knuje w tym swoim pokrętnym umyśle. Chce, żebyś zbudził boginię, a wówczas przyleci, spadnie ci niespodzianie na kark, owinie wokół szyi swoją długą brodę i zadusi. Zagarnie wówczas zbudzoną pannę i będzie nękał ją tak długo, aż mu w końcu ulegnie.

– Jaryło potrafi latać? – zdumiał się witeź, szeroko otwierając błękitne oczy.

– Potrafi wiele rzeczy, o których nie masz pojęcia. Ja jednak znam go na wskroś i wiem, czego się po nim spodziewać. Cała moc karła kryje się w długasnej brodzie, dlatego powinieneś go jej pozbawić. Najlepiej razem z głową. Choć podpatrzył u swego pana wiele potężnych czarów, nie opanował sztuki widzenia na odległość, toteż dał ci rumaka, który jest jego oczami i uszami – dodał ciszej.

– Czarnolotek jest szpiegiem Jaryły? – Jarowit również zniżył głos do szeptu.

– Gorzej, jest przemienionym biesem. Niezbyt może rozgarniętym, ale za to niezmiernie chyżym w przekazywaniu wszystkiego, co widzi i słyszy. To sługa mierny, ale wierny swemu mrocznemu panu. Jeśli wyruszysz na nim w dalszą drogę, karzeł będzie śledził każdy twój ruch i spadnie na ciebie jak jastrząb na jagnię, gdy najmniej będziesz się tego spodziewał.

– Co mam zrobić, by się przed nim uchronić?

– Udzielę ci rady – oznajmił z westchnieniem Gorycz. – Moje zadanie będzie wtedy skończone, bo przyczynię się do zwycięstwa sił jasności. Ty zaś wybawisz mnie od tego potwornego życia, które srodze mi już dojadło. Zrobisz tak a tak...

Wysłuchawszy rad zaklętego żmija, Jarowit spełnił jego prośbę i odrąbał mu łeb, kładąc kres długiej męce. Chwilę postał w milczeniu, obserwując, jak ucięta głowa zamienia się w czerep olbrzyma, który niemal natychmiast pokrył się ziemią.

Wkrótce ogromna czaszka zaczęła przypominać wzgórze porośnięte skąpą roślinnością. Wtedy młodzieniec wskoczył na grzbiet czarnego rumaka i ruszył w stronę Bagna

Topielców.

Czarnolotek zręcznie przeskakiwał z jednej suchszej kępy na drugą, omijając błota i skupiska utopców. Mimo to z głębi trzęsawiska co rusz wyciągały się długie kościste ręce pokryte zgniłozieloną skórą, usiłujące pochwycić konia za nogi i wciągnąć go wraz z jeźdźcem w toń. Jarowit ciął upiorne łapska bez wytchnienia Sieczeńcem, a te cofały się, pozbawione palców lub całych nadgarstków.

Tak dotarli na sam środek bagna. Tutaj młodzieniec zarządził chwilowy popas, mówiąc wierzchowcowi, że musi chwilę odsapnąć. Gdy tylko zeskoczył z konia, jednym zdecydowanym zamachem ściął czarny łeb. Rumak nie zdążył nawet chrapnąć, gdy głowa oddzieliła się od tułowia i zatonęła w topieli. Zakotłowało się w niej, zabulgotało na znak, że utopce przyjęły ofiarę. Bezgłowy kadłub chwiał się chwilę na miękających nogach, potem przewalił się na bok. Wyciągnęły się po niego chciwe dłonie, lecz tym razem topielców ominęła ucztą, albowiem końskie truchło zamieniło się w kłęby czarnego dymu i rozwiało. Pozostała po nim jedynie smolista plama na bagiennej murawie. Jarowit zrozumiał wtedy, że olbrzym Gorycz go nie okłamał, w przeciwieństwie do karlego opiekuna.

Nie zwlekając, zadarł głowę i przykładając dłonie do ust, zawołał jak naj donośniej:

Siwku, siwku Złotogrzywku!

Ptakiem, nie koniem,

Wichrem, nie błoniem,

Wnet przyleć tu do mnie!

W powietrzu zatętniło, zadudniło, rozdzwoniły się dzwoneczki uprzęży i po chwili sfrunął prawdziwy rumak boga, witając radosnym rzeniem dawno utraconego pana. Gdy Jarowit przywitał go, tuląc łeb siwka do swego ramienia, w jednej chwili

przypomniał sobie wszystko: kim jest, skąd pochodzi i co utracił przez lata spędzonego z woli mrocznych potęg w Nawii. Przypomniał też sobie mowę końską, jaką porozumiewał się kiedyś z wierzchowcem.

– Nie znam drogi przez te okropne bagna – zarżał rumak, potrząsając niespokojnie głową. – Lepiej od razu wracajmy do Wyraju. Wszyscy bardzo się za tobą stęsknili.

– Wrócimy tam – odrzekł młody bóg – ale jeszcze nie teraz. Mam do załatwienia parę spraw. Nie lękaj się bagna, na razie wystarczy, jeśli przeskoczysz na tamtą kępę. Ktoś wkrótce wskaże nam drogę... Zdaje się, że już nadlatuje. Ruszaj, siwku!

Koń czym prędzej przeskoczył na najbliższą kępę. Zastrzygł trwożnie uszami, w powietrzu bowiem zahuczało, zawarczało i po chwili poczwarny karzeł wylądował mniej więcej w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stali siwek i jego pan. Tylko mniej więcej, ponieważ był tak rozżłoszczony, że źle wymierzył i wpadł w bagno, gdzie utknął po szyję w ciemnej mazi. Gęste błoto wnet oblepiło całe jego niewielkie ciało. Nie mógł się ruszyć, a dodatkowo został pochwycony kościstymi palcami utopców. Nie chciały wypuścić zdobyczy, lecz silny karzeł zdołał utrzymać głowę nad powierzchnią mokradła. Jego długa broda śmiesznie sterczała w górę.

– Ratuj mnie! – wrzasnął wściekle, odszukawszy kaprawymi oczkami postać wychowanka. – Wyczułem nagłą śmierć Czarnolotka i przybyłem na pomoc, sądząc, że stało ci się coś złego – łągał jak najęty. – Wyciągnij mnie jak najszybciej, bo utopce zaraz mnie zeżrą – zajęczał żałośnie, tracąc całą pewność siebie.

– Jakże mam ci pomóc, mistrzu? Nawet jeśli podam ci pochwę mego miecza, nie wydostaniesz rąk spod powierzchni, żeby ją chwycić. Nie mam też pod ręką żadnej odpowiednio długiej gałęzi, byś ją złapał zębami – wyjaśnił chłopak z dobrze udawaną troską.

– Chwyć mnie za brodę! – krzyknął skrzat. – Jesteś wystarczająco silny, by wyciągnąć mnie z błocka na swoją kępę. Nie lękaj się, nie poczuję bólu, a broda jest wytrzymała. Gdybym miał wolną choć jedną rękę, sam bym się wyciągnął

za brodę – dodał trochę od rzeczy.

Wystawił w stronę młodzieńca siwy wiecheć, który po chwili czarodziejskim sposobem zaczął się wydłużać. Jarowit pochylił się, przytrzymywany z tyłu za pas zębami przez wiernego rumaka, i zdołał chwycić czubek brody. Zaczął ciągnąć ze wszystkich sił, aż udało mu się do połowy wydobyć z topieli postępującego skrzata. Wówczas zmierzył oczami odległość i uznawszy, że jest odpowiednia, błyskawicznie przerzucił brodę z prawicy do lewicy, okręcając jej czubek wokół nadgarstka. Prawą chwycił za miecz i ściał głowę karła. Bagno znowu zabulgotało, zawrzało i nędzny bezgłowy kadłubek został wessany przez błoto, które głośnym mlaśnięciem dało znak, że przyjęło następną ofiarę.

Jarowit przyciągnął krwawy czerep dyndający na końcu siwego wiechcia. Wskoczył na grzbiet rumaka, trzymając karli łeb za resztki czupryny.

– Dalej, mój siwku – rozkazał. – Broda wskaże nam drogę.

Stało się, jak zapowiedział Gorycz. Broda nieomylnie wskazywała kierunek, aż w końcu Złotogrzywek ze swym panem bezpiecznie przebyli mokradła i znaleźli się na łące, gdzie pod uschlą jabłonką spoczywała uśpiona bogini. Tuż obok ciurkał wąziutkim pasemkiem na pół wyschnięty strumyk żywej wody.

Jarowit, nim uczynił, co miał uczynić, przyjrzał się uważnie wybrance, dla której poniósł tyle trudów i znojów. Wydała mu się starsza, niż się spodziewał. Spoczywała nieruchomo w śnieżnobiałej szacie, zimna niczym kamienny posąg. Jej głowę zdobił wieniec dawno uwiędłych, jakby ściętych mrozem kwiatów. Rysy pięknej twarzy były ostre, surowe. W pewien sposób przypominała mu dawno niewidzianą i niemal całkiem zapomnianą matkę.

Przemagając w sobie rozczarowanie i niespodziany lęk, młodzieniec zrobił, co należało. Ułamanym po drodze badylem smagnał lekko łydki dziewczyny, potem nabrał w dłoń kilka kropel żywej wody z potoku i zrosił nią czoło bogini. W końcu ucałował chłodne usta, mając wrażenie, jakby całował trupa.

Gdy to uczynił, śpiąca przebudziła się i uniosła napuchłe od długiego snu powieki. Kiedy ujrzała pochylonego nad nią Jarowita, lodowato zimne oczy rozpromieniły się i błysnęły radością. Wówczas kwiaty we włosach rozkwitły na nowo, a wszystko wokół zazieleniło się i pojaśniało. Jabłoń zadrżała, też jakby zbudzona ze snu, otrząsnęła się z wiążącego ją szronu, w mgnieniu oka okryła złotym listowiem i zaowocowała złocistymi jabłkami. Nie to jednak zajmowało w owej chwili drżącego z przejęcia młodziana. Z rozkoszą patrzył, jak twarz bogdanki wygładziła się i olśniewająco wyładniała, nabierając żywszych kolorów. Piękność uniosła się na łokciach, troskliwie podtrzymywana przez uradowanego wybawcę.

– Nareszcie jesteś, mój miły – zaszczębiotała wdzięcznie, wspierając skroń na jego ramieniu. – Spałam tu i czekałam długo, tak długo... A gdzie ten paskudny karzeł?

– Oto jego łeb, który własnoręcznie ściałem. – Jarowit wskazał na walającą się w trawie głowę. – Nie będzie cię więcej nękał.

– Dobrze uczyniłeś, witeziu – szepnęła z wdzięcznością głosem słodkim jak gęsty miód. – Świat będzie lepszy bez niego, a Nawia raczej po nim nie zapłacze. Weles cenił jego kowalstwo, ale chyba niespecjalnie go lubił. Ma wiele innych zdolnych skrzatów na swe usługi, znajdzie nowego mistrza kuźni.

– Skąd o tym wiesz, pani? – Zdziwił się junak.

– Gdy spałam, śniłam o różnych rzeczach – odpowiedziała wymijająco. – Pan tej krainy wie równie dobrze jak

ja, że to, co stare, słabe i chore, musi ustąpić miejsca młodemu, silnemu i zdrowemu. Taka jest kolej rzeczy. Czy teraz, jak każdy żądny wrażeń chłopak, ruszysz dalej w świat na spotkanie nowych przygód? – spytała nagle, zmieniając ton na bardziej zalotny, przechylając główkę i spoglądając powłóczyście spod rzęs.

– Widzę, że nie znasz mnie pani – odrzekł nieco urażony.

– Ależ znam, Jarowicie – zaprzeczyła z perlistym śmiechem. – Przecież czekałam na ciebie.

– Chcę zostać przy tobie na zawsze – oznajmił żarliwie młody bóg. – Poznać cię lepiej, a przede wszystkim móc bez końca wymawiać twe imię.

– Ludzie zwań mnie Marzanną, gdy w swoich zimowych snach widzą moją zwiędłą i postarzałą postać, lecz w twych wiośnianych ramionach zawsze będę młodą Dziewanną.

Zdjęła wieniec i włożyła na głowę wybranka. Wnet poczuł znajome mrowienie na skórze i ogień w żyłach.

– Gdy cię ujrzałem taką, jaką naprawdę jesteś – wyjawiał drżącym głosem, ogarniając ją ramionami – poczułem, że liczysz się tylko ty i cały świat mógłby umrzeć poza nami. To, co wcześniej było dla mnie ważne, straciło znaczenie.

– Bo w życiu są tylko dwie rzeczy naprawdę ważne: miłość i śmierć – odparła z niespodziewaną powagą.

Potem znów uśmiechnęła się promiennie i odwzajemniła jego uścisk. Całując wybranka, do końca stała się spragnioną czułości i ciepła Dziewanną. Jarowit zaś zaznał w jej objęciach najwyższego szczęścia.

Myślicie, że to koniec opowieści? Że para młodych wróciła do Wyraju, a uradowany Swaróg wyprawił im weselisko i wszyscy żyli długo i szczęśliwie? Naprawdę chcecie takiego zakończenia?

Nic z tego, kochani. Prędko dobra baśń się baje, nie tak prędko rzecz się staje.

Byłoby tak może, gdybym opowiadał o dzielnych wojach i zaklętych królewnach albo o zwykłym parobku i jego lubej zza płota... Ale nie, bo prawię o bogach i bohaterach, a ich losy splatają się całkiem inaczej niż dole śmiertelników. Inaczej też trzeba o nich bajać.

Motyw wychowania prostodusznego junaka przez zdradliwego karta kowala wydaje się zapożyczony z historii Sigurda

/Zygryda, bohatera utworów germańskich takich jak skandynawska Saga o Wölsungach czy niemiecka Pieśń o Nibelungach. Odnajdujemy jednakże zaskakującą analogię

do dziejów Sigurda w zapisanej przez Antoniego Glińskiego polskiej baśni, w której młody heros jest początkowo zwodzony przez karta o magicznej brodzie, a w finale opowieści budzi piękną uśpioną królową. W mojej wersji królowa stała się boginią o podwójnej postaci Dziewanny/Marzanny, co jest zgodne ze wspomnianą przeze mnie już parokrotnie kwestią dwoistości, a być może nawet troistości słowiańskiego bóstwa kobiecego. Podobne motywy występują także w ruskiej bylinie o walce junaka Dobryni ze żmijem Goryniczem, z której zaczerpnąłem Żmijowe Pole i porozumienie bohatera z pokonanym smokiem, przy czym staroruski Gorynicz otrzymał ode mnie symboliczne imię Gorycz.

Postać kowala Jaryły potrzebna mi była z kolei do wyjaśnienia zagadkowej dwoistości boga płodności/wegetacji we wschodniosłowiańskim folklorze („stary” i „młody” Jaryło/Jarowit) oraz do wprowadzenia tajemniczej uciętej głowy, którą ów bóg dźwigał w prawej dłoni, co zostało utrwalone w białoruskiej tradycji folklorystycznej opisanej przez Aleksandra Gieysztora. Notabene niektórzy badacze kwestionują sakralną rangę kowalstwa u Słowian, potwierdza ją jednak uczynienie kowalem najstarszego i być może najważniejszego boga słowiańskiego panteonu – Swaroga.

Jak już pisałem we wprowadzeniu do książki, pradawni wędrowni bajarze, konstruując swe opowieści, nie zważali na bariery etniczne: włączali pasujące im elementy z obcych mitów czy baśni, by w ten sposób komponować nową jakość.

Ów przepływ motywów powodował, że elementów narracyjnych występujących w przekazach wielu ludów indoeuropejskich nie można jednoznacznie przypisać jednej jedynej nacji, jak chcieliby niektórzy nowożytni uczeni. Stały się dobrem powszechnym licznych etnosów, dobrem czerpiącym ze wspólnego prazródła mitycznego. Ja także wykorzystałem motywy z baśni różnych ludów, by wzbogacić słowiańską opowieść o uwolnieniu Jarowita ze świata podziemnego, która w pierwotnej wersji zrekonstruowanej przez Wiaczesława Iwanowa i Władimira Toporowa jest niestety niejasna i nikła fabularnie.



O ŚMIERCI JAROWITA ORAZ O PRZEMIANIE DZIEWANNY W MARZANNĘ

Dobrze się domyślcie: Swaróg wielce ucieszył się, że umiłowany najmłodszy syn wrócił do domu z piękną narzeczoną! Uradowali się też bracia zaginionego, a wraz z nimi cały Wyraj. Ojciec bogów wyprawił Jarowitowi i Dzewannie huczne wesele, na które przybyła też pramatka Mokosza, udzielając błogosławieństwa młodej parze. Wiele rogów miodu i piwa wzniesiono za pomyślność małżonków. Wszystko to miało miejsce, wierzcie mi na słowo. Zdarzyło się również i to, że na ziemski świat spłynęła z niebios świetlista fala szczęścia, wypełniając ludzkie serca radością i nadzieją, a całą przyrodę nieposkromionym wigorem płodzenia i wzrastania. Wszystko na ziemi pleniło się bujnie jak nigdy, rozrastało się, rozkwitało. Ziarna rzucone w glebę wydawały stukrotny plon. Oba światy, boski i ludzki, kosztowały słodkich owoców swej pracy. Ludzie uznali, że na ziemi nastał złoty wiek.

Tylko w Nawii panowało głuche milczenie i wyczekiwanie. Wiedziano tam, że żadna szczęśliwość, nawet boska, nie może trwać wiecznie. Każda radość w końcu umiera. A jeśli trwa nazbyt długo, łatwo się do niej przyzwyczaić, uznać za oczywistą i przestać cenić. Szczęście docenia prawdziwie tylko ten, kto je stracił. Każda zaś miłość, choćby największa i najpiękniejsza, musi być zaprawiona goryczą mącą radość życia niczym kropla trucizny na dnie pucharu. Zwłaszcza miłość, do której dochodzi się poprzez śmierć, a więc od początku naznaczona mrokiem. Mrok zaś jednych wskrzesza, a innych zabija.

Dzewanna nie była wolna od takich trosk, dlatego postanowiła pomówić z mądrym Swarozycem. Długo szukała najstarszego z synów Swaroga, aż wreszcie

znalazła go na skraju niebiańskiego i ludzkiego świata, gdzie szkolił nową drużynę chmurników. Istoty te stworzono z wybranych dusz, a ich zadaniem była walka z powietrznymi zmijami zaburzającymi pogodę niebo z woli swego praojca Trygława. Ludzie bali się nieco owych sług Dadźboga, zwanych także p̄lanetnikami albo obłocznikami, bo również oni, gdy byli zagniewani, mogli rozpruwać cielska czarnych chmur, czym sprowadzały burze z piorunami, uporczywe deszcze lub grad. Śmiertelnicy cenili sobie jednak ich pomoc i starali się okazywać im cześć i szacunek, ugaszczając świeżym mlekiem i jajami. Łatwo ich było rozpoznać po długich głowach, szpiczastych uszach, śniadych, dumnych obliczach, wiecznie mokrych włosach i brodach, a także niezwykle wydłużonych kończynach oraz mglistych szatach. Wyręczali świetlistego pana w pomniejszych potyczkach z ciemnością, rozpraszając nawałnice, pętając zmijowe chmurzyska i torując Swaróżycowi drogę na niebieskim szlaku.

Widząc, jak wybranka Jarowita nadchodzi smętna i zadumana, pierworodny syn Swaroga dał znak swoim sługom, by się oddalili. Czym prędzej odfrunęli na białych obłokach, a wtedy niebo nad ziemią zabieliło się jak górskie błonie pełne owiec.

– Co cię tak smuci, siostrze? – spytał Dadźbog, który odziedziczył po ojcu szczerłość i prostolinijność.

Nazywał Dziewę siostrą, gdyż została żoną jego brata. Zerkając na nią spod oka, nie mógł nie zauważyć, że ostatnio nieco straciła ze swej olśniewającej wiośnianej urody. Kobiece kształty wypełniły się i zaokrągliły, a wokół ust i na czole pojawiły się głębokie bruzdy świadczące o wytężonej pracy i trosce. Znikła gdzieś słodka dziewczeczka, a na jej miejscu zjawiła się dojrzała i doświadczona przez życie niewiasta – miłująca i darząca ciepłem każdą żywą istotę, lecz mogąca też w każdej chwili odmienić uczucia. Niebezpieczny błysk pojawiający się czasem w chabrowych oczach i dwuznaczny drapieżny uśmieszek błakający się w kącikach zmysłowych warg świadczyły, że mimo życiowych rozczarowań pozostało w bogini coś z dawnej

niepokornej dziewczyny.

– Nie co, ale kto – odparła zdławionym głosem, wbijając wzrok w falujące łany sen-trawy.

Wiedziała, że cierpliwemu i rozważnemu Swaróżycowi może w pełni zaufać, toteż chodziła do niego ze wszystkimi swymi kobiecymi żalami. Matka Mokosza dawno wróciła do swej samotni, a w złotym dworze nie było innych bogiń, Dziewanna nie miała zatem innego wyboru, jak zwrócić się do najstarszego z braci, który coraz częściej zastępował ojca w rządzeniu boską siedzibą i całym Wyrajem.

– Nasz brat znowu cię uraził? – zapytał, przesywając kobietę promienistym spojrzeniem.

– Był wspaniałym kochankiem – wyznała głucho – lecz niedobrym okazał się mężem. Pozostał psotnym, rozbrykanym chłopcem, który nie dorósł do małżeństwa.

– Niektórzy nigdy nie dorastają – zauważył Dadźbog – i nigdy nie powinni się żenić. Ja zrezygnowałem z małżeństwa, porzucony przez narzeczoną, którą odebrał mi bękart. Zresztą i on długo się nią nie nacieszył. Odpuściłem, rozumiejąc, że taka już moja dola – wyrzucił to z siebie, ciężko wzdychając. – Być na zewnątrz promiennym i ciepłym, zsyłać ludziom zadowolenie i pogodne uczucia, lecz w środku wypalonym i bardzo samotnym... – Chwilę milczał, po czym zapytał współczująco: – Jarowit wciąż swawoli?

– Łagodnie powiedziane! Łajdaczy się bez opamiętania, zdradzając mnie z ludzkimi niewiastami. Niejedną hożą dziewczęję rozdziewiczył i uczynił brzemienną. Panny lgną doń niby muchy do miodu i śpiewają piosnki na jego cześć. Wzorem swego kowalskiego mistrza włóczy się wciąż po świecie i płodzi dzieci.

– Przynajmniej ci półbogowie będą ładniejsi niż potomkowie Jaryły – wtrącił na poły żartem Swaróżyc, lecz zaraz spoważniał, napotkawszy jej oczy, w których widniały tylko dymiące zgliszcza i popioły wypalonej namiętności.

– Mści się na mnie za to, że nasz związek okazał się jałowy i nie dałam mu

upragnionego dziedzica. Tak bardzo chciałby dorównać ojcu, płodząc ze mną licznych synów... Niestety, mogłam ofiarować mu wszystko oprócz tego jednego.

– Powinien wreszcie zrozumieć – odparł najstarszy syn Swaroga – że dzięki waszej miłości Matka Ziemia rozkwita i wydaje wspaniałe plony. Bogowie, jak wszyscy władcy, muszą umieć poświęcić samolubne uczucia w imię obowiązku, dla pożytku oddanej im pod opiekę ludzkości. Nie bez powodu wdzięczni wyznawcy nazywają cię Ładą i Żywią. Cały świat upoił się waszym szczęściem...

– Teraz może się napić zgryzotą. – Przerwała mu ostro, a jej głos stwardniał. – Nasza miłość pryska jak złudny cień... pozostawiając tylko ulotne wspomnienia miłych chwil, ale i one wkrótce zanikną w pomroce dziejów.

– Przykro mi tego słuchać – stwierdził stropiony bóg. – Mój ojciec Swaróg mawia, że niewiasty winny być bardziej wyrozumiałe dla męskich przywar.

– Nie dziwię się zatem, że tak skończyło się jego wspaniałe małżeństwo – mruknęła zgryźliwie.

– Mężczyzna jest stworzony do tego, by zdobywać świat i zniewalać słabsze odeń istoty. Szybko przestaje jednak cenić to, co już posiada, bowiem ma nienasyconą naturę, dlatego musi potwierdzać swoją wartość poprzez kolejne zdobycze... – Dadźbog dowodził mętnie, coraz bardziej się płacząc i rozumiejąc w głębi duszy, że choć każdy mąż pojąłby go teraz w pół słowa, harda bogini nie przyjmie do wiadomości jego niezdarnych męskich tłumaczeń.

– Nie jestem zwykłą niewiastą – odpowiedziała z dziką pasją, potwierdzając jego najgorsze obawy. – Jestem boginią, panią wielkiego rodu. Nie wolno mnie bezkarnie znieważać ani tym bardziej lekceważyć. Wasz brat mnie pokrzywdził, lecz nie mam ojca ani krewnych, którzy by się za mną ujęli. Wedle praw ustanowionych przez twego rodzica obowiązek zmazania rodowej hańby spada zatem na was. Powinieneś to wiedzieć najlepiej jako opiekun domowego ogniska.

– Czego właściwie żądasz, siostrze? – zapytał po dłuższej chwili ponurego

milczenia, wbijając w Dziewannę dwie świetliste włócznie swych jasnych źrenic.

– To chyba oczywiste – odrzekła twardo, wytrzymując bez mrugnięcia jego palące spojrzenie. – Taką hańbę można zmyć jedynie krwią.

– Wiele żądasz – stwierdził przybity Swarozyc. – Zbyt wiele.

W jednej chwili pobladł, potem spurpurowiał, a jego blask mocno się przyćmił, jakby przesłoniła go czarna burzowa chmura.

– Musicie to uczynić – syknęła dobitnie, zaciskając usta. – Inaczej opuszczę złoty dwór i odejdę do Nawii, ale wcześniej rozgłoszę waszą niesławę we wszystkich trzech światach. Ludzie przestaną czcić jasnych bogów i zwrócą się ku mocom ciemności.

– Niełatwo będzie poskromić naszego brata. Jest urodzonym wojownikiem, jego ciosy są celne, a oręż niezawodny. Wiesz dobrze, ile zdziałał wykutym w podziemiu Sieczeńcem... Nasz ojciec ostatnio nieco zdziwaczał, a nawet stetryczał, stając się obojętny na wszystko poza ukochaną kuźnią. Ja zaś jestem bardziej rzemieślnikiem niż wojem, a Strzybóg, wbrew pozorom powagi, to istny wietrznik, porywczy i lekkomyślny. Natomiast przyrodni bracia... Weles jest dobrym pasterzem dusz i czarownikiem, lecz na pewno nie witeziem. – Oceniał trzeźwo. – Jego żywiołem są podstępny, nie walka wręcz. Chors to nocny łowca chodzący własnymi drogami. O Żmiju Trójgłowym szkoda gadać... Jest silny i może być groźny, lecz nigdy nie wiadomo, co kryje jego potrójny gadzi umysł. Nie wiem, czy można na nim polegać, a tylko wspólnymi siłami zdołalibyśmy pokonać naszego niesfornego brata.

– Razem na pewno coś uradzicie. – Ucięła i oddaliła się, uznając rozmowę za zakończoną.

Jeszcze tej nocy bracia zebrali się na naradę w złotym dworze, wykorzystując przedłużającą się nieobecność hulającego po ziemskim świecie młodziutkiego krewniaka. Spotkaniu przewodniczył sam praojciec, który na tę chwilę przybrał postać srogiego Peruna, choć uczynił to z ciężkim sercem. O świecie przekazali Dziewie, co uradzili. Wysłuchała ich w milczeniu i wyraziła zgodę oschłym

skinieniem głowy. Jej serce nie było jeszcze martwe, choć na pewno głęboko zranione. Ucierpiała także duma bogini.

I stało się tak, jak postanowił Swaróg oraz jego synowie i pasierbowie.

Dziewa zwabiła Jarowita na spotkanie pod złotą jabłonią, udając, że chce zawrzeć z nim zgodę. Mgliste miała go nadzieją na szczęśliwe rozwiązanie małżeńskich kłopotów. Podała mu złote jabłko, twierdząc, że zjedzenie go dopomoże mu w uczynieniu jej matką. Młody bóg spożył czarodziejski owoc chętnie i ze smakiem. Nie podejrzewał nawet, naiwny i łatwowierny, że jabłko zostało zatrute jadem żmii – tej samej, która niegdyś go uśpiła. Kiedy osłabł, a powieki zaczęły mu ciążyć, zmiarkował zdradę i sięgnął po miecz, było jednak za późno.

Na polanie zjawili się ojciec i starsi bracia. Zagniewany Perun poraził Jarowita błyskawicą, Swarozyc przeszył go świetlistą włócznią, a Strzybóg obalił młodzieńca mocnym podmuchem wiatru. Żar-Ptaki rozdziobały wówczas ciało nieszczęśnika, a wilkołaki Chorsa rozwłóczyły jego kości po całej łące, by się nie odrodził ani nie przemienił w upiora.

Dokonawszy wróżdy praojciec oddalił się bez słowa z posępnym, zaciętym obliczem. Jego synowie splunęli bratowej pod nogi i też odeszli, przeklinając pod nosem jej okrucieństwo. Ogniste ptaki odleciały z przeraźliwym wrzaskiem, a czarodziejskie wilki umknęły, wyjąc jakby przerażone udziałem w zamordowaniu pięknego młodego boga.

Gdy Dziewanna została sama, tylko z szumiącą smutno jabłonią i bełkoczącym niezrozumiale potokiem, ocknęła się z osłupienia. Przesuwając błędnym spojrzeniem po walających się wokół szczątkach małżonka, pojęła wreszcie, czego zażądała od jego krewnych, jakiej zbrodni się dopuściła i jak straszne zło wyrządziła całej naturze, lecz przede wszystkim sobie.

Świat bez Jarowita nie był już taki sam.

Lato na ziemi umarło. Niebiosa ukryły się za warstwą gęstych chmur podobną

burej zgrzebnej szacie. Tarcza Swaroczyca pobladła i zmętniała, połyskując tylko niemrawo zza tej brudnej zasłony. Korony drzew zżółkły, a później poczerniały. Świst i Poświst rozrzuciły wszędzie zwiędłe liście. Nie śpiewał już w konarach żaden ptak, niemal wszystkie bowiem odleciały do ciepłych krain Wyraju. Pozostały tylko kruki i wrony, kraczące w rozradowaniu, że ciemność znów bierze ziemię w posiadanie. Łąki straciły bujność, a kwiaty zwiędły. Pola leżały nagie i w czarnej żałobie, gotowe, by je okryć śnieżnobiałym śmiertelnym całunem.

Z oczu zbolącej wdowy spłynęły wtedy dwie ciężkie łzy, które zastygły na zmartwiałych policzkach niczym lodowe sople.

Dziewa także umarła, bo wróciła na świat Marzanna.

Chwiejnie kuśtykając i potykając się co krok, obesza całą łąkę i zebrała szczątki małżonka na swój śnieżnobiały płaszcz. Zniosła je pod złotą jabłoń, po czym złożyła u korzeni drzewka. Wiele razy skrapiała kości żywą wodą i całowała zsiniałe wargi głowy oderwanej od tułowia, trzymając ją za pozlepiane zakrzepłą krwią jasne włosy. Mamrotała przy tym wszystkie znane sobie ożywcze zaklęcia, jednak na próżno. Nie było w jej mocy obdarzenie życiem tego, co sama zniszczyła. Teraz mogła już tylko odbierać życie, które wcześniej dawała.

Zrozumiała, jak wiele utraciła, niszcząc to swą pychę, zazdrością i żądzą zemsty. Gdyby odżył ukochany Jarowit, mógłby stać się dla niej wszystkim: gorącym kochankiem wiosennych i letnich nocy, wyśnionym mężem, ale także zaginionym i odzyskanym bratem czy cudem odnalezionym synem. I ona mogłaby stać się dla niego wszystkim: narzeczoną, żoną, siostrą i matką... Potrząsnęła posiwiałą głową, czując, że traci zmysły, a oszalałe z bólu serce wiedzie ją na manowce obłędu.

Po długim czasie otrząsnęła się z zadumy, ponownie zgarnęła szczątki męża na płaszcz, który związała w tobolek i zarzuciła na plecy. Przytłoczona tym upiornym ciężarem, przygarbiona i kulejąca ruszyła w świat.

Przemierzała go długo, siejąc po drodze jedynie śmierć. Zwierzęta uciekały przed

nią, skomląc, piszcząc i porykując ze strachu. Niektóre zdążyły zagrzebać się w jamach wydrążonych w ziemi, by zapaść w sen zimowy, większość jednak padła martwa, stając się karmą kruków i wron. Ludzie trzęśli się z zimna w swoich chatynkach i dworach, tłocząc się przy paleniskach w nadziei na powrót lepszych czasów. Ci, którzy zauważyli wędrującą po ziemi mroźną marę i szczęśliwym trafem przeżyli to spotkanie, mówili potem, że przybrała postać kościstej, znużonej życiem staruchy zrzędzącej pod nosem. Jej zwiędła, ścięta bólem twarz zdawała się wykuta z lodu pociętego rysami.

Długo wędrowała, aż dotarła na kraniec żywego świata. Ledwie stanęła u brzegu krwawego Dunaju, rzeka graniczna buchnęła czerwonym ogniem, jakby na przywitanie bogini.

Marzanna stała przez chwilę nieruchomo, zamyślona, wpatrzona w płonący nurt. Potem zdjęła toból z grzbietu i cisnęła w ogień. Następnie sama rzuciła się w płomienie, które ogarnęły ją i odarły ze wszystkich przeżytych cierpień.

Oczyszczona przez wodę i ogień, przekroczyła granicę śmierci i ruszyła dalej, w głąb Nawii. Kraina umarłych powitała ją pustką, bo wszystkie podziemne mary umykały przed Marzanną, kryjąc się w przepastnych rozpadlinach, jakby się bały, że skazi je swoim bezbrzeżnym smutkiem. Wiedźcie też wszakże, że Nawia przywitała boginię zesłaną przez Welesa dającą ukojenie ciszą.

Marzanna długo błędziła splątanymi ścieżkami, lecz w końcu odnalazła miejsce, gdzie spoczywała ongiś w uśpieniu. Święte drzewko i strumyk, teraz znów obumarłe, już na nią czekały.

Ułożyła się pod jabłonią i zapadła w zimowy sen, czekając, aż młody, jurny Jarowit znów się odrodzi i przyjdzie zbudzić ją pocałunkiem.

Oto i cała opowieść. Prawda, że dziwna?

Słyszę, jak szepczecie niespokojnie, zastanawiając się półgłosem, kim byli dla

siebie przedwieczni małżonkowie? Skoro Dziewanna i Marzanna są dwoma – wiosennym i zimowym – wcieleniami wielkiej Mokoszy, matki Jarowita, to kim była dla niego Dziewanna? Siostrą macierzy, a może i samą matką?

Darujcie sobie lepiej te próżne dociekania.

Pamiętajcie, że Mokosza, Matka Żyznej Ziemi, nie tylko jest najpiękniejszą, ale także najstarszą boginią. Dla swego wybrańca może stać się, kim zechce: opiekuńczą matką, najdroższą siostrą, oddaną żoną lub ukochaną córką. Lepiej nie łamać sobie głowy tym, czego nie możemy pojąć ograniczonym ludzkim rozumem, gdyż zgłębiając boskie tajemnice łatwo można tenże rozum postradać. Dlaczego? Bo nieśmiertelni karzą zbyt dociekliwych śmiertelników szaleństwem.

Z tej niezwyklej historii powinniście wysnuć inną mądrość...

Prawdę rzekła bogini, że to, co stare, słabe i chore musi ustąpić miejsca młodemu, silnemu i zdrowemu. Istnieje jednak także druga prawda, która jest tak naprawdę innym obliczem tej pierwszej. Powiada, że wszystko, co umarło, musi się kiedyś odrodzić. Bujnie rozkwitła łąka zamienia się z czasem w przegniłe bagno, młode dziś drzewa kiedyś spróchnieją, lecz zbutwiałe liście i rozkładające się szczątki martwych zwierząt stają się żyzną glebą, z której wyrastają nowe rośliny zdolne wykarmić następne pokolenia. Dlatego z ufnością patrzymy w przyszłość, gdy rzucamy do wody płonącą Marzannę. Wiemy, że wnet odrodzi się jako Dziewanna rozbudzona miłością Jarowita. Taka jest nasza wiara i dzięki niej przetrwamy nawet najdłuższą zimę. Kołowrót przemian obraca się nieustannie, a żywoty są jego przedzą.

Mit o śmierci Jarowita został zrekonstruowany przez Wiaczestawa Iwanowa i Władimira Toporowa na podstawie badań porównawczych. Prawdopodobnie był szeroko znany na terenach wschodniej i południowej Słowiańszczyzny. Dołączyłem do niego motyw okrutnej zemsty znieważonej kobiety, bo jakkolwiek wątek taki bliższy jest sagom skandynawskim niż słowiańskim baśniom, dobrze ilustruje przemianę delikatnej

wiosennej Dziewanny w bezwzględna, mściwą, a po śmierci młodego męża także na pół obłąkaną Marzannę. Jej skok do buchającej ogniami rzeki granicznej zaświata jest oczywiście nawiązaniem do znanego powszechnie obrzędu „topienia” Marzanny pod koniec zimy, mało kto jednak zdaje sobie dziś sprawę, że rytuał ten nie oznaczał śmierci bogini, lecz otwarcie ponownego etapu jej egzystencji: odrodzenie się wiosną pod postacią Dziewanny. Było to ściśle związane ze słowiańską wizją świata, w której każda śmierć stanowiła początek nowego życia.

Jeśli zaś chodzi o podteksty kazirodcze, ewidentnie przewijające się w owej historii, warto zwrócić uwagę na ustalenia mitoznawców. Aleksander Gieysztor dostrzegł ich przejawy w obrzędach Kupały: „Nasycenie tej nocy dziwnością prowadziło do orgiastycznego zachowania młodych uczestników, aż do kazirodztwa, jeśli wierzyć niektórym pieśniom kupałowym z Białorusi o miłości brata i siostry zamienionych w ziola lub kwiaty”. Z kolei Artur Szrejter, analizując pokrewne motywy mitów starogermańskich, stwierdza zachowane w nich ślady pierwotnych rytuałów: „Owe boskie gody odbywały się między panią ziemi w aspekcie wiosennym a młodym królem (zwykle jej bratem lub synem) jako przedstawicielem boga nieba. W takim ujęciu związek rodzeństwa przestaje być «zwykłym» kazirodztwem. Staje się aktem misteryjnym o korzeniach płodnościowych i szamańskich, stanowiącym odzwzorowanie obrzędów, które [...] odprawiali mityczni władcy skandynawscy, kiedy łączyli się z kobietami symbolizującymi boginie urodzaju. Dzięki temu ziemia stawała się żyzna, a krowy rodziły zdrowe cielaki”.



KSIĘGA 3



PÓŁBOGOWIE,
OLBRZYMY I LUDZIE



O DZIWNYCH DROGACH DOLI

Miłosne przygody Jarowita z ziemskimi kobietami rozeszły się szerokim echem po wszystkich trzech światach, nic więc dziwnego, że także inni młodzi bogowie zapragnęli doznać podobnych uciech.

U podnóża Gór Śnieżnych, które wielu nazywa bardzo starym i obcym Ludowi Słowa mianem Tatr, mieszkał pewien zamożny wieśniak. Zwał się Nij, lecz wszyscy w okolicy wołali na niego zdrobniale Nijko, bo choć bogaty, był ludziom życzliwy i nieraz wspomagał innych w potrzebie. Codziennie należycie oddawał cześć Swaróżycowi, słoneczny bóg darzył więc jego pola obfitym plonem, dzięki czemu komory i spichrze Nija zawsze były pełne. Zapobiegliwy człowiek składał też hojne dary Welesowi, toteż rogaty bóg dbał, by mnożyły się stada wieśniaka, przysparzając mu bogactw.

Jedyną troską starego wdowca był brak synów, którzy mogliby po nim odziedziczyć kwitnące gospodarstwo. Dawno zmarła żona urodziła mu tylko jedną córkę, której dano na imię Dola. Była oczkiem w głowie rodzica, który wciąż się zamartwiał, że nie znajdzie dla niej męża, który by traktował dziewczynę równie dobrze jak on sam, a na dodatek okazałby się dobrym opiekunem ziemi i stad. Panna była skrzętna i rezolutna, świetnie radziła sobie z obejściem, znano ją też jako znakomitą prządkę, lecz Nij obawiał się, że po jego śmierci gospodarstwo zmarnieje, pozbawione męskiej ręki. Poza tym, jak wielu ojców, nie uważał żadnego z sąsiedzkich chłopaków, szczerzących się zza płota do jego córki, za godnego swej ukochanej latorośli, nie mówiąc już o pracujących dla niego licznych parobkach i pasterzach. Modlił się więc do Welesa, by zesłał Doli lepszego narzeczonego, może syna jakiegoś obrotnego kupca albo nawet kogoś z krwi samego księcia. Modlił się,

aż wymodlił.

Uważajcie jednak, o co prosicie bogów, bo kiedy spełnią wasze pragnienia, mogą się one okazać całkiem inne od tego, czego oczekiwaliście. Strzeżcie się więc, byście nie wypowiedzieli swych życzeń w złą godzinę.

Dni były coraz krótsze i zimniejsze, drzewa traciły liście i wiatry hulały po pustych polach, którymi wkrótce miała się zacząć przechadzać Marzanna. Dawno skończyły się żniwa i zwózka plonów do stodół, a że w obejściu też nie było nic szczególnego do roboty, Nij przywdział gruby barani kożuszek, wziął ciężką myśliwską włócznię oraz łuk ze strzałami i ruszył w las. Uwielbiał samotne polowania na grubego zwierza, a przy okazji chciał uzupełnić domową spiżarnię o zapasy dziczyzny na zimę. Szczycił się, że samodzielnie jest w stanie powalić jelenia, a nawet dzika, toteż nie zezwalał, by w łowach towarzyszył mu ktokolwiek z czeladzi.

Tego dnia wrócił z boru wcześniej niż zwykle, zziębnięty i zlany potem, w samej tylko lepiącej się do ciała koszuli. Wyglądało na to, że postradał kożuszek i broń. Jak stał, tak siadł za stołem i w ponurym milczeniu począł jeść barszcz z misy, którą usłużnie podsunęła mu córka.

– Cóż ci to, ojcze? – Odważyła się w końcu zapytać. – Gdzieżeś zgubił broń i ciepłe okrycie?

– Nic tobie, dziewczko, do męskich spraw – warknął gniewnie w odpowiedzi, lecz zaraz się pomiarkował i zaczął mówić łagodniejszym tonem: – Zły jestem, bo dałem się otumanić jak prosty kmiotek. Gdy wędrowałem borem na skraju świętej dąbrowy, usłyszałem ryk niedźwiedzia i głośnie wołanie o pomoc. Pobiegnęłam w tamtą stronę i znalazłem się na polanie przed największym, najstarszym dębem, w którego korzeniach składamy dary bogom oraz duchom przodków. I cóż widzę? Na wysokiej gałęzi siedzi siwobrody staruszek. Po szacie sądząc – guślarz. Siedzi i wydziera się wniebogłosy, majtając w powietrzu chudziutkimi nóżkami. Miał powody do strachu, bowiem po pniu wdrapywał się ku niemu wielki, czarny niedźwiedź. Niewiele

myśląc, splunąłem w dłonie i cisnąłem włócznią z całych sił. Ale sama wiesz, że ciężka i gruba włócznia na grubego zwierza jest mało zdatna do celnego rzutu na więcej niż kilka kroków, zamiast więc trafić misia w kark, jak zamierzałem, przygwoździłem tylko jego pazurzastą łapę do konara. Niedźwiedź ryknął wściekle z bólu, złapał drzewce zębami i wyrwał broń niczym drzazgę. Zeskoczył na ziemię i rycząc tak, że aż chwiały się drzewa, ruszył w moją stronę na zadnich łapach. Widząc jednak, że nie zamierzam uciekać, lecz napinam łuk i mierzę między jego ślepie, zatrzymał się, jakby zdziwiony moją śmiałością. Potem zawrócił i umknął w gąszcz. Gdy jego żałosne ryki ucichły w głębi kniei, odważyłem się podejść do dębu. Zadzierając głowę, rzekłem do staruszka: „Bywaj, dziadku! Nie lękaj się już, poszło w las niedźwiedzisko i prędko tutaj nie wróci, dopóki łapy swej nie wylize. Zejdź, a zaprowadzę cię do mego domu, gdzie się posilisz”. Tamten, wciąż trzęsąc się ze strachu, zaskrzypiał starczym głosem: „Dzięki ci, dobry człowieku, za pomoc. Nie dam rady sam zejść, bo stare nogi i ręce tak mi na drzewie zdrętwiały, że spadnę na złamanie karku, jeśli mnie nie podtrzymasz”. Cóż było robić? Zdjąłem kozuszek i rozesałem na ziemi pod drzewem, by w razie czego złagodził upadek, sam zaś zacząłem wspinać się na drzewo. W pobliskich chaszczach nagle coś zaszumiało, jakaś gałąź trzasnęła, spojrzałem więc w tamtą stronę, bojąc się, czy nie wraca rozjuszony kudłacz. Niczego nie wypatrzyłem, a gdy znowu przeniosłem wzrok na koronę drzewa, okazało się, że dziada już na niej nie ma.

– Spadł? – zapytała z obawą Dola.

– A gdzieżby tam! – zaprzeczył Nij, marszcząc krzaczaste brwi. – Toć bym przecie zobaczył, gdyby zleciał z gałęzi. Po prostu znikł, jakby go wcale nie było. Ani widu, ani słychu.

– Zwidy jakoweś – stwierdziła niepewnie dziewczyna.

– Ano zwidy – przyznał rodzic. – Potem zaś jeszcze większe dziwy ujrzałem.

– Jakież to, ojcze?

– Gdy zacząłem zsuwać się z pnia, znowu usłyszałem tupot i trzask łamanych gałęzi, jakby coś wielkiego przedzierało się przez gęstwinę. Czym prędzej zeskoczyłem na murawę i chwyciłem za włócznię, by ranny zwierz zastał mnie uzbrojonym i gotowym do walki. Nie zdążyłem schylić się po kozuch, gdy wyrósł przede mną ogromny rogaty cień sięgający czubów najwyższych drzew.

– Leśny bies – wtrąciła Dola, dygocząc ze strachu.

– Żeby tylko – podjął ojciec. – Sam Leszy we własnej osobie! Jako rzekłem, zdobną w turze rogi głową sięgał wierzchołków najwyższych dębów i sosen, pierś miał niby beczka, nogi jak grube pnie, a w sękatej ręce dzierżył wielką maczugę. Spoglądał na mnie z góry ze złowieszczą ciekawością i jakby politowaniem. „Zraniłeś mego ulubionego sługę – zahuczał z wyrzutem. – Masz szczęście, że jest osłabiony nadchodzącą porą zimową, bo inaczej sam by się z tobą rozprawił. Muszę dać ci nauczkę, śmiertelny człowieczku”. Pochyliłem kornie głowę i odrzekłem z trudem, dławiąc się ze strachu: „Chciałem tylko wspomóc biednego dziadka”. Nie byłem wcale pewien, czy to tłumaczenie ocali moją głowę, lecz czułem, że muszę jakoś usprawiedliwić swój czyn. „Jakiego dziadka? – odpowiedział Leszy, rozglądając się z udanym zdumieniem. – Nie widzę tutaj żadnego”. Potem zahuczał gromkim śmiechem. Zmiarkowałem, że pan boru zabawia się moim kosztem, być może chcąc pomścić ubitą przeze mnie podczas częstych łowów zwierzynę. Uznałem, że najlepiej zejść mu jak najszybciej z oczu, a może zapomni urazę. Schyliłem się po kozuch i wówczas ujrzałem na nim coś jakby wianek wijących się żelaznych gadzin... Wrzasnąłem, upuściłem z wrażenia włócznię i wziąłem nogi za pas. Nie gonił mnie, słyszałem tylko za plecami jego dudniący rechot, a później wołanie: „Dość się najadłeś strachu. Taka kara wystarczy. Ponoć szukasz chłopca dla swej jedynej córki. Przyślij ją tutaj po kozuch, a dam jej godnego męża i piękne wiano”. Ledwie żywy wróciłem do domu, sama widziałaś. Ot, i cała historia.

Dola milczała, przejęta niezwykłym zdarzeniem. Czuła, że jakaś nadludzka moc

postanowiła odmienić jej los raz na zawsze. Było z tym dziewczynie trochę straszno, zarazem jednak ciekawiło ją, cóż za „godnego męża” przeznaczył jej borowy władca.

– Nie pójdę tam już nigdy – oznajmił w końcu rodzic nieswoim, łamiącym się głosem. – I tobie też radzę, córko, omijać to nawiedzone miejsce, dobre może dla guślarzy, lecz nie dla zwyczajnych ludzi. Położę się teraz, bo wielce jestem znużony, ty zaś wyślij któregoś parobka po kozuch.

– Nie, mój ojciec – sprzeciwiła się śmiało, prowadząc rodzica do łóża przy palenisku. – Nikt z naszej czeladzi nie powinien się dowiedzieć, że wielki gospodarz i myśliwy umknął z lasu przegnany przez Leszego. Sama pójdę po twój kozuszek.

– Któż to wie, czego naprawdę chce od nas pan lasu – mamrotał stary, układając się na sienniku. – Zmierzch już zapada, może cię w kniei spotkać coś gorszego niż mnie. Lepiej prześpij się i wróć tam rano – stwierdził, szcękając zębami.

– Nie pozwoliłeś mi nigdy polować – odparła, troskliwie okrywając ojca grubymi kocami – mówiąc, że to męska sprawa. Nie ubiłam żadnego leśnego zwierza, pan boru nie ma więc powodu mnie krzywdzić. Groźny jest, ale sprawiedliwy. Ty zaś zgrzałeś się w biegu i teraz trzęsie tobą gorączka. Powinieneś parę dni wyleżeć się w cieple. Wróć, nim się obejrzysz. Dowiem się, jakiego to męża Leszy mi wyszykował – dorzuciła niby od niechcienia.

– Ech, baby – mruknął dobrodusznie Nijko, przymykając ciężkie powieki – tylko im zaślubiony w głowie.

Dola okręciła się grubą chustą, wzięła do ręki tęgi kij i ruszyła dziarsko do świętego gaju. Szła krokiem pewnym, lecz niespiesznym, by nikt z domowników nie powziął żadnych podejrzeń co do jej zamiarów. Mieli myśleć, że poszła nazbierać grzybów lub ziół. Nie chciała także wydać się władcy lasu zbyt ochocza do zamęścia – dziewczka winna mieć swoją godność, zwłaszcza dziedziczka najbogatszego we wsi gospodarza. Wiadomo przecież, że gdy panna się spieszy, licho się cieszy. Może to zresztą nie było leśne licho, ale sam Weles... Na ten trop naprowadziły Dole

słowa ojca o tajemniczym, znikającym bez śladu staruszką guślarzu i o turzych rogach na głowie Leszego. Słyszała, że rogaty pan zaświata lubił czasem igrać ze śmiertelnikami, pojawiając się przed nimi w różnych postaciach.

Tak była zamyślona, że nogi niosły ją same i ani się spostrzegła, jak zawędrowała na dębową polanę. Ocknęła się wtedy jakby ze snu i rozejrzała uważnie za ojcowską bronią i kozuszką. Leżały tam, gdzie je zostawił, lecz dziewczynie tak naprawdę chodziło o coś innego, dlatego wielkie było jej rozczarowanie, gdy nie zobaczyła przy dębie potężnej postaci Leszego.

Dostrzegła za to spoczywającą na owczym runie sporą żmiję pokrytą mieniącą się tęczowo łuską. Na czubku trójkątnego łba sterczał – niczym złota korona – postrzępiony grzebień. Zwierz zdawał się uspiiony, lecz gdy wyczuł zbliżającą się dziewczynę, wyraźnie się ożywił. Uniósł łeb i zasyczał radośnie, jak gdyby na powitanie. Szeroko otworzył gadzie oczy, w których nie było groźby ni okrucieństwa, lecz bezmierna tęsknota. Zaczął tak szybko ruszać łbem, że zauroczonej jego spojrzeniem pannie zdawało się, iż widzi trzy głowy na wspólnym karku: srebrną, złotą i miedzianą.

Jednocześnie Dola zastanawiała się gorączkowo, jak zgonić żmiję z kozuszka, by nie rozdrażnić tego niebezpiecznego stworzenia, a później złapać okrycie i dać z nim drapaka do domu. W końcu zaświtała jej w głowie pewna myśl.

Odłożyła kij i obesła skraj polany, gdzie nazbierała mchu i złotoczerwonych liści. Zniosła to nieopodal gadziny i usłała dlań nowe posłanie, które przykryła dodatkowo własną chustą. Zwierz zerknął na nią jakby z wdzięcznością, po czym przepelzł na świeże legowisko. Dola podniosła ojcowskie okrycie i chciała się oddalić, lecz wtedy okazało się, że nie miała do czynienia ze zwyczajną żmiją, lecz z czarodziejskim żmijem, gdyż usłyszała za plecami syczący, a jednak mile dźwięczący głos:

– Zaczekaj, śliczna dziewczyno! Zlitowałaś się nade mną, gadem, przeto mogę

do ciebie mówić ludzkim głosem. Leszy rzekł mi, iż jesteś panną na wydaniu, toteż chciałbym wziąć cię za żonę. Postaram się być godnym ciebie małżonkiem, który zadowoli twego wybrednego ojca. Pójdź do mej podziemnej siedziby, a zobaczysz skarby, o jakich ci się nigdy nie śniło...

– Nie mogę zostawić rodzica – odparła śmiało, wcale niespeszona, że rozmawia z gadającą gadziną, bo wiedziała,

iż świat pełen jest różnych dziwów. – Leży w chacie samot-

nie, ciężko zachorzały po przygodzie z Leszym. Najpierw go wykuruję, potem do ciebie przyjdę – obiecała

pospiesznie, bardzo zaciekawiona wzmianką o podziemnych skarbach. Oczyma wyobraźni ujrzała siebie, jak przebiera w klejnotach, przymierza drogocenne pierścienie, branso-

lety, naszyjniki i zausznice... Dała o sobie znać jej niewieścia próżność.

– Nie ma takiej potrzeby – zasyczał żmij. – Twój ojciec ma dosyć służby, która może się nim zająć. Szybko wróci do zdrowia, bo twarda z niego sztuka.

– Muszę mu odnieść kozuszek – obstawała przy swoim, acz z coraz mniejszym przekonaniem.

– Skrzaty odniosą mu okrycie, włócznie i łuk – zapewnił gad. – Dostanie też worek złota, który osłodzi mu rozstanie z tobą.

– Rozstanie? – powtórzyła niepewnie Dola. – Nigdy go już nie zobaczę?

– Tego nie powiedziałem – sprostował żmij. – Jako moja małżonka zamieszkaż ze mną i pożegnasz dom rodzicielski, będziesz jednak mogła odwiedzać ojca, kiedy tego zapragniesz. Gdy zobaczysz wspaniałości mojej siedziby, być może minie ci tęsknota za swojską chatą – dodał z jawną nadzieją, wpijając w nią upajające spojrzenie nieludzkich źrenic.

– Zaprowadź mnie zatem do siebie – zgodziła się w końcu, zniewolona jego czarodziejskim wzrokiem.

Gad rozwarł paszczę i delikatnie ujął w nią dłoń dziewczyny, a potem poprowadził wybrankę w stronę Tatr.

Znowu szła jak we śnie, odurzona potężnym czarem. Nie wiedziała, jak i kiedy przeszli groźne, najeżone skalnymi kłami przełęcz i granie. Nie pamiętała drogi wiodącej najpierw pod górę, a potem w dół, do podziemnych pieczar. Kiedy znowu oprzytomniała, spostrzegła, że żmij przyprowadził ją do wielkiej groty, w której głębi lśniło jezioro. Snopy gasnącego powoli słonecznego światła przebijały się przez nieliczne otwory w stropie jaskini, sprawiając, że wodna płaszczyzna i wyrastające ze skał kryształki mieniły się zielonkawo.

Żmij puścił jej dłoń i rzekł:

– Dowiedz się teraz, moja miła, że nie jestem zwyczajnym zwierzem ani nawet czarodziejskim żmijem, lecz zaklętym węń bogiem, a noszę imię Żmij Trygław. Urodziłem się w tej postaci z woli mego ojca Czarnoboga, a powity zostałem u zarania świata przez pramatkę Mocoszę. Walczyłem z samym Perunem i to on stracił mnie w otchłań, czyniąc strażnikiem Nawii. Ludzie często zwą mnie Królem Węży, gdyż właśnie węże pilnują nagromadzonych tutaj klejnotów.

Ty zaś będziesz od dziś władać ze mną pospołu i gadami, i ukrytymi skarbami. W dalszych jaskiniach znajduje się przejście do podziemnego świata, którego strzegę każdego dnia jako trzygłowy smok. Na tym jednak nie kończy się moja rola. Przeszywając mnie błyskawicowymi strzałami, Perun rzucił też klątwę sprawiającą, że z nadejściem każdej nocy zamieniam się w człowieka...

– Możesz mieć ludzką postać? – wtrąciła przejęta Dola. Jej serce zabiło nadzieją, że jednak nie będzie musiała obłapiać się w mrokach jaskiń z zimnym, oślizgłym gadem.

– Mogę, lecz postać ta jest dla mnie przekleństwem – odparł ponuro Trygław. – Perun sprawił, że gdy ją przybieram, buzuje we mnie gorąca krew napędzająca ludzkie serce, ludzkie uczucia i ludzkie odruchy, nad którymi nie panuję. Jestem

wtedy słaby, niepewny, samotny, rozdarty jak każdy zwykły człowiek...

– Nie wszyscy ludzie są tacy – sprzeciwiła się stanowczo. – Nie znasz ich zbyt dobrze, obcując na co dzień tylko z duchami zmarłych. Niemało jest w naszym świecie ludzi śmiałych, rzutkich, rozumnych, o mężnych sercach i szczerych duszach. Zwiemy ich witeziami...

– Wiem, wiem – potwierdził ze smutkiem żmij. – Oni są jednak sługami mego ojczyma i jego jasnych synów. Mnie przeznaczone są wieczny mrok, zwątpienie i ból. Na to wszystko skazał mnie Perun swą klątwą, niechaj go ciemność zeżre – wysyczał rozgoryczony.

– Zapragnąłeś więc, aby jakaś ziemską dziewczyna dotrzymała ci towarzystwa, rozproszyła samotność, wyleczyła z cierpienia i nauczyła, jak być człowiekiem? – zapytała domyślnie Dola.

– Tak – wyznał otwarcie. – A mój najstarszy brat, Weles, dopomógł mi w działaniach, które przywiodły cię tutaj. Niestety, z klątwą pana gromu wiąże się coś jeszcze.

– Co takiego? – dopytywała, drżąc na całym ciele.

– Żadna śmiertelna niewiasta nie może zobaczyć mego oblicza – wyjaśnił. – Musi ze mną obcować w całkowitej ciemności, bo gdyby ujrzała je choć przez chwilę, wnet pryśnie czar i skończy się nasza ludzka miłość. Wyrokiem przedwiecznej potęgi zostanę pogrzebany w najgłębszych czeluściach Nawii, gdzie zapadnę w sen podobny do śmierci. Nie pojawię się już nigdy i nigdzie w ludzkiej ani gadziej postaci.

– A... ona? – wykrztusiła wstrząśnięta dziewczyna.

– Moja umiłowana będzie błąkać się długi czas splątanymi drogami na granicy zaświata, aż w końcu umrze i stanie się bezcielesną marą. Wówczas zaczniesz czuwać całą wieczność przy moim martwym człowieczym ciele – zakończył z przeciągłym, bardzo ludzkim westchnieniem.

– Nie, tak być nie może – zaprotestowała żywo. – Miłość stworzyła nasz świat, jest

więc największą siłą, której nic nie poskromi i która zwycięży wszystko, nawet pradawne klątwy i śmierć!

– Obyś miała rację, Dolo moja – szepnął żmij, ogarniając jej szczupłą, gibką kibić ramionami.

Tak, ramionami, bowiem na powierzchni ziemi skończył się dzień i światłość przestała się przesączać przez stropowe świetliki. W grocie zapadła ciemność gęsta i lepka jak smoła. Dola poczuła, jak oplatają ją gorące, męskie ramiona i uda, jak okrywa ją taka moc pocałunków, że zdawało się, iż niezwykle małżonek ma nie jedną, ale trzy pary ust... Odurzona nieznaną dotychczas rozkoszą oddała się bez reszty dzikiej mocy miłości.

W Zielonej Jaskini czas upływał Doli początkowo dość szybko, później jednak zaczął się niezmiernie dłużyć.

Najpierw cieszyły ją znoszone przez węże przepyszne klejnoty, złote ozdoby i inne skarby. Radowały piękne stroje oraz obfitość wyszukanego jadła i napitku na suto zastawionym stole. Upajała miłość męża, który każdej nocy – niewidzialny, lecz namacalny – nawiedzał jej łóżko.

Z czasem jednak wszystko to spowszedniało i wszelkie wspaniałości podziemnego świata nie mogły stłumić w kobiecym sercu tęsknoty za domem rodzinnym, otwartym niebem nad głową, świeżym powietrzem i światłem. Bardzo jej też doskwierało, że rankiem widzi tylko przez krótką chwilę węzową postać małżonka, gdy spieszył do swych obowiązków, nigdy zaś nie ujrzała jego ludzkiego oblicza.

Choć dzięki przesączającym się z góry promieniom słonecznym istniał w jaskini podział na dni i noce, Dola szybko straciła rachubę czasu. Nie wiedziała, że w świecie na powierzchni przeszła mroźna zima i rozkwitła wiosna, albowiem w podziemiach wciąż panowało takie samo umiarkowane ciepło. Nie docierały tam mrozy ani upały, letnie burze czy zimowe zamiecie. Co dzień było tak samo: ten sam półmrok, to samo skrzeczenie kryształów, to samo syczenie poddanych Króla Węży. Dnie i noce

zlewały się w jednostajny ciąg powtarzalnych czynności, rodząc dojmującą nudę i pogłębiające się zniechęcenie.

– Czemuś smutna, Dolo? – zasyczał pewnego razu żmij, gdy siedzieli przy obfitej wieczerzy. – Co gnębi moją panią?

– Ach, mężu – poskarżyła się szczerze, widząc nadzieję wyrwania się choć na chwilę z podziemnej pułapki – tęskno mi do dawnego ludzkiego życia, do ojca i domu. Rodziciel pewnie zamartwia się moim losem, niepewny, czy jestem jeszcze wśród żywych. Zimne złoto nie zastąpi ciepłego rodzinnego uczucia. Zostawiłam też w naszej chacie swe ulubione wrzeciono. Gdybym je odzyskała, mogłabym tu na nim prząść, rozpraszając nieco jednostajność. Nie jestem boginią, zrodziła mnie śmiertelna niewiasta, nie potrafię więc długo żyć w głębi ziemi. Serce wyrywa się na powierzchnię, do swobodnego wiatru i słonecznego nieba. Co dzień zdaje mi się, że ucieka ze mnie wola życia i usycham z tęsknoty. Pozwól, bym wróciła tam choć na chwilę, spotkała się z ojcem, pocieszyła go, że przypadł mi w udziale wspaniały los. Gdy powrócę tutaj z wrzecionem, będę prząść sobie spokojnie, czekając na ciebie – dokończyła ze łzami w oczach.

– Dobrze – odrzekł Trygław po chwili namysłu. – Odwiedzisz dom na jedną dobę i weźmiesz swoje wrzeciono, lecz pamiętaj, by nie zdradzić mej tajemnicy, bo wyniknie z tego nieszczęście. Przysięgnij także, że do mnie wrócisz, bo jeśli tego nie uczynisz, umrę z tęsknoty.

– Przysięgam – powiedziała ochoczo. – Zamknę się z tobą w tym zielonym grobowcu i zostanę w nim aż do śmierci. – I dorzuciła smętnie: – Gdy umrę, twoje węże złożą mnie na dno jeziora.

– Jesteś śmiertelna, lecz młoda – odparł żmij. – Do twej śmierci jeszcze daleko, a Prządki żyjące na krańcu świata plotą ci długą nić. Będę czekał na ciebie, umiłowana. Zaśnij teraz, a gdy się zbudzisz, ujrzysz rodzinne domostwo – rzekłszy to, wpił w nią przenikające w głąb duszy spojrzenie niesamowitych czarownych źrenic.

Dola zasnęła w jednej chwili, a zbudziła się pod świętym dębem. Przetarła mgłę z oczu, niepewna, czy wszystko to się jej przyśniło czy nie. Gdy oprzytomniała, spostrzegła, że nigdzie wokół nie ma ojcowskiego kozuszka ni włóczni, a ona sama odziana jest w strojną szatę i obwieszona klejnotami. Cała historia była więc prawdą, nie senną marą.

Podniosła się z kwietnego posłania i ruszyła w stronę domostwa. Nogi znów niosły ją same znajomą drogą. Po drodze upajała się lekkimi podmuchami wiatru, wonią ziół i kwiatów, radosnym śpiewem ptasząt. Ani się spostrzegła, jak doszła do rodzinnej zagrody. Pies pilnujący obejścia rozpoznał ją i wybiegł naprzeciw, witając radosnym szczekaniem i merdaniem ogona.

Wkrótce w drzwiach chaty stanął Nijko w sobolowej szubie, ze złotym łańcuchem na piersi i pierścieniami na palcach. Zdawał się jednak mocno postarzały, a jego oblicze poradliły głębokie zmarszczki, które wyźłobiła nieustanna troska o zaginioną córę. W pierwszej chwili nie rozpoznał jej w bogato odzianej pani. Już chciał pokłonić się w pas i zaprosić w gościnę, lecz nagle twarz rozjaśniło zrozumienie, a w oczach błysnęły ojcowskie łzy radości. Ruszył ciężkim krokiem przez majdan, szeroko rozwierając ramiona.

Całej nocy by nie starczyło, żeby opowiedzieć, jak się witali, ściskali i całowali, jak zbiegła się czeladź, wznosząc radosne okrzyki, jak zlecieli się ciekawscy z całej wsi i jak szczęśliwy gospodarz wydał dla wszystkich sowity poczęstunek, szanując święte prawa gościnności. Dziewki i niewiasty nie mogły się napatrzeć na pięknie wystrojoną Dole, przyznając, że jej uroda zyskała jeszcze w małżeńskim dobrobycie. Plotły między sobą zazdrośnie, że córa Nijka musi być wybranką bogów, skoro została żoną zamorskiego księcia.

Gdy już wszyscy rozeszli się do domów, Nij rozlał resztkę miodu do dwóch złotych kubków i zasiadł z córką za stołem.

– Nie wyglądasz mi na szczęśliwą, córuchno – rzekł cicho. – Przyglądałem ci się

cały czas, gdy przyjmowałaś gości. Na twych ustach promieniał uśmiech, lecz oczy pozostawały zimne jak kryształy w zausznicach. Niedługo po tym jak zniknęłaś, pojawiły się skrzaty ze skrzynią pełną złotych ozdób. Karły początkowo nie chciały mi nic powiedzieć, ale wyznały prawdę, gdy przypiekłem jednemu pięty. Rzekły, jaki los ci przypadł. Nie chciałaś dziś mówić o tym naszym gościom, odpowiadałaś wymijająco na ich dociekliwe pytania. Słusznie postąpiłaś, lecz ojcu możesz zwierzyć się ze zmartwień. Powiedz, co cię trapi, a może razem coś zaradzimy.

– Najdroższy ojcze – odparła, nie kryjąc wzruszenia – może inna byłaby szczęśliwa, będąc wybranką czarodziejskiego żmija i przepędzając życie w bogactwie, ja jednak nie potrafię znaleźć w tym prawdziwego zadowolenia. Mam niby wszystko, piękne klejnoty i stroje, wierną miłość męża, który spełnia moje zachcianki, ale...

– Ale czegoś ci brakuje – podchwycił rodzic, kiwając głową ze zrozumieniem. – Czego? Może dziecka?

– Strach mnie bierze, gdy pomyślę, co mogłoby się narodzić z takiego związku. – Wzdrygnęła się mimowolnie. – Nie brak dziecka mi doskwiera, jeno to, że choć małżonek zmienia się nocą w człowieka, nigdy nie widzę jego twarzy.

Powoli opowiedziała łamiącym się głosem o życiu, jakie wiodła z Trygławem w półmroku Zielonej Jaskini.

Nij długo milczał wpatrzony w płomień smolnej szczapy, a bruzdy na jego czole jeszcze się pogłębiły. W końcu wstał, poszedł w kąt izby i wydobył ze skrzyni ulubione wrzeciono córki. Umoczył je w smole i wręczył Doli, mówiąc:

– Weź je razem z krzemieniem i krzesiwem. Skoro mówiłaś smokowi, że chcesz wziąć z domu wrzeciono, musisz z nim wrócić, a właśnie to narzędzie będzie ci potrzebne do zrobienia tego, co obmyśliłem. Co więcej, żmij nie nabierze podejrzeń na widok wrzeciona, bo przecież, jak to chłop, nie zna się na babskiej robocie. Kiedy zapadnie ciemność, skrzysz iskrę i spraw, by padła na przedzę nawiniętą na wrzeciono, a zaraz jasno zapłonie i niełatwo ją będzie ugasić. Wtedy ujrzysz męża.

– Żmij ostrzegł, że umrze dla świata, jeśli śmiertelna niewiasta ujrzy jego oblicze – zauważyła z lękiem, choć zarazem przepelniona niepokromioną ciekawością.

– Może się mylić – odrzekł stanowczo rodzic – lub nie mówi ci całej prawdy o sobie. Kto wie, jakie sekrety skrywa jego gadzie serce. Może jako człowiek jest równie potworny i odpychający, nie chce więc zrazić cię do siebie... Ale każda mądra niewiasta wie, że wystarczy, by chłop był choć trochę urodziwszy od biesa, robotny i jurny, a zapewni jej szczęście. Nie ty jedna obcujesz z mężem tylko po ciemku. Skoro jednak dręczy cię ciekawość, która w dzień i w nocy nie daje ci spokoju, uczyn tak: kiedy zaśnie, zapal przedzę. Przypatrz mu się do syta, potem zdeptaj płomień, nim żmij zdąży się obudzić. Poznasz jego ludzkie oblicze, a może też dzięki twemu czynowi moc zaklęcia przeminie i mąż na zawsze zostanie w człeczej postaci?

Przejęta zapewnieniami ojca i natchniona nadzieją Dola pochwyciła wrzeciono, a krzemień i krzesiwo ukryła w małym woreczku u pasa. Pożegnała się czule z rodzicem i odprowadzona na skraj boru przez wiernego burka, poszła ułożyć się pod dębem. Wiedziała, że skoro jest pod opieką podziemnych bóstw, nic jej nocą w lesie nie grozi.

Przed snem zapatrzyła się w okrągłą, nisko wiszącą nad drzewami srebrną tarczę księżycy, wspominając opowieść piastunki o tym, jak wiele wycierpiał Chors dla swej ukochanej. Widać nieszczęśliwa miłość była przekleństwem mrocznych bóstw. Zasnęła, ukołysana miłosnym kwileniem słowika. Obudziła się w Zielonej Jaskini u boku Trygława.

– Jest więc jeszcze dla nas nadzieja, skoro wróciłaś do mnie, swego wężowego małżonka – wyszeptał, tuląc się do niej. – Przyszłaś ze słonecznego świata tu, gdzie panuje mrok i zwykle nie słyszy się ludzkiej mowy. Wielkie masz serce, Dolo, skoro mną nie wzgardziłaś.

Bez wahania poddała się jego pieścizdom i była to najwspanialsza noc miłości. Kiedy zaś męża zmorzył sen, zrobiła wszystko tak, jak doradził pan ojciec: skrzesała

iskrę i zapaliła wełnianą nić naplecioną na wrzecionie. Przędza zapłonęła natychmiast, zmieniając noc w dzień.

Niewiasta spojrzała na śpiącego uważnie i chciwie, pragnąc raz na zawsze nasycić się jego widokiem. I aż się zachłysnęła z przejęcia. Mąż w ludzkiej postaci był najurodziwszym oblubieńcem, jakiego w życiu widziała. Jego twarz zdobił lekki srebrzysty zarost, takie też były mocno zarysowane brwi, lecz włosy miał barwy miedzianej. Zamknięte powieki ozdobione były długimi złotawymi rzęsami.

Dola chciała rzucić wrzeciono na ziemię i je zdeptać, jak mówił rodzic, lecz zwlekała z tym, nie mogąc się napatrzeć na nieziemską urodę wybranka.

Wtedy właśnie bóg otworzył złote oczy. Mrugał chwilę, oślepiiony światłem, lecz gdy pojał, co się stało, jego piękną twarz wykrzywił grymas żalu.

– O, ja nieszczęsny! – wykrzyknął. – Cóżes uczyniła, niewiasto?! Chcąc zaspokoić kobiecą ciekawość, właśnie oddałaś mnie śmierci, chociaż cię ostrzegałem! Ściągnęłaś na nas niedolę. Przez ciebie muszę odejść za krwawy Dunaj i spocząć snem wiecznym w zamku brata Welesa. Znajdziesz mnie tam... lecz dopiero po swojej śmierci. Nie chciałaś gada, masz więc teraz martwego męża – syczał gasnącym głosem, blednąc i znikając.

Płonące wrzeciono wypadło z drżącej dłoni Doli, potoczyło się po ziemi i zgasało, wpadając do jeziora. W nieprzeniknionym mroku przerażona kobieta widziała jeszcze tylko patrzące na nią z wyrzutem złote oczy małżonka, lecz i one po chwili zniknęły. Rozległy się setki zagniewanych żmijowych syknień, grota zatrzęsała się w posadach, a ciemność wokół zwarła się i zacisnęła w gęsty, okrutny wir. Dola straciła przytomność, zapadając w bezdenną nicość...

I znowu była pod swojskim dębem. Ocknęła się z bólem w sercu, a duszą rozdartą nieszczęściem, jakie sama sprawiła. Chwilę leżała niczym martwa na miękkim mchu, lecz ożywiła się, spostrzegając, że właśnie nadszedł świt i skowronki powitały słońce radosnym ćwierkaniem. Czym prędzej otrząsnęła się z zadumy, wstała i wzorem ojca

złożyła pokłon Swarożycowi. Spojrzała potem na ścieżkę wiodącą do domu, zastanawiając się przez chwilę, czy nie wrócić tam, by jako żałosna wdowa wypłakać się na ojcowskim ramieniu.

Zrobiła nawet krok, lecz zaraz się zatrzymała, kręcąc głową.

– Nie, tak być nie może – powiedziała na głos z uporem, jaki daje tylko skrajna zgryzota. – To nie musi się tak skończyć.

Odwróciła spojrzenie od jasnego oka dnia, które zdawało się patrzeć obojętnie na jej kobiece cierpienie, skoro sama zawiniła. Skierowała wzrok na węzłaste korzenie dębu i małym nożykiem utoczyła na czarną ziemię parę kropel krwi z serdecznego palca, oddając się Welesowi w opiekę. Zebrała później wszystkie siły i ruszyła w głąb boru poszukać Leszego.

Znalazła go szybciej, niż przewidywała. Być może przyciągnęło pana boru ludzkie nieszczęście albo świeżo przelana krew. W każdym razie stanął jej na drodze, przybierając ogromną postać, która tak przerażała maluczkich. Dola jednak nie była zwykłą wiejską niewiastą, lecz wybranką Trygława, toteż nie okazała strachu. Leszy ze zdziwieniem i ciekawością mierzył wzrokiem jej drobną postać.

– Pozdrowiony bądź, władco lasu – zaczęła śmiało. – Przyszłam błagać cię o pomoc. Byłam żoną zakłętego Króla Węży i pragnęłam być z nim szczęśliwa... Dotąd strzegła go klątwa, a teraz strzeże śmierć... – Szukała w głowie właściwych słów, które by skłoniły olbrzyma do pomocy.

– Streszczaj się, młoda wdowo – przerwał jej ostro. – Mam wiele zajęć i nie mogę zbyt długo wysłuchiwać twoich żali.

– Ciężko zawiniłam – wyznała głucho. – Chciałam go wybawić od klątwy i zachować w ludzkiej postaci, lecz gdy w nocy skrzesalam ogień i ujrzałam jego boskie oblicze, odszedł z tego świata. Pragnęłam szczęścia, i tym go zabiłam! „Dolo moja, Dolo!” – tak do mnie mawiał. Teraz nie odezwie się już więcej...

– Jednym słowem – podsumował rubaszenie Leszy – straciłaś chłopca i chcesz go

teraz odzyskać?

– Tyś mi go naraił – przypomniała bez cienia urazy.

– Prawda, i wiedziałem, co robię – zahuczał wielkolud. – Widzę, że znalazłem godną żonę dla Żmija Trygława. Nie brak ci odwagi, maleńka istoto. Masz wielkie serce – jak olbrzymka. Pocieszę cię, że boga nie można zabić. Trygław nie umarł, śpi tylko snem nieprzespanym jak ongiś Jarowit.

– Cóż mi po tym, skoro nie mogę z nim być? – odpowiedziała głosem zdławionym przez łzy.

– Pragniesz znowu go ujrzyć? – Zaciekawiał się władca kniei. – Nie tylko jesteś dzielna, ale też po babsku uparta. Co zamierzasz?

– Pójdę za nim do Nawii – odrzekła stanowczo. – Pójdę za krwawy Dunaj do siedziby Welesa, jeżeli będzie trzeba. Może prześlągam śmierć.

– Śmierć bywa niewzruszona – zauważył Weles ukryty pod postacią borowego biesa – ale skoro chodzi o samego Żmija Trygława... może zdołasz ją przekonać. Podobnie jak ja, ceni sobie odwagę. Skoro chcesz żywa przejść przez Dunaj na tamten świat, nie możesz jednak iść nieprzygotowana.

– Zrobię wszystko, co trzeba – zapewniła. – Przejdę najstraszniejsze próby, byle znowu być z ukochanym.

– Bogom miła jest taka wierność – odparł Leszy z namysłem. – Tym bardziej poruszysz nią serca bogiń. Musisz się udać do Prządek siedzących na krańcu jasnego świata i wypłatających ludzkie losy. Pamiętają wszystko, co było, i wiedzą wszystko, co będzie. Wielka ich moc, większa niż całej rzeszy bogów. Spraw, aby trzy Matki, trzy Siostrzane Zorze wysłuchały twoich prośb. Bądź dla nich grzeczna i pomóż im przy robocie, a pewnie zechcą cię wesprzeć, wyposażą na drogę i powiedzą, co masz dalej robić.

– Lecz jak dotrę na kraniec świata do Prządek? – Zasmuciła się Dola. – Nie starczy ludzkich sił, by tam dojść.

– Tym się nie frasuj. – Zbył jej obawy, szczerząc się od ucha do ucha. – Skoroś taka odważna, dam ci wierzchowca, który w mig cię tam zaniecie.

Stuknął o ziemię sękatą lagą i wnet wyrósł przed zdumioną błagalnicą ogromny żubr, niecierpliwie ryjący leśne poszycie przednim kopytem. Wpatrywał się w ludzką istotę gorejącymi, lecz życzliwymi oczyma, a z nozdrzy buchały mu gęste kłęby pary.

– Śmiało, wskakuj na jego grzbiet – zachęcił borowy pan – i ruszaj w bezpowrotną drogę.

– Dziękuję ci, panie zwierząt – wymamrotała stropiona młódka.

Starając się nie zaprzętać sobie głowy słowem „bezpowna”, usadowiła się nie bez trudu na grubym karku zwierza i chwyciła go za rogi.

– Drobiazg, lubię pomagać zakochanym – odrzekł beztrwosko mniemany bies. – Nie zapomnij złożyć mi darów w noc Kupały.

– Na pewno nie zapomnę! – przyobiecała w pustkę, bo Leszy tymczasem zniknął.

Rozwiał się w leśnych oparach, jakby go wcale nie było. Żubr jednak pozostał na swoim miejscu, czekając na znak, że czas ruszać.

Gdy ścisnęła kolanami masywny grzbiet porośnięty miedzianożółtą grzywą, zwierz wyrwał do przodu, jakby jedynym jego pragnieniem była szalona gonitwa. Pędził przez las, a migające po bokach drzewa zlewały się w rozmazaną brązowo-zieloną smugę. Wybiegł na rozległą polanę, spiął się do skoku i kobieta ani się spostrzegła, jak znaleźli się nad wierzchołkami najwyższych drzew. Czarodziejski wierzchowiec bez trudu pędził pośród chmur jak po bitym trakcie.

Dola wystrzegała się patrzenia w dół, obawiając się, że serce jej stanie z przerażenia, a żołądek podejdzie do gardła. Kiedy jednak potężny wichur omal nie zmiotł jej z żubrzego grzbietu, a w twarz sypnęło śniegiem, odważyła się zerknąć na chwilę i zobaczyła, że lecą nad górami, zostawiając daleko w tyle ich, zdawałoby się, niebosiężne szczyty. Wierzchowiec nic sobie nie robił z wiatru ani ze śniegu, prując powietrze wielką włochatą pierśią.

W końcu zwolnił bieg. Niewiasta ujrzała, że wjechali na białą polanę, jakby ubitą ze śniegu i mgły, wokół której piętrzyły się chmury niczym górskie szczyty. Buchające parą nozdrza zgrzanego zwierza pokryły się szronem.

Żubr prychnął i zatrzymał się pośrodku owej białej nicości. Pochylił łeb na znak, że dotarli na miejsce.

Młoda wdowa rozejrzała się bacznie i wówczas spostrzegła wyłaniające się spośród mglistych kłębów trzy piękne chatki, których strzechy zdawały się płonąć w słonecznych promieniach. Jedna strzecha miała barwę srebrną, druga złotą, a trzecia miedzianą.

Dola zeskoczyła z żubrego karku i ruszyła w stronę owych dziwnych domostw, lecz nagle zamarła. Chatki drgnęły, uniosły się na cienkich nóżkach niczym wyrastające spośród jasnego zboża kwiaty kąkolu i ruszyły w jej stronę. Przemieszczały się łagodnymi skokami na smukłych kurzych łapach. Stały wreszcie przed przybyłą, zgięły nóżki i znów osiadły na śniegu. Rozwarły się wtedy drzwi wszystkich trzech domków i młódka ujrzała siedzące w środku urokliwe postacie Przędek.

Pierwsza od lewej, o wyglądzie słodkiej wiośnianej dziewczeczki, przedła srebrne nici, które śpiewały zwodniczą, zmienną pieśń, raz wesołą, raz tęskną. Druga Przędka miała wygląd dojrzałej piękności i plotła nici złote, które radośnie szumiały. Trzecia, wychudła, koścista, z twarzą osłoniętą śnieżnym zawojem, snuła nici miedziane, brzęczące głucho, ponuro.

Brzmienia trzech czarownych nici mieszały się ze sobą, a chociaż tak różne, łączyły się w jedną, piękną i potężną pieśń życia.

Dwie z pracujących Sióstr – najmłodsza i ta o zakrytym obliczu, zapewne najstarsza – nie przerywając pracy zerkały spod oka na błagalnicę, która padła przed nimi na kolana. Ujrawszy to, środkowa, najpiękniejsza z Zórz, zaprzestała przędzenia i trzymając wciąż w palcach złotą nitkę, zwróciła się do śmiertelniczki

śpiewnym głosem przepelnionym macierzyńską czułością:

– Cóż za nieszczęście dało ci tyle sił, byś dotarła aż tutaj? Nawet najdzielniejszym witezom nie starczyło dotąd odwagi, by wdrzeć się do nas i spojrzeć w twarz przeznaczeniu. Widzisz, że nawet twój wielki żubr pochylił kornie łeb i nie podnosi wzroku. Ty zaś patrzysz na nas, choć jesteś żywa, zaś nic twego istnienia snuje się długim, jakby nieskończonym pasmem...

Dola zebrała się na odwagę i opowiedziała Prządkom dziwne koleje swego losu. Od dziecka pozbawiona matki, po raz pierwszy czuła się tak, jakby zwierzała się własnej rodzicielce, zwłaszcza gdy spoglądała w jasne, życzliwe i wyrozumiałe oczy pani Mokoszy. Dwie pozostałe Siostry przestały w końcu prząść i także zasłuchały się w historię nieszczęśliwej kobiety. Kiwały głowami ze współczuciem i zrozumieniem.

Potem zapadła długa cisza, którą mąciło jedynie zawrodozenie górskiego wichru dującego nieustannie na stokach. W końcu złota Zorza odezwała się łagodnie:

– Wiele wycierpiałaś, Dolo, lecz przyjdzie ci jeszcze pokonać wiele przeszkód, nim odzyskasz ukochanego. Znałyśmy twe losy, lecz nie twe uczucia, bowiem u śmiertelnych są zawsze niepewne i zmienne. Każda świekra byłaby szczęśliwa, mając taką jak ty synową, więc i ja nie narzekam. Skoro taka twa nieprzeparta wola, pójdziesz za krwawy Dunaj do Nawii, lecz najpierw pomożesz nam przy pracy. Wówczas powiemy ci, dokąd iść i jak masz postępować.

Dola chętnie pomogła Prządkom, wierząc, że zdołają odmienić jej los. Sama lubiła przedzenie, toteż robota szła jej lekko i łatwo, chociaż wnętrza chatek okazały się skrywać mnóstwo kręcących się nieustannie wrzecion. Przy okazji dowiedziała się, że srebrna nici przeznaczona jest tym, których los jest niestały i zmienny niczym wciąż odmieniający swą postać księżyc. Złote nici wyplatane były dla tych, którym przypisano wielkie czyny oraz szczęśliwe, dostatnie życie. Miedziane, jak powiadomiła ją oschle trzecia tkaczka, przypisano nędzarzom, których żywot miał być wypełniony ciężką pracą. Najbardziej jednak zadziwiła młodą kobietę jej własna

nić, która przewijała się z jednego wrzeciona do drugiego, zda się nieskończenie, tęczoowo połyskując, była bowiem złoto-srebrno-miedziana.

Gdy nadszedł czas rozstania, boginie podarowały wdowie trzy wrzeciona z naplecionymi na nie trzema rodzajami nici i trzy metalowe obręcze, każdą z innego kruszcu. Pouczyły ją, co ma z nimi zrobić i pobłogosławiły na drogę.

Dola znów siadła na zebra, który chyżym pędem zaczął przemierzać napowietrzne przestrzenie. Wtem, na granicy światła i cienia, gwałtownie obniżył lot. Wylądowali na jałowym szarym polu porośniętym suchymi ostami i osypanym popiołami. Błądziły po nim na pół przezroczyste mary w mglistych łąchmanach. Były to widma złoczyńców, którzy nie dostąpili łaski wypoczynku na błoniach Wyraju, bo popełnione za życia złe czyny uwięziły ich na zawsze w otchłani. Pojawiały się jedynie na granicy wzroku, a znikwały, gdy się spojrzano na nie wprost.

Małżonka Króla Węży zsiadła z kudłatego zwierza, który stał jak wryty, trwożnie porykując i kręcąc niespokojnie łbem.

– Tu kończy się nasza wspólna droga – rzekła do niezwykłego wierzchowca, czochrając go pieszczotliwie za kosmatym uchem. – Dalej czeka już tylko śmierć. Samotnie muszę iść nad Dunaj pomiędzy mary. Wracaj do swego pana i pozdrów go od tej, która poświęciła życie dla miłości.

Żubr parsknął na pożegnanie, zawrócił i pobiegł do świata żywych, prędko znikając we mgle.

Kiedy straciła go z oczu, założyła, jak radziły Prządki, trzy obręcze: miedzianą na nogę, srebrną na ramię i złotą na szyję. Potem, trzymając przed sobą trzy wrzeciona z niemi jak ochronne znaki bojowe, ruszyła w stronę krwawego Dunaju, toczącego swe mętne, ciemnoczerwone wody wśród osypujących się z brzegu popiołów. Mary osaczały Dolę łakomie, zmiarkowawszy, że mają do czynienia z żywą istotą obleczoną w smakowite i tętniące gorącą krwią ciało. Nie śmiały jej jednak tknąć, odpychane czarodziejską mocą bożych darów. Młódka starała się nie

zważać na zjawy, by nie skonać

ze strachu, toteż wbijała wzrok w cel wędrówki: posępną rzekę na granicy zaświatów.

Stanąwszy na brzegu, wypowiedziała wyuczone zaklęcie i trzykrotnie powtórzyła imię straszliwego Przewoźnika, który z woli bogów przepuszczał nielicznych wybrańców do Wyraju.

Ujrzała po chwili, jak z czarno-szarych gęstych mgieł snujących się nad powierzchnią rzeki wynurza się spora łódź zrobiona z kości, włosów i ścięgien tych mężów poległych na polu walki, których nikt nie pogrzebał. Łódź prowadził olbrzym spowity w czarną szatę z kapturem, spod którego lyskało czerwienią jedyne oko. Palił się w nim żar stosów pogrzebowych. Za ster służył mu wielki i ciężki miecz pokryty jadowitą śniedzią i ziemią cmentarną. Niektórzy powiadają, iż Przewoźnik należał niegdyś do zastępu Perunowych wielkoludów, a stracił jedno oko w bojach z siłami mroku, po czym przepadł w Nawii. Inni jednakże mówią, że to sam rogaty pan wciela się w ową postać, gdyż lubi napawać się strachem żywych i umarłych. Nie wiem, jaka jest prawda, a nie przystoi mi samowolnie objaśniać zagadek zaświata.

Przybił do brzegu. Wyglądał niczym wielki słup czarnego dymu. Łypnął na żywą kobietę tak złowrogo, że cała zadrżała, mimo to, przełamując strach, ruszyła w stronę łodzi, której upiorna burta z kości majaczyła w półmroku otchłani.

– Co tu robisz, niewiasto? – zahuczał Przewoźnik głosem tak głuchym, jakby dobywał się z głębi kurhanu. – Odkąd to żywe żony przychodzą po zmarłych mężów? Wracaj do swego świata, dopóki jesteś cała!

Dola nie zwróciła uwagi na pytania ani na groźbę. W milczeniu zatknęła trzy wrzeciona za pas i zaczęła się wdrapywać na burłę, drżąc przy tym z odrazy, gdy jej dłonie i stopy ślizgały się po okrwawionych ludzkich kościach. W końcu zdołała zacisnąć dłonie na krawędzi burty. Jeszcze tylko jeden wysięk i znajdzie się w łodzi...

Olbrzym długą chwilę obserwował działania żywej kobiety. Z podobną

ciekawością przypatrywały się Doli snujące się nieopodal mary. Gdy zobaczyły, że za chwilę niewiasta wypełni swój zamysł, zawyły dziko z radości i rzuciły się ku łodzi, widząc w tym szansę przedostania się do lepszego świata.

Wówczas ponury przewoźnik rozgniewał się nie na żarty. Uniósł miecz i bez wahania począł rąbać wyciągające się ku burcie ręce. Najszybsze widma, które umiały się wspiąć na pokład prędzej niż żywa istota, rozrąbywał na pół albo nawet siekł na kawałki.

– Precz, złoczyńcy! – wrzeszczał bezlitośnie. – Nie dla was łaki Wyraju! Wieczne skowytanie w otchłani – oto wasza dola!

Nieszczęsne okaleczone mary jeszcze długo potem zbierały z brzegu swe bezcielesne cząstki, a nad wodami rzeki unosiły się ich przenikliwe jęki, zawodzenia i narzekania.

Strażnik ciął także w rękę Doli, która właśnie się podciągała na burtę. Żelazo broni zadzwięczało, odbijając się od srebrnej obręczy.

Przewoźnik ryknął zdumiony, lecz nie zamierzał ustępować. Gdy kobieta postawiła stopę w łodzi, ciął nieproszonego gościa w nogę. I znów się zawiódł, gdyż ostrze zatrzymało się na miedzianym pierścieniu.

Zmieszany strażnik odwrócił się bez słowa od dziwnej podróżniczki i skierował łódź na środek nurtu, by popłynęła w dół z prądem.

Długo podróżowali krwawą rzeką w całkowitym i strasznym milczeniu, lecz kiedy z mgieł zaczęły się wyłaniać niewyraźne zarysy Welesowej siedziby, Przewoźnik nagle odwrócił się i trzeci raz ciął, chcąc zdjąć kobiecie głowę z karku. Złoty naszyjnik zadzwonił w grobowej ciszy, chroniąc szyję Doli. Miecz pękł na dwie części, a sam olbrzym, tracąc równowagę po nieudanym zamachu, runął do wody i po chwili skryły go rdzawe fale. Zniknął, lecz nie znaczyło to wcale, że umarł na dnie rzeki, bo taka jest natura wszystkich istot w Nawii: to co dawno martwe, nie może umrzeć.

Kościanna łódź sama dopłynęła do brzegu. Dola stanęła u wrót Czarnego Zamku znajdującego się w najgłębszych czeluściach Nawii. Żaden żywy człowiek, olbrzym ni nawet jasny bóg nie wkroczył wcześniej w progi tej budowli. Pierwszą osobą, która miała tego dokonać, była córka wieśniaka, wybranka Króla Węży.

Zakołatała trzema wrzcionami w spiżową bramę. Po dłuższej chwili otworzyła się we wrotach niewielka klapka, przez którą spojrzano na nią niezycliwie kaprawe oko staruchy. Była to zmora Śmiercicha, która, jak może pamiętacie, została klucznicą w niezdobytej twierdzy mroków.

– Czemu się tak dobijasz? – zaskrzeczała niechętnie. – Czego szukasz w samym sercu ciemności? To nie miejsce dla ciebie, dziecino. Dopóki nie umarłaś, przeznaczone ci jasne, słoneczne pola, nie te jałowe niwy.

– Otwórz mi, zmoro – poprosiła grzecznie wdowa. – Pragnę złożyć ci dar.

– Jaki znów dar? – zawyła szyderczo jędza. – Jedynym darem, jaki przyjmuję od ludzi, jest ich życie. Jeszcze nie nastał twój czas, krasawico. Odejdź stąd, pókim dobra.

– Chcę też prosić o łaskę Welesa. – Nie ustępowała Dola. – Błagać, by oddał mi męża.

– Ho, ho, widzicie ją, czego to się zachciewa! – syczała starucha. – Nasz pan ma zbyt wiele zajęć, by wysłuchiwać próśb ludzkiej wdowy. Okazał już wystarczająco wiele łaski, skoro pozwolił ci dojść żywej aż tutaj. A przecież całą Nawię ma na głowie, odkąd jego brat żmij zasnął.

– Właśnie o niego mi chodzi. – Podchwyciła bystro kobieta. – Żmij Trygław jest moim mężem. Chcę go raz jeszcze zobaczyć, bo nie umiem bez niego żyć.

– Zaczekaj więc u bramy, aż umrzesz. Żmij śpi snem nieprzespanym i nie należy go nękać niewieścim płaczem.

Posiedzisz przed bramą długo, bo jesteś młoda i zdrowa.

Za to po śmierci szybko zgnijesz. Takie są prawa Nawii i taka kara dla żywych

za niedozwolone wdarcie się do krainy umarłych. Twoja oskórowana czaszka przyozdobi dziób łodzi Przewoźnika, by odstraszać innych śmiałków. Umrzesz z głodu, a nie jest to śmierć zbyt przyjemna, lecz kto powiedział, że śmierć ma być przyjemna? – dorzuciła chichocząc. – Was, śmiertelników, stworzono po to, abyście często cierpieli, bo bez tego nie cenicie radości życia.

Klapka w wierzejach zatrzasnęła się ze złowieszczym hukiem i znów zapadła przytłaczająca cmentarna cisza.

Dola uznała dalsze dobijanie się do bramy za bezcelowe, toteż przysiadła na zamkowym progu i zaczęła snuć miedzianą nić, która zaśpiewała swoją posępną pieśń. Po jakimś czasie, tak jak się tego spodziewała, klapka znów się rozwarła i rozległ się drżący głos staruchy:

– Cóż to za urocze, miłe dla ucha dźwięki wydaje twoja nić? Przypominają mi się młode lata, gdy byłam ubogą i niezbyt ładną służką Marzanny! Daj mi wrzeczono pełne tej nici, a zapłacę czym chcesz!

– Jedyłą zapłatą, jaka przychodzi mi na myśl – odrzekła przebiegle niewiasta – jest wpuszczenie mnie za bramę, abym chociaż przeszła się po ścieżkach waszego kryształowego ogrodu, o którym cuda słyszałam. Chcę odwiedzić miejsca, w których przebywał mój zmarły mąż.

– Dobrze, wpuszczę cię – zdecydowała jędza, uchylając bramę – lecz tylko do ogrodu i nigdzie więcej.

– Nie chcę niczego więcej – zapewniła układnie Dola, czym prędzej wkraczając do wionącej cmentarnym chłodem sieni i oddając kądziel zморze.

Choć zamek był ponury niczym ogromny grobowiec, niewiasta musiała przyznać, że skrzący się kryształami ogród był istotnie urzekający, choć zimny i martwy jak wszystko w owej krainie. Rozsiadła się na szklanej ławie i zaczęła snuć srebrną nić, a ta rozbrzmiała kuszącym rusałczym śpiewem.

Nie trzeba było długo czekać, by Śmiercicha znowu się pojawiła.

– Twoje srebrna nić śpiewa jeszcze przyjemniej, duszko – zaskrzeczała przymilnie.
– Dzięki niej wspomniałam noc księżycową, podczas której zadusiłam we śnie mego bogatego, lecz nieużytego męża. Biesy porwały mnie wtedy żywcem do Nawii i w nagrodę za tak odważny czyn Weles uczynił mnie zmorą. Ech, łza mi się w oku kręci... Byłam wtedy jeszcze młoda, więc hulałam po świecie z biesami, wilkołakami. To były czasy! Nie wrócą już tamte szalone lata... Czego chcesz za tę nić? Od razu mówię, że do komnaty uspionego żmija na pewno cię nie wpuszczę! – zastrzegła czujnie.

– Rozumiem i wiem, że żądać tego to za wiele – odparła Dola. – Chciałabym jednak zobaczyć jeszcze salę, w której Trygław biesiadował ze swymi braćmi. Tego pan zamku nie wzbronił? – spytała znacząco.

– Nic nie mówił o sali biesiadnej – przyznała klucznica. – Dobrze, zaprowadzę cię tam, bo jest jeszcze wspanialsza niż ogród. Lecz ani kroku dalej!

– Mądre niewiasty wiedzą, gdzie ich miejsce – oznajmiła Dola z czarującym uśmiechem.

Zmora zaprowadziła ją do tonącej w półmroku wysokiej sali, po czym oddaliła się spiesźnie, by nacieszyć się nową zabawką.

Nawet w świetle zaledwie paru łuczyw biesiadna komnata oszołamiała. Wielkie wrażenie wywierały zarówno strop ozdobiony wspaniałym malunkiem Chorsa i jego wilka na tle nocnego nieba, jak i rzeźbione ściany, z których ziały smocze paszcze, jak też wreszcie posadzka z mozaiką ułożoną w kształt trójgłowego żmija. Podobnie cudne były podtrzymujące stoły i ławy posążki różnych podziemnych stworów.

Dola przysiadła na ławie i zaczęła snuć złotą nić, której słodka, radosna pieśń przywabiła zmorę niczym miód kwiatu przyciąga pszczołę.

– A to mi precudne pienie! – zakrzyknęła, klaskając w szponiaste dłonie. – Przywołuje wspomnienie całkiem niedawnych czasów, gdy za wstawiennictwem mego rogatego pana byłam w Wyraju odźwierną. Wspaniałe czasy!

Otwierałam wtedy złotą bramę dla Swarozyca i Chorsa, a bogowie liczyli się ze mną. Miałam wygodne życie, dopóki nie wygryzła mnie ta spryciara, rozpieszczona córunka Strzyboga. Słyszałam jednak, że ojciec srodze ukarał ją za nieposłuszeństwo! I dobrze jej tak! Oddaj mi złotą nić, bym mogła wspominać czas, kiedy byłam szczęśliwa w złotym dworze.

– Oddam – oświadczyła małżonka Żmija Trygława – jeśli pozwolisz mi popatrzeć przez chwilę, jedną króciutką chwilkę, na utraconego męża.

– Ha, z tym będzie prawdziwy kłopot. – zasępiła się zmora. – Weles nie pozwala nikomu tam wchodzić.

– Lecz nie zabronił nikomu patrzeć? – podchwyciła niewiasta.

– Nie, tego nie zabronił – przyznała starka. – Kazał złożyć brata w skarbcu, mówiąc, że żmijowy bóg jest dla Nawii największym skarbem. Chodź ze mną, pozwolę ci spojrzeć na niego, ale tylko przez mgnienie oka.

– Nawet to będzie dla mnie nagrodą – stwierdziła Dola, drżąc z przejęcia.

Śmiercicha, zrzedząc i gderając, zaprowadziła natrętą proszącą do najgłębszej jamy pod zamkiem, po czym otworzyła kluczem podwoje skarbcza.

Podziemne skarby nie zajęły uwagi Doli, bowiem ujrzała swego małżonka w ludzkiej postaci, spoczywającego na stosie złota i klejnotów, ulubionym smoczym posłaniu. Nie zważając na staruchę, podbiegła czym prędzej do niego i wycisnęła na białych, zimnych wargach ognisty pocałunek.

– Co wyprawiasz, szalona?! – zgrzytnęła zmora. – Pan zabronił...

– Teraz nie może już nam niczego zabronić – odrzekła młoda niewiasta, widząc, że jej mąż wraca powoli do życia.

Trygław otworzył złote gadzie oczy i rozejrzał się nieprzytomnie. Gdy wszakże rozpoznał klęczącą przy nim Dolę, twarz mu zapłonęła i poderwał się szybko z posłania.

– Spałem chyba długo – stwierdził niepewnie, otrząsając się z resztek zamroczenia

– skoro tymczasem umarłaś i mnie nawiedziłaś.

– Jestem żywa tak jak i ty – zawołała, tuląc się do niego. – Miłość przewyciężyła śmierć.

– Miłość i poświęcenie – odparł Trygław, przybierając swoją właściwą postać. – Czy zechcesz mnie teraz takiego, jakim jestem naprawdę?

– Bardziej niż kiedykolwiek – oświadczyła Dola, otaczając ramionami trzy zmijowe głowy wijące się na jej łonie: miedzianą, srebrną i złotą. – Teraz i na wieki.

– Miło słuchać, jak tak sobie gruchacie, gołąbeczki, lecz muszę wracać do moich zaczarowanych nici – rzekła zmora, wycofując się ze skarbcza. – Kochajcie się do woli, nikt wam

tu nie przeszkodzi, bo inaczej będzie miał ze mną do czynienia. Weles mówi wam dobranoc.

Zatrzasnęła za sobą wrota skarbcza, a rozradowani małżonkowie słyszeli jeszcze przez chwilę jej chichot i oddalający się odgłos kroków.

Tak kończy się opowieść o Doli i jej niesamowitym małżonku, a także o trudach, jakie zniosła, by go odzyskać. Z woli Welesa stała się nieśmiertelną boginią. U boku Trygława jest panią zaświata, wspomaga też Przędki w wyplataniu boskich i ludzkich losów.

Pytacie, jaka w tej baśni mądrość? Każdy w niej znajdzie coś dla siebie, ja jednak zaklinam was, młodzi: szanujcie wolę bogów i dolę wam przypisaną, lecz walczcie o swoje szczęście nawet wtedy, gdy wydaje się, że umarła ostatnia nadzieja.

Śmierć zawsze zwycięża życie, ale życie codziennie przewycięża śmierć. Kołowrót dziejów kręci się bezustannie, a z naszych popiołów rodzi się nowe istnienie. Każdy koniec jest nowym początkiem. Dzięki temu sprawiedliwi z Ludu Słowa odchodzą do Nawii w poczuciu dobrze spełnionego żywota, który jest darem bogów – podobnie jak śmierć, ostatnia pocieszycielka znękanym dusz.

Z zapisanej przez Antoniego Glińskiego baśni o królewiczu-smoku bez trudu można

wytuskać ogólnoeuropejskie elementy mityczne, takie jak podziemny bóg zaklęty w żmija/smoka, trzy boskie Prządki na krańcu świata, podróż w zaświaty przez krwawe wody. Na pierwszy plan wybija się jednak fundament owej baśni: historia o wiejskiej dziewczynie poślubiającej Króla Węży, znana i opowiadana w przeróżnych wersjach na polskich ziemiach od morza do gór. Król Węży z przekazów tatrzańskich jest według religioznawcy Andrzeja Szyjewskiego późną, baśniową inkarnacją Żmija/Welesa.

Filozof i pisarz Wojciech Dzieduszycki ładnie nazwał bohaterkę poślubiającą wężowego władcę „słowiańską Psyche”, uwiecznił ją też na kartach swego arcyciekawego, niestety zapomnianego poematu *Baśń nad baśniami* (1889 rok). Z tego właśnie dzieła zaczerpnąłem niektóre motywy fabularne i drobniejsze pomysły, jak imię Nija, ojca głównej bohaterki, gdyż dobrze określa ono kontakty tej postaci z podziemnym światem.

Bliska wierzeniom słowiańskim mitologia Bałtów (w tym wypadku chodzi o przekazy jaćwieskie i litewskie) zna pokrewną opowieść: o pięknej Egle i królu jezior Żaltisie, zapisaną po raz pierwszy przez Oskara Kolberga nad Czarną Hańczą w 1867 roku.

Przewoźnik wybranych dusz z Nawii do Wyraju występuje we wspomnianym poemacie Wojciecha Dzieduszyckiego, który przypuszczalnie zaczerpnął tę postać (podobnie jak historię o trzech obręczach) z baśni Antoniego Glińskiego o królewiczu-smoku. Łódź promowa w zaświaty jest charakterystycznym motywem mitów greckich i germańskich, w baśniach słowiańskich pojawia się jedynie szczątkowo. Grzegorz Niedzielski w artykule *Nija – pan zaświatów* (zamieszczonym na stronie BogowiePolscy.net) sugeruje, że rolę przewoźnika dusz mógł w wierzeniach słowiańskich pełnić pan księżycyca – wtedy „łodzią umarłych” byłby sam księżyc. Opiera swoje przypuszczenie na ustaleniach Ireny i Krzysztofa Kubiaków, którzy w książce *Chleb w tradycji ludowej* stwierdzili: „U Słowian powszechną była opinia wiążąca księżyc z wodą. W okresie, gdy jest on na nowiu, przebywa on w wodzie lub świeci umarłym. Ci, by dostać się do krainy śmierci, przekraczają rzekę lub wielką wodę”. Pozwoliłem sobie zatem zachować ten śladowy motyw jako element znakomicie ubarwiający fabułę, choć nie

w pełni udowodniony źródłowo.



O TROJANOWYCH CZARACH ORAZ O PRZYWRÓCENIU BLASKU KSIĘŻYCOWI

Historię tę opowiedział mi zalany w pestkę wołchw, ruski czarownik, podczas suto zakrapianej tryzny po śmierci wielkiego kniazia. Nie sądzę, żeby zmyślił ją na poczekaniu, lecz być może ubarwił, bo mocny trunek często daje natchnienie. Zostało nam jeszcze trochę piwa?...

Na skraju bezkresnego stepu stał wielki kurhan skrywający szczątki wodzów i wojowników jakiegoś zapomnianego wędrownego ludu. Zwyczajni ludzie bali się doń podchodzić, zwłaszcza po nocy, nie chcieli bowiem stać się karmą mieszkających wewnątrz mogiły upiorów. Tajemniczy kopiec przyciągał za to wieszczków i zamawiaczy, którzy czerpali z niego moc.

Zdarzyło się pewnego razu, że trzech guślarzy będących braćmi trojakami rozpalilo na szczycie kurhanu wielki ogień. Sypiąc węń popioły zmarłych i starte na proszek czarodziejskie zioła, prosili swego pana Welesa, by dał im znak łaski i natchnął wieszczym szaleństwem. Modlili się o to całą noc, a płomienie buchały, lecz milczały, potrzaskując tylko niezrozumiale. Nad ranem bracia posnęli znużeni, byli już bowiem wiekowi.

Gdy wstał dzień i Tarcza Swarozycy zajaśniała na niebie, przebudziło wieszczków kwilenie niemowlęcia. Poderwali się z ziemi i uradowali wielce, ujrawszy dziecię leżące wśród popiołów dogasającego ogniska. Żar się go nie miał, chłopiec gaworzył bowiem wesoło, przebierając rączkami w dymiących węgielkach. Po chwili obrzucił starców spojrzeniem nad wiek rozumnym. Gdy ujrzeli jego zielone oczy przetykane żyłkami złota, mieniające się jak skarby w mrocznej jaskini, zrozumieli, że dziecię jest darem władcy podziemi. W jednej chwili przypomnieli sobie głos, który wszyscy trzej

usłyszeli we śnie. Dobiegał z przepastnej otchłani i powierzył guślarzom wielkie tajemnice oraz napełnił ich potężną czarodziejską mocą. Dzięki niemu zrozumieli też, jaki jest cel życia chłopaczka i jakie mroczni bogowie wyznaczyli mu posłannictwo.

Starcy byli braćmi trojakami, zrodzonymi jednej nocy z jednego łona, postanowili więc nazwać chłopca Trzechsynem, w skrócie zaś wołali nań Trojan.

Czy tak było naprawdę? A cóż to jest prawda? Czy to, co mówi większość ludzi? Czy może to, co wiedzą jedynie wybrani? W każdym razie trzej wieszczkowie właśnie w taki sposób po latach tłumaczyli podopiecznemu, skąd wziął się na świecie, on zaś nie miał innego wyjścia, jak im zawierzyć.

Zabrali dziecko do swego domostwa, które urządzili w ruinach opuszczonego dworzyszczka na skraju boru. Zwykli wieśniacy omijali to miejsce z daleka, twierdząc, że jest nawiedzone. Lękali się mar okrutnych władcyków, które snuły się wśród spróchniałych, pochylonych ścian. Guślarzom jednak, na co dzień odprawiającym obrzędy pogrzebowe, towarzystwo duchów wcale nie przeszkadzało, a nawet było im miłe. Często z nimi rozmawiali, zgłębiając istotę pośmiertnego bytowania i ucząc się pradawnych zaklęć.

Bracia nie mieli krów ani owiec, nie uprawiali też roli ani nie parali się myślistwem, lecz na niczym im nie zbywało, gdyż okoliczni mieszkańcy składali na pobliskich rozstajach dróg owoce swej pracy, by zaskarbić sobie przychyłność czarodziejów i ich pomoc w nagłej potrzebie. Wieszczkowie nie mieli jednak pod dostatkiem świeżego mleka dla dzieciątka, dlatego mocą czarów sprawili, że jednego dnia karmiła je wilczyca, drugiego niedźwiedzica. Na takim mleku chłopak rósł krzepko i zdrowo, rozwijając się szybciej niż zwykłe ludzkie dzieci.

Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku Trojan rósł i męźniał, aż stał się chwackim i rezolutnym młodzieńcem.

Gdy guślarze uznali, że podopieczny może samodzielnie sobie radzić i zdoła

zadbać o domostwo, zaczęli go zostawiać na gospodarstwie, gdy wyruszali na wędrówki po bliższej i dalszej okolicy w swoich tajemnych sprawach. Trojan omiatał chatę i całą zagrodę, uzupełniał zapasy w spizarni, bez lęku rozmawiał z duchami oraz leśnymi zwierzętami, które zachodziły doń czasem z lasu i garnęły się do młodzika, jakby przyciągane tajemną siłą. Gdy zaś wyczuwał, że przybrani ojcowie wracają, nakrywał do stołu w świetlicy, by mogli się posilić po długiej podróży.

Pewnego razu, gdy znów został sam, wyszedł przed dom i zobaczył coś niezwykłego. Snujące się zazwyczaj po obejściu duchy zaczęły się zlatywać, a następnie gromadzić przy wejściu do loszku wykopanego w pobliskim wzgórku. Do tej pory guślarze zabraniali chłopakowi tam zaglądać, ostrzegając, że jama jest ciemna oraz wilgotna, mógłby więc pośliznąć się na kamiennych schodkach i zrobić sobie krzywdę. Trojana zaciekawiło jednak nadzwyczajne zachowanie widm, które wyraźnie łaknęły czegoś, co znajdowało się w piwnicy. Sam się sobie dziwił, że dotychczas nie przyszło mu nawet do głowy, by złamać zakaz guślarzy i samemu się przekonać, co kryje się w głębi pagórka. Wszystko w życiu ma swój czas, a wyrostek dojrzał właśnie do samowoli.

Ruszył zdecydowanym krokiem, odganiając natrętne mary, i wnet stanął u wejścia. Chociaż nie znał lęku, nie zbywało mu na ostrożności, najpierw więc przyłożył ucho do drzwiczek. Usłyszał szelest skrzydeł, chrobot pazurów i ciche pohukiwanie. Domyślił się, że w loszku musi być uwięziony ptak. Zżerała go ciekawość, jakiego czarodziejskiego stwora ukrywają przed nim opiekunowie, chwycił więc za żelazną zasuwę i nie bez trudu ją odciągnął. W końcu przeszkoda poddała się, a ciężkie drzwiczki uchylły, zgrzytając przeraźliwie na zardzewiałych zawiasach.

Zajrzał śmiało do środka, wbijając wzrok w mrok gęsty jak smoła. Nie potrzebował krzesać światła, bowiem, jak każde dziecko nocy, znakomicie widział w ciemnościach. Ujrzał, że w głębi pustej piwniczki błyskają wielkie okrągłe oczy

należące niewątpliwie do sowy. Istotnie, siedziała na ziemi nastroszona, machając bezradnie skrzydłami i podfruwając chwilami pod strop.

Gdy spotkały się spojrzenia chłopca i nocnej łowczyni, ta odezwała się ludzkim głosem:

– Wleciałam tu zeszłej nocy w pogoni za myszą, a gospodarze zamknęli mnie przypadkiem. Wypuść mnie, proszę, młodzieńcze, bo tęsknię za swoją dziuplą i leśną swobodą. Wynagrodzę cię za to sownie.

– Tak? A cóż możesz mi dać, sowo?

W istocie Trojan miał dobre serce i tak czy siak wypuściłby ptaka, lecz zaciekała go obietnica nagrody.

– Nauczę cię mowy drzew – oznajmiła sowa. – Nie mów jednak o tym opiekunom, bo dojrzałeś, by mieć własne sekrety. Jeśli zachowasz tajemnicę, zachowasz także nabytą moc.

Młodzieniec zgodził się i wysłuchawszy pouczeń ptaka, wypuścił go na wolność, po czym zamknął starannie drzwiczki.

Następnego dnia guślarze wrócili i zasiedli do obiadu. Nie wypytywali wychowanka o gospodarskie sprawy, gdyż znaleźli wszystko w najlepszym porządku, a i on trzymał język za zębami.

W ciągu następnych dni życie toczyło się zwyczajnym trybem i chłopak niemal zapomniał o zdarzeniu, choć korzystał z cennego daru, który ofiarowała mu wdzięczna sowa. Chodząc skrajem lasu, wsłuchiwał się w szum drzew, coraz lepiej rozumiejąc ich mowę. Trzej starcy jakby tego nie zauważali i nie wypytywali podopiecznego o jego samotne przechadzki, nie dziwili się także, czemu wraca z nich zadumany.

Siedem dni później guślarze znów wybrali się w drogę, zostawiając Trojana samego.

Sprawdzając obejście, chłopak czuł przez skórę, że znowu wydarzy się coś

nadzwyczajnego. Istotnie – po chwili dostrzegł, że domowe mary znów kłębią się u wejścia do loszku, oblepiając je niczym pszczoły barć. Odgonił je słowem mocy i przyłożył ucho do drewna. Czyżby kolejna sowa została uwięziona w podziemiu?

Tym razem usłyszał za drzwiami chrobot pazurów daleko większych niż ptasie, szelest sierści i ciche porykiwanie. Oznaczało to, że piwniczka gościła tym razem grubszego zwierza.

Trojan uchylił drzwiczki i zobaczył wielkiego, czarnego niedźwiedzia.

– Nie wiem, jak wpadłem w tę jamę, chyba za sprawą czarów – zaryczał zwierz. – Wspiąłem się na drzewo do pszczelej dziupli, by się najeść słodkiego miodku. Nagle rój pszczół mnie ogarnął, pociemniało mi w oczach, spadłem z pnia i znalazłem się tutaj. Puść mnie do lasu, dobry człowieku, a nie pożałujesz.

– Co dostanę za tę przysługę? – spytał młodzian.

– Nauczę cię mowy kamieni – sapnął miś. – Tylko zachowaj tę wiedzę dla siebie.

Chłopak się zgodził i wypuścił niedźwiedzia, który prędko zniknął w leśnej gęstwinie, rycząc z wdzięczności.

Kiedy przybrani ojcowie wrócili, znów nie zważali na zmianę, jaka zaszła w podopiecznym. Nie dopytywali, czemu siada wśród kamieni i duma nad czymś całymi godzinami. Trojan zaczął jednak w końcu podejrzewać, że guślarze igrają z nim i wiedzą wszystko, pozornie tylko niczego nie zauważając. Domyślał się, że jest to jakaś próba, toteż tym bardziej pilnował się, by nie zdradzić tajemnicy. Na usta cisnęły mu się rozliczne pytania, wytrwał jednak dzielnie w milczeniu, co poszło tym łatwiej, że starcy nie byli z natury zbyt rozmowni.

Chłopak oczekiwał z niecierpliwie bijącym sercem, aż wyruszą na kolejną wędrowkę, przeczuwał bowiem, że czeka go kolejna niespodzianka. Gdy tylko opiekunowie opuścili zagrodę, skierował kroki do loszku i jak zwykle przeganiając ciekawskie mary, przyłożył ucho do drzwi.

Dały się słyszeć różne odgłosy: znane mu chrobotanie pazurów, ale tym razem

jeszcze większych, łopot ogromnych skrzydeł, wreszcie syczenie. Syczenie głośniejsze niż zwykle wydaje rozdrażniona żmija, do tego dochodzące jakby z paru gardeł naraz. A może to piwniczne echo zwielokrotniało dźwięki? Czyżby w lochu krył się wielki nietoperz krwiopijca albo stado skrzydlatych gadzin?

Trojan poczuł po raz pierwszy w żołądku zimne dotknięcie strachu, gdyż obawiał się, że układy z mrocznym potworem mogą nie pójść tak gładko jak z poprzednimi istotami. Ciekawość jednak przeważała i ponownie uchylił drzwiczki, choć z duszą na ramieniu.

Zdumiał się, widząc pierwszy raz w życiu żmija latawca, stwora dwa razy większego niż niedźwiedź. Stwór kręcił niespokojnie wielkim trójkątnym łbem mieniącym się na przemian miedzianymi, srebrnymi i złotymi łuskami. Nie próbował rozkładać wielkich skórzastych skrzydeł, bo nie pomieściłyby się w ciasnym wnętrzu, były zatem całkiem bezużyteczne. Popatrywał jednak dosyć życzliwie na wybawiciela i wyciągał w jego stronę rozwidlony język, jak gdyby pragnąc ocenić, na ile człowiek mu zagraża.

– Ludzcy czarodzieje miewają czasem dziwne poczucie humoru – odezwał się w końcu. – Śmigąłem sobie swobodnie po niebie, wypatrując planetników, których mógłbym wyzwąć do walki, gdy nagle trzech stojących na ziemi staruszków uniosło dłonie, wypowiedziało słowa mocy i spętało mnie czarodziejską siecią. Dzięki niej ściągnęli mnie na dół i uwięzili w tej jamie. Wypuść mnie, młody człowieku, a będę ci bardzo wdzięczny – zasyczał kusząco. – Bardziej niż sobie wyobrażasz.

– Doprawdy? Mam bardzo bogatą wyobraźnię. Co możesz mi dać za wolność?

– Nauczę cię mowy kruszców – obiecał solennie żmij. – Złoto, srebro, miedź i żelazo będą do ciebie przemawiać, a ty zawsze będziesz wiedział, gdzie ich szukać. To chyba wystarczająco hojny dar?

– Rzeczywiście, trudno się oprzeć – przyznał uczciwie chłopak.

Gdy tylko latawiec wypełził z loszku, ciągnąc długą cielsko na krótkich

pazurzastych łapach, rozpostarł wielkie skrzydła i odleciał, niknąc powoli wśród sinych deszczowych chmur, Trojan wyczuł za plecami obecność opiekunów. Nie zdążył się nawet nacieszyć świeżo nabytą wiedzą ani wystraszyć, że czarodzieje ukarzą go za wypuszczenie z pułapki magicznego stwora, gdy jeden z nich odezwał się łagodnie:

- Skończył się czas prób, Trojanie. Wszystkie przeszedłeś pomyślnie.
- Okazałeś wielkie serce i chęć pomocy skrzywdzonym – dodał drugi guślarz.
- Umiesz także dochować tajemnicy – dorzucił trzeci.
- Jesteś już dość silny i mądry, by ruszyć w świat – podjął pierwszy, wręczając mu podróżny kostur i węzełek z jedzeniem.
- A iść masz daleko, za lasy, za góry – rzekł drugi, dając mu gęśliki, na których nauczył go w swoim czasie przygrywać.
- Do końca dnia musisz dotrzeć nad morze. Jeśli ci się uda, wtedy zrobisz tak i tak – pouczył go trzeci brat, przypasując młodzianowi sakiewkę ze złotem.

Ledwie to powiedzieli, zamienili się w trzy słupy dymu, te zaś się rozproszyły, a całe nawiedzone domostwo zatrzęszczało, zachwiało się i rozpadło w pył. Uwolnione mary z radosnym piskiem uleciały do Nawii.

Trojan stał chwilę zadumany, wpatrując się w szare zgliszcza, które prędko rozwiewał wiatr. Dopiero wtedy zrozumiał, że trzej bracia od dawna nie żyją, on zaś przez całe dotychczasowe życie przebywał pod opieką zjaw. Sam jednak był żywy, młody i silny, a musiał także przyznać, że widmowi guślarze dobrze go przygotowali i wyposażyli na dalszą drogę. Pogodził się w końcu z tą dziwną myślą i ruszył na szlak swego przeznaczenia, uznając, że będzie miał jeszcze wiele czasu, by to wszystko przemyśleć. Czekąco go teraz daleko ważniejsze zadanie: musiał wypełnić posłannictwo, wtedy zaś być może uda mu się rozwiązać zagadkę swego istnienia.

Zagłębiwszy się w las, prędko stwierdził, że chyba nie zdoła go przejść. Jedyna wiodąca przezeń ścieżka wiła się jak zdradliwy wąż, wiodąc w coraz głębszą głąsę.

Trojanowi wydawało się, że wciąż widzi te same drzewa i krzewy, potem uświadomił sobie, że któryś raz z rzędu wychodzi na tę samą polanę. Zrozumiał w końcu, iż zablądził i kręci się w kółko. Próbował wsłuchać się w mowę drzew z nadzieją, że uzyska od nich jakieś wskazówki, lecz szumiały nieprzyjaźnie, by nie zakłócał ciszy, jakby chciały się pozbyć natręta. Zanosił się na to, że będzie musiał nocować w puszczy, nie mając wcale pewności, czy kiedykolwiek zdoła przedostać się na jej drugi kraniec.

Usiadł na powalonym, spróchniałym pniu i ciężko westchnął.

– Co cię tak martwi, Trojanie? – usłyszał nad głową znajomy głos.

Zerknął w górę i zobaczył sowę siedzącą na gałęzi. Przypatrywała mu się z prawie macierzyńską troską.

– Jakże mam się nie martwić – odpowiedział ze smutkiem – skoro guślarze kazali mi iść przez las, lecz nie powiedzieli, jak przezeń przejść. Zablądziłem, nie mogę znaleźć wyjścia i chyba tutaj uświerknę.

– To jeszcze żadna bieda – odparł beztrąsko ptak – tylko jej mała częśćka, bo cała prawdziwa bieda jeszcze przed tobą!

– Bardzo pocieszające – zauważył z przekąsem młodzieniec.

– Nikt nie zna tej kniei lepiej ode mnie – oznajmiła sowa. – Wyprowadzę cię na właściwą drogę.

Pofrunęła, a on ruszył za nią. Szli dosyć długo, lecz tym razem Trojan miał wrażenie, że leśna ścieżka się wyprostowała i wiedzie prosto do celu. W końcu zobaczył wśród drzew jasny prześwit. Serce zabiło mu z radości.

Znaleźli się w końcu na przeciwległym krańcu boru, a wówczas sowa wstrzymała lot i przysiadła na najbliższym konarze.

– Tu kończy się nasza wspólna droga – oświadczyła stanowczo. – Dalej musisz sam sobie radzić.

– Bywaj, sowo – odrzekł grzecznie młodzian – i dzięki za pomoc.

– Bywaj zdrów, synku, może się jeszcze spotkamy – zahuczał ptak i odleciał w głąb lasu.

Trojan rozejrzał się i stwierdził, że ma przed sobą rozległe pole – jałowe i całe zasłane kamieniami. Gdzieś na dalekim jego krańcu majaczyły zębate szczyty wysokich gór, osnute mgłami i sinymi deszczowymi chmurami.

Chłopak ruszył przez kamienistą równinę, prosząc głązy, by były mu przyjazne i nie kaleczyły stóp. Te jednak albo milczały głucho, albo potrzaskiwały nieprzychylnie, jakby specjalnie utrudniając mu przejście.

Młody czarodziej był mocno zawiedziony. Pomyślał, że nie dojrzał jeszcze widocznie i nie ma dość mocy, by rozkazywać kamieniom lub może chytry miś go oszukał. A może sami bogowie nie sprzyjali jego posłannictwu?

Choć Trojan miał na nogach wygodne miękkie skórznie, prędko porobiły się dziury w ich podeszwach, a same buty nasiąkły krwią z poranionych stóp. Nienawykły do długich pieszych wędrówek wychowanek guślarzy utykał i szedł coraz wolniej. Wreszcie, zniechęcony, przysiadł na największym głazie pośrodku pola i gorzko zapłakał.

Ujrzał wówczas jak przez mgłę, że od strony lasu sady ku niemu wielkimi susami czarny niedźwiedź, bez trudu rozdeptując ostre kamienie lub czepiając się ich twardymi, pazurzastymi łapami. Zatrzymał się przy chłopcu, chwilę odsapnął i zapytał:

– Czemu płaczesz, młodziku?

– Jakże mam nie płakać, skoro muszę przejść to szerokie gołoborze, a później tamte niebosiężne góry, a już teraz skórznie mam dziurawe, a stopy zakrwawione? Nie dam rady iść dalej, a miałem zajść aż nad morze.

– Nie jęcz jak baba – ofuknął go czarny miś. – To jeszcze żadna bieda, lecz dopiero pół biedy.

– Słyszałem już coś podobnego – stwierdził Trojan, mimowolnie uśmiechając się

przez łązy.

– Widać, że słuchasz starszych – pochwalił zwierz. – Siadaj na mój grzbiet. Zaniosę cię do podnóża gór, lecz dalej będziesz musiał sam sobie radzić.

– Dzięki ci, niedźwiedziu – odrzekł młodzik, sadowiąc się na kosmatym karku. – Dobre i to.

Niedźwiedź zawiózł go na rozległą łąkę pod wielkim skalnym urwiskiem. Trojan zsiadł z niecodziennego wierzchowca, a potem – idąc za radą opiekuna – zanurzył okaleczone stopy w zimnym strumieniu, co przyniosło mu prawdziwą ulgę. Miś, popatrując na chłopaka życzliwie niczym dobry dziadunio na ulubionego wnuczka, powiedział, jakie zioła ma przyłożyć do ran, by szybciej się zagoiły. Potem zawrócił w stronę boru i tyle Trojan go widział.

Młodzieniec odsapnął chwilę, rozciągając się na trawie i wystawiając twarz na słoneczne promienie. Nagle poczuł powiew wilgotnego zimna. Poderwał się, przecierając oczy. Wyglądało na to, że się zdrzemnął, a tymczasem blask Tarczy Swarozycy przysłoniła ciężka deszczowa chmura. Chłopak zmitrężył spory kęs czasu, a w owej chwili, jak często bywa w górach, pogoda się popsuła i przestała mu sprzyjać.

Czym prędzej chwycił kostur oraz tobołek i pobiegł schronić się pod urwiskiem, ale nie zdążył umknąć przed strugami lodowatego deszczu i nim dotarł pod skalny okap, był już przemoczony do suchej nitki. Nie zatrzymało go to jednak, gdyż do dalszego marszu skłaniała go obietnica dana zmarłym opiekunom. Ruszył więc w deszczu, mozolnie wspinając się wąską ścieżką.

Szło mu niesporo, bo nie ćwiczył nigdy górskich wędrówek. W połowie stromego stoku był cały ubłocony, a ręce i kolana miał poranione. Gdy po raz nie wiadomo który potknął się i zjechał na zadku parę łokci w dół po rozmiękłej ziemi i oślizgłych kamieniach, rozłożył się jak długi i zawył z rozpacz.

Wtedy z pobliskiej jamy, rozpylając chmurę iskrzących się kropelek, wychynał

znajomy żmij latawiec.

– Co tak wyjesz jak wilk do księżycy? – zapytał uprzejmie.

– Wyję, bo na nic innego mnie nie stać – odparł z goryczą chłopak. – Muszę znaleźć się po drugiej stronie tych niebosiężnych szczytów i stanąć nad morzem, a tymczasem całkiem opadłem z sił.

– Oj, źle, synu – rzekł zatroskany gad – bo prawdziwa bieda dopiero przed tobą.

– Wiem, już to słyszałem – mruknął Trojan pod nosem. – Chyba nie jestem urodzonym podróżnikiem, ale kiedy miałem się nim stać, skoro dotychczas nie opuszczałem nawiedzanej zagrody? Jak mam przejść to górskie pasmo, aby zdążyć na czas?

– Coś na to poradzimy – oznajmił przychylnie żmij. – Wsiądź na mnie i trzymaj się mocno. Polecimy razem ku morzu.

Chłopakowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Bez namysłu wpakował się na pokryty łuską kark czarodziejskiego stwora, ten zaś rozłożył wielkie błoniaste skrzydła i wzniósł się ku niebu.

Długo lecieli, najpierw nad górkami szczytami, potem nad borami i polami. Odzież chłopaka wyschła tymczasem, smagana gorącymi wiatrami, toteż poczuł się znacznie lepiej i zrobiło mu się weselej na duszy. Nie patrząc w dół, wydobył z węzełka kęs chleba i płat suszonego mięsa, by się posilić. Zaciekawiony żmij obrócił ku niemu łeb, toteż młodzian chętnie podzielił się pożywieniem z latawcem.

Po długim locie usłyszeli wreszcie szum morza i łoskot fal bijących o brzeg. Wylądowali miękko na piaszczystych wydmach, gdzie oko ludzkie nie mogło ich dojrzeć.

– No to jesteśmy na miejscu – stwierdził gad. – Nie zmęczyłem się, nieco jednak zgłodniałem. Zostało ci jeszcze, synu coś do jedzenia?

– Niewiele, lecz dam, co mam – odparł Trojan z wdzięcznością, oddając latawcowi

resztkę jedzenia.

Żmij pochłoniął cały bochenek oraz zapas mięsa za jednym kłapnięciem paszczy i czym prędzej odfrunął, nie czekając na podziękowania. Trojan znów został sam.

Stał chwilę, odprowadzając wzrokiem latawca, który szybko wtopił się w gęstwą szarych chmur nad widnokregiem. Potem młodzieniec zwrócił wzrok ku morzu.

Odetchnął z ulgą, gdy ujrzał na brzegu rybaka sposobiącego małą łódkę i sieci na wieczorny połów. Zdążył zatem przed końcem dnia, tak jak zalecili mu opiekunowie.

Otrzeptał odzież z resztek zaschłego błota i ruszył po przyjemnie rozgrzanym piasku w stronę mężczyzny.

– Bywaj, dobry człowieku – zagaił uprzejmie. – Chcę popłynąć z tobą na morze.

– Ty?! – zdziwił się rybak, spoglądając nieżyczliwie na obcego. – Czego szuka pośród fal szczur lądowy? Widać, żeś nie stąd i nawet nie wachałeś morskiej bryzy. Nocny połów to nie zabawa. Nie przydasz mi się na nic.

– Jak cię zwą, dobry człeku? – Nie dawał za wygraną chłopak.

– A na cóż ci moje imię? – warknął grubiańsko poławiacz, lecz zaraz powstrzymał się od dalszych nieprzyjemnych słów, dojrawszy wypchaną sakiewkę u paska młodzika. – Zwę się Gostomysł, ale we wsi wszyscy wołają mnie Gostek. A ciebie jak zwą, paniczyku?

– Jestem Trojan. I żaden ze mnie panicz, bo wychowali mnie trzej guślarze.

– Ha, guślarze! – podchwycił rybak. – Jesteś więc uczniem czarodziejów? U nas nie ma takich, lecz słyszałem, że żyją za górami, za lasami... Umiesz może zaklinać burzę i wiatr?

– Może i tak – odrzekł poważnie przybysz – choć jeszcze nie próbowałem. Zawsze marzyłem, aby wyruszyć na morze. Zabierz mnie ze sobą, a dobrze zapłacę. Wyjdiesz na swoje, nawet jeśli niczego nie złowisz. – Brzęknął znacząco sakiewką.

– Twoja wola, paniczu – odrzekł układnie Gostek. – Przynajmniej moja żona i

synek najedzą się dziś do syta. Gdy się ma złoto w sakwie, można być nawet szczurem lądowym i zupełnym wariatem – dodał z dziwnie złowieszczym uśmiechem. – Wskakuj na łódź, szkoda czasu na próżne gadki.

Trojan bezzwłocznie wykonał polecenie i zasiadł u steru, pouczony przez towarzysza, jak się nim posługiwać. Gostek wciągnął żagiel i zepchnąwszy łódź na wodę, wskoczył do niej, po czym chwycił za wiosła. Nie musiał się jednak przemęczać, bo od razu złapali pomyślny wiatr. Wydęte płótno załopotowało jak skrzydło żmija latawca i wyniosło dwóch śmiazków na pełne morze.

Gdy znaleźli się w miejscu stosownym na połów, Gostek zwinął nieco żagiel i zatrzymał łódź. Mamrocząc niezrozumiale pod nosem jakieś rybackie zamawiania, sięgnął po sieci. Ledwie pierwszą zarzucił, gdy niebo pociemniało

aż po widnokrąg, morze się wzburzyło, a z północy nadleciały lodowate wichry. Spienione fale łomotały o burty, a wiatry szarpały żagiel, miotając łódką jak łupinką.

– Ha, Strzybóg gniewa się na nas – wrzasnął ze strachem rybak, chwytając kurczowo burzę. – Nigdy nie brałem na swoją łódź obcego, tym bardziej czarownika. Przeczuwałem, że przyniesiesz mi pecha. Poradzisz coś na to, czy mam cię wrzucić do wody? Łatwiej mi będzie wracać...

– Pan morskiego wiatru żąda daniny – odparł spokojnie Trojan – inaczej nici z połowu, ty zaś utoniesz, a twe ciało objedzą ryby.

– Tyle to i ja wiem – odwarknął Gostek z rozczarowaniem. – Tylko z czego złożyć ofiarę? Niczego żeśmy jeszcze nie ułowili.

– Powinniśmy oddać mu to, co mamy najcenniejszego – tłumaczył dalej młody czarodziej.

– Może twoje życie? – Podchwycił zgryźliwie mężczyzna, zerkając łakomie na sakiewkę Trojana. – Rzuć się w toń i po krzyku.

– Cóż morskemu bogowi po moim życiu? Potopił już wielu chrobrych żeglarzy, niepotrzebne mu kolejne zwłoki topielca. Ale złoto nie niszczy w wodzie.

Odpiął od paska mieszki i nim zaskoczony rybak zdążył mu przeszkodzić, cisnął złoto w rozkołysane fale.

– Na beczkę zgniłych śledzi! – zaklął soczyście Gostek, wybałuszając oczy na dziwnego towarzysza. – Wiedziałem, że jesteś szalony i przyniesiesz nieszczęście! Teraz nie tylko nic nie złowimy, ale też nie zarobię – dodał, walcząc z wyrywającym się żaglem.

– Nie martw się, zostawiłem drugą sakiewkę na wydmach – zapewnił chłopak, spoglądając z ukosa na rozsierdzonego poławiacza.

– Nie omieszkam jej odszukać, jeśli wrócę cało na brzeg – burknął rybak. Uporał się wreszcie z żaglem, co poszło tym łatwiej, że morze nieco się uspokoiło, a wiatry przestały tak zaciekle dąć.

– Widzisz, Strzybóg przyjął ofiarę – zauważył chłopak.

– Może to i twoja zasługa – przyznał niechętnie tamten, przygryzając wąsa. – A jednak szkoda złota. Trzeba było wrzucić tylko połowę.

– Wtedy tylko jeden z nas wróciłby na brzeg – stwierdził bystro Trojan.

– I tak byłoby lepiej – mruknął mężczyzna pod nosem, raczej do siebie niż do uciążliwego gościa.

Trzeba wam bowiem wiedzieć, moi mili, że oprócz łowienia ryb trudnił się Gostek przybrzeżnym łupiestwem, bezlitośnie dobijając i ogoławając z dóbr wyrzuconych na piasek rozbitków. Jest to zresztą na Pomorzu powszechny zwyczaj, dlatego nie należy gniewać Strzyboga, bo jeśli zatopi twą łódź, to nawet gdy wydostaniesz się z toni na brzeg, spotka cię los nie do pozazdroszczenia.

Rybak rozważał zatem w swej ciemnej duszy, czy od razu pozbyć się szalonego szczeniaka, rozbijając mu łeb wiosłem, czy też zawrócić z nim na wybrzeże, wziąć na męki, by powiedział, gdzie schował drugą sakiewkę, i dopiero wtedy zamordować,

a trupa pozbyć się na morzu, składając Strzybogowi daninę.

– Przy tej pogodzie nie da się łowić – rzekł, zerkając na Trojana spod oka. – Lepiej wracajmy na ląd.

– Zaraz, wstrzymaj się, może nie wszystko stracone – zaprotestował chłopak. – Mam jeszcze jedną cenną rzecz, która może się spodobać morskemu władcy.

– Nie przestajesz mnie zaskakiwać, smarkaczu – burknął zdumiony Gostek.

– To mój dar od bogów – rzekł skromnie Trojan z trochę przekornym uśmiechem.

Wydobył z zanadru jaworowe gęśliki i nie bacząc na kołysanie łodzi zagrał, dobywając ze strun skoczną nutę.

A musicie wiedzieć, że gęśliki, które otrzymał od opiekunów, były zaczarowane. Na ich dźwięk nogi każdego same się rwały do tańca i człowiek nie mógł zaprzestać pływania, dopóki słyszał muzykę.

Podobnie było z Gostkiem. Rzucił wiosło, rzucił liny i począł uwijać się w tańcu, szybko przebierając nogami, szeroko wymachując rękami i przyklaskując do rytmu.

Łódź kołysała się coraz bardziej na falach, które bujały nią do taktu.

– Nie wiedziałem, że z ciebie taki wspaniały grajek – wydyszał rybak – lecz przestań już rżepolić, bo nie mogę się zatrzymać, a przez to łódź coraz bardziej się kołysze i zaraz z niej wypadniemy.

– Wypadnie tylko ten, co tańczy, jak mu zagrają – odparł chłodno Trojan, który przejrzał nieczne zamiary chciwego łupieżcy.

Rybak wybałuszył oczy, tym razem z przerażenia. Wokół fale wznosiły się i pieniały, a w tej pianie zaczęły przebłyskiwać złote i zielone włosy przywabionych Trojanowym graniem rusalek. Tańczyły w wodzie, a wnet dołączyły do nich wodniki. Gostek, nie mogąc powstrzymać uwijających się w tańcu własnych stóp, potknął się w końcu o śliski brzeg burty, a wtedy łódź przechyliła się i mężczyzna runął w fale. Umiał wprawdzie pływać jak każdy człek morza, lecz zaraz oplotły go lepkie dłonie wodnych panien i ich towarzyszy. Lud głębin skrępował zdobycz i

zaciągnął ją na dno.

Trojan odłożył gęśle, a wtedy woda wokół łodzi znów się spieniła, wzburzyła i zmaciła od żółtego piasku. Nad powierzchnią morza pojawiła się brodata, rozczochrana głowa Strzyboga, pana wiatrów i odmętów.

– A to mi było granie! – zahuczał ciężkim głosem. – Cały mój dwór porwało do tańca! Królowa Rosa i jej rusalki nie mogą się ciebie nachwalić. Dasz mi te gęśle, młodzieńcze? A może przyjmiesz gościnę w moim pałacu i sam dla nas zagrasz? – dorzucił chytrze.

– Dałbym ci je, władco morza – odrzekł rezolutnie młodzieniec – a nawet zaszedłbym do ciebie w gościnę, lecz niestety, owe gęśle pęta ziemski czar i nie grają pod wodą.

– Co za szkoda! – zmartwił się władca wiatru. – Może chociaż czasem zagrasz dla nas z łódki albo stojąc na brzegu? Obiecuję cię za to wynagrodzić.

– Dzięki – odparł Trojan – gdyż uznanie tak potężnego boga jest dla mnie ważne, lecz samym uznaniem się nie najem... Wy płynąłem dziś z nadzieją na obfity połów – podjął przebiegle, udając rybaka – lecz twoja gniewliwa porywczość pomieszała mi szyki. Nie uspokoiła cię nawet ofiara z człowieka...

Pomyślał w owej chwili, że poświęcając rybaka, uczynił jego żonę wdową, a synka sierotą, lecz Gostek zasłużył na swój los.

– Ach, tego tęgiego prostaka – podchwycił Strzybóg, szczerząc się od ucha do ucha. – Tego... jak mu tam... Goska? Dzięki za ofiarę, wodne panny od dawna ostrzyły sobie na niego pazurki. Uważają, że jest przystojny... ale nie oddam im topielca, lecz uczynię go moim podczaszym i opiekunem rybaków. Widzisz więc, że złożona przez ciebie ofiara nie poszła na marne.

– Widzę to i doceniam – zapewnił młodzieniec – lecz co się tyczy połowów...

– Tak, tak, załatwione – odparł niecierpliwie pan morza, który nie znosi, kiedy ludzie natrętnie go o coś nagabują. – Wynagrodzę cię w dwójnasób, a nawet w

czwórnasób, ale musisz coś jeszcze dla mnie zrobić.

– Życzenie boga jest dla mnie jak rozkaz – rzekł gorliwie Trojan. – O co chodzi, panie?

Chłopak, pouczony przez swoich mistrzów, spodziewał się takiego żądania. Morski bóg jest kapryśny i skąpy z natury, trzeba więc najpierw mocno się postarać, spełniając jego prośbę, by mieć pewność, że potem odwdzieczy się darem.

– Nie mogę wciąż dojść do ładu z moją połowicą, a to z powodu miłostki mej córki do księżycowego pana – wyznał Strzybóg, chmurząc oblicze. – Chors ciągle chodzi zaćmiony, odkąd odmówiłem mu swej córy. Bękart nie chce uznać, że wola prawego syna Swaroga winna być dla niego święta. Jego promienie ślizgają się jeno po morskiej powierzchni, od dawna nie przenikając w głębiny. Rosa Pięknooka ciągle narzeka, że jest zbyt ciemno, aby mogła podziwiać swą urodę w wodnym zwierciadle. Trzeba zatem ukarać zarozumiałego młodzika. Zdobądź dla mnie jego srebrną tarczę i zatop łup w morzu. Piękność mej żony zajaśnieje w niej pełnym blaskiem!

– Wykraść srebrną tarczę władcy księżycy? – wyjąkał młodzieniec. – To zadanie dla boga, nie dla człowieka. Nie starczy ludzkiej siły, aby tego dokonać.

– Nie kręć! – huknął bóg, aż morze zafalowało. – Jesteś młody, lecz widzę, że znasz potężne czary, skoro zmusiłeś całe morze do tańca. Zagraj na swych gęślach w Wyraju, a dostaniesz wszystko, co zechcesz.

– Spróbuję, lecz niczego nie obiecuję – odparł ostrożnie Trojan.

– Nie próbuj, jeno zrób – uciał pan wiatru. – A pospiesz się, bo żona wciąż ciosa mi kołki na głowie.

Co rzekłszy, zanurzył się w głębie, a pchnięta przez niego fala poniosła łódkę do brzegu.

Ledwie zadumany chłopak postawił stopę na piasku, zobaczył czekającą na brzegu trójkę wypróbowanych przyjaciół: sowę, niedźwiedzia i żmija latawca.

– Czas ruszać w dalszą drogę, synku – oznajmiła sowa.

– A droga daleka i żmudna – ostrzegł niedźwiedź.
– Lecz co to dla czarodzieja, który zwiódł samego Strzyboga – pocieszył żmij.
– Wiem, że muszę iść nie zwlekając – przytaknął Trojan z westchnieniem – a odpoczną chyba dopiero w Nawii.

– Nie narzekaj, wielu zwykłych ludzi chciałoby przeżyć to, co ty – zahuczała nocna łowczyni.

– Coś takiego zdarza się im tylko w snach – wtrącił miś – lub słyszą o tym w baśniach.

– To cena nieprzeciętności – stwierdził latawiec, wyszczerzając zębatą paszczę.

– Byle głupek ma więcej szczęścia niż ja. – droczył się z nimi chłopak. – Wolałbym być zwyczajnym pastuszkiem i nie mieć do wypełnienia żadnych nadludzkich zadań.

– Taka jest wola bogów – podkreśliła surowo sowa, ucinając dalszą rozmowę.

– Najważniejsze, że nie jesteś sam – zamruczał przyjaźnie niedźwiedź.

Żmij nic już nie dopowiedział, tylko zamachał potężnymi skrzydłami i poleciał na kraniec świata, wskazując drogę pozostałym wędrowcom.

Podróżowali tak czasu mało wiele, może dzień, może miesiąc, któż to może wiedzieć. Kiedy Trojan narzekał na obolałe nogi, nieśli go na swym grzbiecie niedźwiedź lub smok latawiec, a sowa frunęła przodem. Dotarli w końcu na pogranicze Nawii i Wyraju, gdzie wielki głaz zagroził im drogę.

A głaz ten był niezwykajny: nieustannie to rozchodził się na dwie połowy, to znów schodził z wielkim hukiem i nikomu przejść nie pozwalał. Wokół rozsiane były kości śmiałych istot, które próbowały drogę w tym miejscu przekroczyć, lecz zabrakło im zręczności lub szczęścia.

– Stój, skało! – zawołał Trojan z niedźwiedziego grzbietu.

Skała posłusznie się zatrzymała i rzekła:

– Czuję, że masz wielką moc. Dokąd jedziesz, dzielny junaku?

– Jadę do srebrnej chaty, by zapytać, czemu księżyc ciągle jest zaćmiony – wyjaśnił

chłopak, częściowo zatajając prawdę.

– Zapytaj też i o mnie, czemu wciąż się bez ustanku rozpadam, a potem znów łączę, miażdżąc nieostrożnych przejezdnych, i nie mogę ustać spokojnie w miejscu?

Jeśli

mi to obiecasz, dam ci przejechać.

– Przysięgam na Welesa – rzekł poważnie młody guślarz.

Skąła pozostała w bezruchu, gdy niedźwiedź przesadził jednym susem przejście między jego połówkami, po czym znów się zatrzasnęła niczym odrzwia bramy.

Niedługo wędrowcy ujrzeli jeszcze większe cudactwo: niegdyś łączący dwa brzegi przepaści żelazny most kręcił się jak szalony wokół jedyne podtrzymującego go słupa.

– Nie zdołam przeskoczyć nad tą przepaścią – stwierdził miś. – Musi przenieść cię żmij latawiec.

Trojan przesiadł się na smoczy grzbiet, a tymczasem most odezwał się zgrzytliwie:

– Dawno nie widziałem człowieka, który ośmieliłby się zapuścić w te strony i miał w dodatku różne stwory na swe usługi. Musisz być wielkim czarownikiem.

– Dopiero się uczę – odrzekł skromnie junak.

– Nie brak ci także ogłady – pochwaliło żelazne przejście. – Dokąd wędrujesz?

Trojan odpowiedział tak samo, jak wcześniej głazowi.

– Gdy trafisz do srebrnej chaty – podjął spracowany most – bądź tak dobry i zapytaj też o mnie, jak długo jeszcze będę kręcił się w kółko, nie pozwalając nikomu przejechać? Obiecujesz?

– Przysięgam na Trygława – odkrzyknął młodzik ze żmijowego grzbietu.

Po takich doświadczeniach przejście przez Bagno Topielców zdało się dziecinną igraszka. Sowa przefruwała z kępki na kępkę, badając grunt, a za nią skakał żmij latawiec z chłopakiem na grzbiecie. Gdy wyciągały się ku nim chciwe ręce utopców, smok przypalał je, zionąc ogniem. Na końcu bagna pożegnał jednak śmiałka,

twierdząc, że musi odpocząć.

Trojan szedł dalej prowadzony przez sowę, która przywiodła go pod złotą jabłoń. Drzewo pięknie rozkwitło, ale szumiało smutnie, chwiejąc gałęziami jak gdyby w wielkim zmartwieniu.

– Czemuś taka smutna, jabłonko? – zatroskał się wędrowiec.

– Smutno mi, bo moja pani odeszła i nie wróciła, ja zaś ciągle kwitnę, lecz nie wydaję owoców – odpowiedziało drzewo. – Dokąd zmierzasz, młody wędrowcze?

Trojan odpowiedział to samo, co górze i mostowi.

– Zapytaj tam i o mnie – poprosiła jabłoń – jak długo jeszcze nie będę owocować? Jeśli obiecasz, że to uczynisz, skrócę ci drogę do Wyraju.

– Przysięgam na mą Dolę – obiecał solennie.

Złota jabłoń zaszumiała i wnet na wpół wyschnięty strumyk u jej korzeni zabulgotał wesoło, tocząc swe wody po łące, która w jednej chwili porośla sen-trawą i kępami czarnych maków. W taki właśnie sposób wędrowcy znaleźli się na murawie Wyraju. Opodal, na niewysokim pagórku, rozblęły ściany księżycowej chaty, zbudowanej w półkolistym kształcie, przez co przypominała srebrny sierp. Otaczały ją zagrody przeznaczonej dla gwiazdnych jałowic, które były w istocie duszami wypasanyimi na niebiańskich szlakach. Widok srebrnego domu wzbudził w chłopaku zachwyt, choć zarazem dziką, niezrozumiałą trwogę.

Trojan bał się iść prosto w paszczę niewiadomego, wysłał więc sowę na przespiegi. Chętnie poleciała, przysiadła tam i sam na promienistych daszkach, zaglądała w półokrągłe okienka. Wreszcie wróciła do młodzieńca i oznajmiła:

– Masz wielkie szczęście, synku. Na ziemi zapadła noc i Chors wędruje po niebie zaćmiony, bo jak zwykle jest w złym humorze. Gdyby był akurat w domu, mógłby cię wziąć za złodzieja i srodze pokarać. Stałbyś się jego upiorem, wilkołakiem albo czymś jeszcze gorszym. Zabrał wprawdzie ze sobą tarczę, lecz we dworze gości teraz pramatka Mokoza, która przybyła odwiedzić syna. Czeka na niego w świetlicy,

przędąc złotą nić. Gdy ją ładnie poprosisz, na pewno zechce ci pomóc. Wypyta potomka, nie wzbudzając w nim podejrzeń, ty zaś ich podsłuchasz i dowiesz się wszystkiego, co trzeba, byś wypełnił zadanie.

Trojan ruszył rad nierad do srebrnej chaty i przekroczył jej próg z duszą na ramieniu.

W głównej izbie rzeczywiście siedziała Wielka Macierz, wyplatając złote nici z kądzieli i śpiewając przy tym wesoło:

Kłębku złoty, zwijaj się!

Cienka nitko nie rwij się!

Dla cnych wojów i witezzi

Snuj się teraz jak należy!

Ujrzawszy wchodzącego młodzieńca, mocno się stropiła. Przerwała pracę i zapytała z obawą:

– Jak i po co tu przyszedłeś? Czy w złych, czy dobrych zamiarach się tu zjawiłeś, mój syn cię ukarze, bo nie życzy sobie, by żaden obcy, tym bardziej śmiertelny, wkraczał w progi jego domu! Odkąd stracił narzeczoną, chce tylko samotności, gdyż obmierzył mu cały świat.

Junak pokłonił się nisko bogini i wyłożył swą sprawę.

Wysłuchała go z uwagą, marszcząc chwilami jasne czoło, ale w końcu na jej pąsowych wargach wykwitł przychylny uśmiech.

– Wiele przeszedłeś, Trojanie, by tutaj dotrzeć – oceniła, spoglądając nań z macierzyńską troską. – Wykazałeś się wytrwałością i odwagą. Miałeś miękkie serce dla przyjaciół i twarde dla wrogów. Będzie z ciebie kiedyś wspaniały guślarz, teraz jednak zmienię cię w zapasowe wrzeciono – na wypadek, gdyby mój nieszczęśliwie zakochany syn skrócił nocną przejażdżkę i wrócił przedwcześnie do domu.

Uniosła upierścienioną dłoń, wyrzekła słowo mocy i chłopak zamienił się w złote wrzeciono, które Wielka Macierz odstawiła do kąta, sama zaś wróciła do przędzenia,

podejmując przerwany wątek i słodki śpiew.

Skoro świt zjawił się Chors, jak zwykle nachmurzony i zły na cały świat. Matka powitała go tkliwie, pogładziła po białej czuprynie, nakarmiła srebrnym mlekiem i takimże kołaczem. Gdy zaś syn ułożył się na miękkim pościu barwy nocnego nieba, spytała niby od niechcienia:

– Słyszałam, że ludzie skarżą się na ciebie. Pytają, czemu wciąż chodzisz po niebie w zaćmieniu?

– Jakże nie mam być zaćmiony – odrzekł, ciężko wzdychając – skoro od tak dawna nie widzę mej ukochanej Jutrzenki. Porywczy Strzybóg zaklął ją i uwięził gdzieś na dnie mórz, ja zaś szukam jej każdej nocy, wysyłam na świat upiory i wilkołaki, aby ją wyniuchały, lecz wciąż nie mogę odnaleźć wybranki.

– Nie znajdzie się na to żadna rada? – zapytała troskliwie matka.

Znajdzie się – odparł, ożywiając się nieco – jeśli wedle woli surowego ojca przybędzie nad morze półbóg zrodzony z ziemskiej niewiasty i trzykrotnie wyrzeknie pewne zaklęcie. Musi to uczynić, choćby nie wiadomo jak straszne rzeczy działy się wokół. A zaklęcie brzmi tak...

I wypowiedział słowa mocy, które Trojan zapamiętał.

– Gdzież mam jednak znaleźć takiego chwata? – podjął ze smutkiem księżycowy bóg. – Spłodzeni na ziemi synowie Jarowita służą jasnym bóstwom i nie chcą mieć ze mną nic do czynienia. Weles obiecał, że coś wymyśli, lecz jak dotąd niewiele zdziałał.

– Jest z was najsprytniejszy, może więc znajdzie rozwiązanie – pocieszyła go Mocosza. – Zaspokój jeszcze, proszę, matczyną ciekawość... Czemu skała zagrządzająca drogę do Wyraju wciąż rozchodzi się na dwie połówki, to znów schodzi i nikomu przejść nie pozwala? Czemu most żelazny kręci się w kółko, a złota jabłoń, choć kwitnie, nie może wydać owoców?

– Głaz został przecięty mieczem przez mojego przyrodniego brata Jarowita – oznajmił Chors – dlatego musi ciągle rozdzielać się i łączyć. Aby znów połączył się

na stałe, trzeba zebrać leżące wokół kości ofiar, wygotować z nich klej, a potem posmarować brzegi skały. Gdy zejda się ponownie, skleją się i nic już ich nie rozdzieli. Nasz dzielny, lecz nierozważny witeź usunął także haki mocujące żelazny most do urwiska, dlatego kręci się jak szalony. Trzeba go zatrzymać nadludzkim wysiłkiem i założyć na powrót zaczepy, a wtedy się uspokoi. A na pień jabłoni prysnęła wiecznie młoda krew Jarowita, dlatego drzewo nie może owocować. Ktoś powinien obmyć korę żywą wodą z pobliskiego strumyka, a wówczas jabłoń znów się stanie owocna i spocznie pod nią Marzanna... albo raczej Dziewanna... kto by się tam połapał... – szeptał bóg coraz bardziej sennym głosem.

– A dlaczego, skoro to wszystko wiesz, sam tego nie zrobiłeś? – spytała jeszcze matka, również ścisząc głos.

– Bo to nie moje zadanie – odparł władca księżycy, przymykając oczy i zasypiając.
– Musi to zrobić ten sam półboski czarownik, o którym mówiłem.

Mokosza odczekała chwilę, by upewnić się, że syn głęboko zasnął, a potem odczarowała Trojana, który złożywszy bogini dzięki, skierował się do wyjścia. Przelotnie zerknął na leżącą przy łożu srebrną tarczę, lecz po chwili namysłu wzruszył ramionami. Marny byłby to łup wobec wiedzy, którą zdobył tego ranka.

W drodze powrotnej dzięki pomocy przyjaciół zrobił wszystko wedle słów Chorsa: obmył pień jabłoni żywą wodą, sprawiając, że otrząsnęła kwiecie z gałęzi i zebrała siły, by owocować; gdy niedźwiedź i żmij przytrzymali z dwóch stron brzegi mostu, założył odnalezione w trawie haki, dzięki czemu kładka powróciła do dawnego położenia; wreszcie skleił brzegi skały sporządzonym przez siebie klejem. Most i kamień przyrzekły mu, że jeśli wezwie je w potrzebie, natychmiast mu pomogą. Teraz witeź poczuł się gotowy, by zmierzyć się ze Strzybogiem.

Gdy znów znalazł się nad morzem, przywołał zaklęciami skałę i żelazną kładkę. Rozkazał głazowi zagłębić się nieopodal w wodzie, po czym przerzucił na nią z brzegu most. Wszedł nań i zawołał:

Morski wichrze, wzywam ciebie,

Zjaw się tu w nagłej potrzebie!

Strzybóg wynurzył rozczochrany, brodaty łeb z wody, słysząc zaklęcie młodego czarodzieja. Zdawał się wielce przygnębiony, lecz mimo to zerknął z ciekawością na szczupłego podrostka próbującego kolejnych czarów.

– Widzę, że powróciłeś z niczym – stwierdził z niezadowoleniem. – Nie ma rady, teraz będziesz musiał przygrywać mnie i moim dworzanom aż do śmierci.

– Zdobyłem w srebrnej chacie coś znacznie cenniejszego – oznajmił śmiało Trojan.

– Co takiego? – zaciekawił się chciwy władca mórz.

– Nowe zaklęcie.

I niezwłocznie je wypowiedział.

Oblicze morskiego boga pociemniało z gniewu, kiedy je usłyszał. Zanurzył się w wodę i zahuczał z głębin:

– Przeszedłeś, widzę, na stronę mrocznego bękarta i stałeś się jego wysłannikiem. Ceną za to będzie twoja śmierć!

Morze odpowiedziało złowrogim echem, fale się spiętrzyły, uderzyły o skałę, aż się zachwiała, omal nie strącając mostu i stojącego na nim młodzika, po czym woda podniosła się i zalała głąz do połowy, podobnie jak jedyny żelazny słup kładki.

Niezrażony Trojan powtórzył zaklęcie.

Wówczas ogromne grzywacze zalały skałę i most. Woda sięgnęła młodzieńcowi najpierw po pas, a później po szyję. Choć czuł, że znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, drżącym głosem zawołał po raz trzeci:

Boginko, czarem zaklęta!

Nie we mgle lub marze złudnej,

Lecz w postaci twojej cudnej

Ukaż się i przemów do mnie!

Fale zalały mu usta, jakby chciały go zadławić i wreszcie zatopić, lecz po chwili cofnęły się, opadły i morze powróciło do swego zwykłego stanu. Żywioł, spętany potrójnym czarem, nie zważał już na wściekłe ryki swego pana.

Z głębi wód wynurzyła się cudnej urody dziewczoja odziana w kolczugę misternie splecioną z sieci i wodorostów. Trzymała kościany harpun w prawicy, a tarczę z pancerza wielkiego raka w lewej ręce. Na jasnych włosach spoczywał hełm z muszelek. Za groźną pięknnością postępowała drużyna dwunastu braci miesięcznych uzbrojonych po zęby tak samo jak ich siostra.

Wojowniczką spojrziała z wdzięcznością na ociekającego wodą czarodzieja i rzekła doń miódopłynnym głosem:

– Dzięki ci, odważny junaku! Twoja śmiałość i siła twych słów skruszyły ojcowskie więzy. Zawdzięczam ci wolność. Wiedz, że będę o tym pamiętała.

– Twoja wdzięczność, pani, jest dla mnie wystarczającą nagrodą – odrzekł dwornie młodzik, kłaniając się w pas i próbując opanować narastające dygotanie wyziębionego ciała. Po chwili, schodząc na brzeg i zrzucając z ramion przemoczoną oponę, wyznał: – Najchętniej ogrzałbym się teraz przy ognisku... i poznał powód, czemu akurat na mnie spadło owo posłannictwo. Chcę też wreszcie dowiedzieć się, kim jestem, skąd pochodzę i dokąd zmierzam.

– To pytania do twojej rodziny – odparła beztrąsko Jutrzenka, po czym wzniosła się na nieboskłon, wypatrując pilnie czegoś lub kogoś na wschodniej stronie.

– Zapytałbym bliskich, gdybym ich miał – odrzekł chłopak z przeciągłym westchnieniem – lecz jestem biednym sierotą i znajdkiem.

– Już nie – zaprzeczyła, nadal na niego nie patrząc. – Oto twoi bliscy.

Wskazała grotem harpuna na stojące nieopodal na piasku trzy czarodziejskie stworzenia: sowę, niedźwiedzia i żmija.

– To wierni przyjaciele, na których mogę liczyć – przyznał Trojan – lecz nie zastąpią prawdziwej rodziny.

– Mądry jesteś, junaku, lecz po raz pierwszy w życiu się mylisz. Pogadaj z nimi, a przekonasz się, o co mi chodzi. Wybacz, że cię teraz opuszczę, lecz muszę lecieć na spotkanie z narzeczonym – rzekła, ulatując na wschód.

– Nie odchodź, córko! – zahuczał za nią ojcowski głos dobywający się z głębi wód.
– Nie powierzaj swego losu temu bękarciemu odmieńcowi! Zabawi się tobą, znudzi, a potem zacznie cię zdradzać jak Jarowit Dziewannę! Nie puszcze cię do niego!

– Tak? – odparła zimno córka. – Spróbuj mnie zatrzymać. Twoja ojcowska władza straciła moc, a bracia mnie obronią. Wolę poniewierkę z ukochanym niż niewolę pod twoim dachem. Zresztą rusalki donosiły mi o każdym jego kroku i wiem, że pozostał mi wierny. Jednej matki różne dziatki – stwierdziła na odchodnym. – Nie należy przykładać do wszystkich jednej miarki.

Gdy Trojan szedł w kierunku przyjaciół, ich postacie zaczęły mienić się, a potem rozmywać. Przez chwilę zdawało się chłopakowi, że widzi nie zwierzęta, ale trzech staruszków guślarzy, uśmiechniętych i życzliwie kiwających do niego głowami. Potem zamiast nich zobaczył trzy całkiem inne osoby: urodziwą ciemnowłosą niewiastę o ostrych, lecz powabnych rysach, dostojnego siwobrodego starca wyglądającego i odzianego podobnie jak jego niegdysiejsi mistrzowie, a także trójgłowego żmija, którego łuski na poszczególnych głowach i szyjach połyskiwały miedzią, złotem i srebrem.

– Chciałeś wiedzieć, kim jesteś i jak przyszedłeś na świat. – Junak usłyszał syczący, mocny głos, potrojony przez trzy smocze gardziele. – Dowiedz się zatem, że to ja, Żmij Trygław, jestem twym ojcem, a zostałeś spłodzony w najgłębszej jamie Nawii. Oto twa matka, Dola – pochylił jedną z głów w stronę stojącej obok niewiasty – córka ziemi, która opiekowała się tobą pod postacią sowy. Po niej masz czarne włosy i ciemnozielone oczy. Niedźwiedziem był twój stryj, Weles, któremu bardzo spodobała się twoja wytrwałość i upór w dążeniu do celu... mimo obolałych nóg – ciągnął nieco żartobliwie, wywołując uśmiechy na twarzach słuchaczy. – We trójkę

opiekowaliśmy się tobą pod postaciami guślarzy, a później zwierząt. Nie zawiodłeś żadnego z nas. Podczas kolejnych prób wykazałeś się odwagą, roztropnością i wielki hartem ducha, dzięki którym przewyciężyłeś wszelkie słabości. Wysłaliśmy cię do świata ludzi, byś zdobył o nim wiedzę i nabrał doświadczenia niezbędnego dla przyszłego wielkiego guślarza Welesa. Właśnie stryjek uznał, że jako półbóg zrodzony z ludzkiej niewiasty najlepiej się nadajesz, by przełamać klątwę Strzyboga...

– Nie bez powodu zwą mnie mistrzem podstępów – wtrącił Weles, błysnąwszy porozumiewawczo oczyma do bratanka.

– Wielce się zasłużyłeś Chorsowi – dodała Dola, spoglądając z dumą na potomka – i spodobałeś pramatce Mokozy. Będziesz się cieszył ich łaskami.

– Zabierzecie mnie teraz do Nawii? – spytał Trojan, drżąc na całym ciele z przejęcia i ciekawości.

– Jeszcze na to nie pora – zaprzeczył Trygław. – Bogowie obdarowali cię długim życiem. Przemierzysz szeroki świat, poczynając od Rusi, by szkolić tamtejszych wołchwów i bazarzy. Aby zaś ludzie cię słuchali, otrzymasz postać mądrego starca, mimo to w istocie pozostaniesz młody...

Trzy smocze głowy wysyczały potrójne zakłęcie. Trojan, przejrząwszy się po chwili w przybrzeżnych wodach, stwierdził, że wygląda teraz jak starzec: oblicze miał poorane bruzdami mądrości i życiowych trosk, wyrosła mu długa siwa broda, a czupryna także zbielała jak przyprószona śniegiem. Tylko oczy były wciąż młode, błyszcząły i śmiały się wesoło.

– Weź mój czarodziejski kostur – rzekł dobrotliwie Weles, wręczając mu laskę rzezaną magicznymi rytami. – Za jego pomocą przywołasz swego najlepszego druha: niedźwiedzia – dorzucił, śmiejąc się bezgłośnie i ściskając bratanka.

– Albo zawsze życzliwą ci sowę – podchwyciła Dola, biorąc syna w ramiona i błogosławiąc go pocałunkiem w czoło.

– Że już o zmiju latawcu nie wspomnę – dorzucił Trygław, zanosząc się potrójnym

syczącym chichotem.

– Będę o was pamiętał – zapewnił świeżo upieczony guślarz, zbierając się do drogi.

– Już wiem, że mam najwspanialszą rodzinę na świecie.

– Nie wątpię, że za twoją sprawą pojawi się na Rusi i innych słowiańskich ziemiach całe pokolenie Welesowych wnuków, bajarzy i czarowników, którzy przekażą tym, którzy przyjdą po nich, nasze tradycje i prastare dziedzictwo – rzekł władca Nawii.

– Chyba nie wątpisz, stryju, że będę się o to starał? – rzucił przez ramię Trojan, wyszczerzając zęby w szerokim uśmiechu.

– Nie wątpię – odrzekł Weles, z trudem zachowując powagę.

– I znowu wędrowka – zaczął zrzędzić Trojan niczym prawdziwy starzec, uszedłszy zaledwie parę kroków. – Znowu poświęcanie się dla innych...

– Życie to wielka podróż – zauważył jego ojciec zmij.

– Taki los ci pisany – oświadczył stryj. – Nawet bogowie sami go nie wybierają.

– Taka twa dola, chcesz czy nie chcesz – zakończyła matka. – Od ciebie jednak zależy, co z nią zrobisz.

– A swoją dolę najlepiej pokochać, skoro musisz się z nią pogodzić – mruknął rozumnie Trojan, odchodząc na wschód.

Matka, ojciec i stryjek chwilę jeszcze odprowadzali go wzrokiem, potem zamienili się w potrójny słup dymu, odchodząc do Nawii.

A tymczasem na niebie odbywało się inne boskie widowisko.

Zapadł zmierzch i słońce ustąpiło miejsca księżycowi niecierpliwie wyczekiwanemu przez Jutrzenkę. Pojawił się wreszcie, jak zwykle smutny i przyćmiony. Gdy jednak ujrzał umiłowaną, srebrna tarcza wspaniale zajaśniała, a blade lico okraślił rumieniec.

Zakochani padli sobie w objęcia i połączył ich namiętny pocałunek, a wówczas

cała wschodnia strona nieboskłonu zabarwiła się gorącą purpurą.

O czym szeptali narzeczeni, wiedzą tylko oni sami oraz – może – inni bogowie.

Chwilę później Chors zaprosił Jutrzenkę i jej braci do srebrnej chaty, gdzie przebywała właśnie Mocosza. Był pewien, że ucieszy się na widok synów Strzyboga. Pan księżycy poddał dwunastu miesiącom myśl, by zaczęli przygotowywać weselisko, sam zaś ruszył na nocną niebiańską wartę, wypełniając boski obowiązek.

Rzucając promienie na morską płaszczyznę, wypatrzył pod wodą zasepione oblicze Strzyboga.

– Będiesz się teraz napawał swoim zwycięstwem? – Zadudnił ponury głos z głębiny.

– Ani mi to w głowie – zaprzeczył pogodnie Chors. – Wiem, że smuci cię nieposłuszeństwo córki, bo chciałeś innego zięcia, może jednak rana zablizni się na naszym weselu. Zaprosimy Trojana, by zagrał na swoich gęślach, a wtedy pierzchną wszelakie smutki.

– No nie wiem – odburknął władca mórz. – Nie wiem, jak się teraz pokażę na oczy innym bogom. Przyszła na mnie druga bieda, bo nieszczęścia zwykle chodzą parami.

– Co zaszło, drogi teściu? – zapytał uprzejmie pan nocy.

– Moja Rosa zakochała się bez pamięci w Gosku i uciekła z nim do Juraty – wyznał niechętnie Strzybóg. – Chyba poproszę ojca Peruna, by poraził ich swoim gromem...

– Chyba wypełni twoje życzenie – przytaknął pan księżycy – bo nic tak nie gniewa praojca jak niewierność małżeńska i wiarołomstwo. Przyznaj jednak, że zaplątałeś się we własną sieć, drogi teściu. Pragnąłeś mieć wszystko, a zostałeś z niczym. Zdarza się to wielu zachłannym ludziom, zdarza się także i bogom – podsumował i ruszył na obchód nocnego nieba.

Sine morze milczało, szumiąc smętnie, smagane lekką bryzą.

A bogowie dalej chadzali szlakami przeznaczenia, niszcząc i tworząc byty, splatając sieci ze światła i ciemności, z ładu i bezładu. Świat był ciągle młody i pozostało na nim wiele do zrobienia.

W zapisanej przez Antoniego Glińskiego baśni o trzech pustelnikach, Trzechsynie i zaklętej królownie powracają znane nam mityczne motywy: zaklętej przez boga morza narzeczonej władcy księżycy, podróży w zaświaty, tajemniczej „matki księżycy” (będącej potężną czarodziejką, a może raczej boginią), a przede wszystkim troistego dziedzica magicznych potęg, który został wychowany przez trzech guślarzy (zamienionych w schrystianizowanej wersji baśni na pustelników). Podobny wątek przewodni znajduje się w przytoczonej przez Aleksandra Afanasjewa rosyjskiej opowieści o cudownej koszuli: trzej bracia czarodzieje znajdują w lesie chłopaka, po czym uczą go czarów. W baśni tej niewątpliwie przechowała się pamięć o ruskich wółchwach, szamanach mających zdolność przemiany w zwierzęta. Pokrewne elementy występujące w obu baśniach, polskiej i rosyjskiej, mają przedchrześcijański rodowód, który kompilacyjnie wykorzystałem w swojej historii. Poza tym moje skojarzenie dziwnego baśniowego Trzechsyna z równie zagadkowym Trojanem – bohaterem przewijającym się w staroruskich źródłach – nie jest dowolne ani przypadkowe, gdyż zapewne obie te postaci w czasach przedchrześcijańskich stanowiły jedność w mitach słowiańskich. Moja wersja opowieści o Trojanie, trzech guślarzach, wodnym bóstwie i zaślubinach pana księżycy z Jutrzenką łączy motywy znane z przekazów ludów słowiańskich, ugrofińskich i koczowniczych. Zasygnalizowałem to zresztą na początku historii, gdy narrator powołuje się na ruskiego wółchwa, od którego miał tę opowieść usłyszeć, a właśnie w tradycji ruskiej mamy do czynienia z przemieszaniem tradycji wielu etnosów Europy Wschodniej.



O ŚWIĘTYM OGNIU I WIEDŹMIE

Pamiętacie zapewne, że rybak Gostek wspominał, iż ma żonę i synka? Opowiem teraz o nich.

Jego połowica zwała się Jaga, a maleńki potomek – Jasza.

Dzieciaczek był niezwykajny, jasnooki i jasnowłosy, całkiem niepodobny do swoich rodziców. Choć ojciec był chłopem na schwał, a matka także dość urodziwa, widać było, że w owym chłopczku tkwi cząstka jakiejś boskiej mocy, nadludzkiego piękna i szlachetności. Sąsiadki plotkowały, że kiedy mąż Jagi wyruszył pewnego razu na nocny połów, sam bóg Jarowit nawiedził niewiastę i spłodził z nią cudownego półboga. Rybak i jego żona nie przejmowali się gadaniem wiejskich pleciug, lecz cieszyli się, że bogowie pobłogosławili ich udanym potomkiem i darzyli rodzinie obfitymi połowami.

Jednak dola śmiertelników często bywa naznaczona cierpieniem, a ich szczęście nigdy nie trwa zbyt długo.

Pewnego razu mąż wypłynął wieczorem na połów i nie wrócił. Jaga długo łudziła się, że po prostu znalazł odległe łowisko, lecz kiedy inni rybacy znaleźli pustą łódź wyrzuconą przez fale na brzeg, zrozumiała, iż została sama z dzieckiem i skończyły się dla nich dobre czasy.

Niejeden samotny wieśniak chętnie wziąłby młodą wdowę do swojej chaty, nawet z małym dzieckiem półsierotą, gdyż, jak już mówiłem, odznaczała się surową, lecz przyciągającą oko urodą pomorskich kobiet, a przy tym była gospodarna i słynęła z wypiekania słodkich kołaczy. Co więcej, znała ozdrowieńczą moc ziół, inne kobiety przychodziły więc do niej w potrzebie, hojnie odwdzięczając się za pomoc.

Jaga odtrącała jednego zalotnika po drugim, trwając w żalu po mężu i nie chcąc

pogodzić się z nagłą niedolą.

Całą miłość przelała na synka. Jasza był jej oczkiem w głowie, nie chciała więc oddawać go dzieckiem w kolebce pod władzę obcego mężczyzny, choć wiedziała, że będzie potrzebował męskiej opieki, bo ktoś musiał go nauczyć łowić i polować. Czekala więc niecierpliwie na noc Dziadów, mając nadzieję, że porozmawia wtedy z duchem utopionego męża i poradzi się go, co ma czynić: przyjąć oświadczyzny któregoś z sąsiadów czy opuścić wioskę i udać się do krewnych mieszkających w oddalonym osadzie w głębi łądu. Mogłaby tam oddać synka pod opiekę dziadków, sama zaś nająć się u kogoś do pracy.

Tymczasem czas mijał, od morza powiały lodowate północne wichry, drzewa traciły liście, dni robiły się krótsze, a noce dłuższe. Wdowa przejadła już wszystkie zapasy, spiżarnia świeciła pustkami, w niegdyś tak zasobnym gospodarstwie zrobiło się chłodno i głodno. Jaga z przerażeniem myślała o nadchodzącej zimie. Wiedziała, że bez chłopca, który wyżywi rodzinę, nie przetrwa mroźnych miesięcy. Coraz bardziej uświadamiała sobie, że nie pozostaje jej nic innego, jak – nie czekając na Dziady – oddać rękę któremuś ze starających się o nią mężczyzn lub opuścić wieś i żyć gdzieś na łaskawym chlebie. Pod wpływem tych ponurych myśli stawała się coraz bardziej gniewliwa i rozdrażniona.

Tym bardziej hołubiła małego, jedyną pamiątkę minionych dobrych lat. Pewnego wieczoru karmiła go, grzejąc się przy palenisku. Nagle ogień strzelił iskrami i jedna z nich spadła na czoło Jaszy. Dzieciak zakwilił boleśnie, a rozzłoszczona Jaga zerwała się, jakby sama została sparzona i zawołała:

– Karmię cię ciągle drewnem, które narąbałam w pocie czoła, a ty parzysz mojego synka?! Nie dam ci więcej polan!

Ogień milczał jak zakłęty, potrzaskując tylko, gdy pożerał kolejne szczapy.

Jaga ułożyła płaczącego dzieciaka do kolebki i chwilę kołysała. I znów płomienie wystrzeliły, sypiąc skrami. Jedna oparzyła dłoń matki, parę innych spadło na zapaskę,

wypalając w niej małe dziurki. Tego było już nadto gospodyni. Znowu się poderwała, chwyciła za ożóg i zaczęła z szaloną zaciekłością tłuc w palenisko.

– Posiekam cię, zaduszę, zaleję! – krzyczała przy tym w zapamiętaniu.

Widząc, że ogień niewiele sobie robi z jej wysiłków i buzuje dalej, chwyciła sagan pełen wody i zalała drwa. Palenisko zagasto z sykiem, buchając kłębamii pary.

– Sparz jeszcze raz mnie lub mego synka, a nigdy już nie zapłoniesz! – zagroziła na koniec rozsierdzona niewiasta, nie zdając sobie sprawy z wagi słów wypowiedzianych w złą godzinę.

Gdy przyszło opamiętanie, stwierdziła, że w chacie zapanował mrok, a jej synek płacze z zimna. Opatuliła dzieciaka czym tylko mogła i usiłowała na nowo rozpałiĆ ogień, lecz mokre drewno nie chciało się zająć krzesanymi z trudem iskrami. Dopiero teraz zrozumiała, jaki błąd popełniła, wygaszając w bezrozumnym szale domowe ognisko. Nie było rady, musiała pójść pożyczyć ogień od sąsiadów i przyznać się ze wstydem do winy.

Ukołysała do snu dzieciątko i pobiegła do najbliższej chaty.

Niestety, gdy tylko przekroczyła sąsiedzki próg, ogień na tamtejszym palenisku zgast nagle ku przerażeniu zgromadzonych. Powtórzyło się to w paru kolejnych domostwach. Z ust do ust, z chałupy do chałupy niosła się wieść, że wdowa po Gostku musiała ściągnąć na siebie klątwę Swarożyca, skoro w jej obecności gaśnie wszelki płomień. Nim dotarła do ostatniej chaty, usłyszała za plecami trzask gromu spadającego z nieba i przerażone okrzyki:

– Gore! Gore!

Zobaczyła, że wszyscy mieszkańcy wsi biegną w stronę jej domu i że ściana leśnych drzew rozjarzyła się niezwykłym blaskiem. Podążyła tam ostatkiem sił i stanęła jak wryta. Niezdolna była się w tej chwili poruszyć, krzyknąć ani nawet zapłakać. Wlepiała tylko szeroko rozwarte oczy w chatę trawioną przez ogień zesłany z niebios.

Stojący wokół ludzie wołali, że sam Perun pomścił znieważenie swego syna,

odbierając dom i dziecko nieszczęsnej niewieście. Nikt oczywiście nie próbował gasić płonącej chałupy, byłoby to bowiem obrazą dla władcy gromu.

Jaga w końcu otrząsnęła się ze skamienienia, za to wstąpiła w nią gwałtowna rozpacz. Parokrotnie chciała rzucić się w ogień, by ratować Jaszę lub umrzeć wraz z nim w płomieniach, lecz ludzie, widząc, co zamierza, mocno trzymali ją za ramiona. Mogła więc tylko stać i patrzeć bezradnie, jak jej dom staje się gorejącym szkieletem. Obwiniła się w duchu, że zostawiła synka na pastwę przywołanego przez nią samą nieszczęścia. Gdy nad ranem ogień przygasł i wiatr począł rozwiewać popioły, zrozumiała, że z własnej winy straciła wszystko, co miała. Nie wiedziała, czy powinna bardziej przeklinać siebie, czy bezlitosnych bogów, na których niełaskę się naraziła.

Kiedy dopalał się żar, ludzie zażegli od niego pochodnie, aby na powrót rozniecić domowe ogniska. Wszyscy się rozeszli, tylko Jaga została na pogorzelsku. Grzebiąc w ciepłych popiołach, odnalazła osmalone kosteczki synka. Jako że cała wieś uznała ją za przekłątą, nie miała już tutaj czego szukać, nie znalazła jednak dość sił, by odejść daleko od miejsca, gdzie niegdyś była szczęśliwa. Na skraju lasu zbudowała nędzny szałas i zamieszkała w nim odrzucona, samotna, na poły obłąkana.

Matki straszyły nią dzieci, przestrzegając, by omijały z daleka przekłete miejsce. Opowiadały, że Baba Jaga, jak teraz ją zwano, oszalała po śmierci męża i ukochanego Jaszy, dlatego zwabia do siebie maluchy, po czym pali je na wolnym ogniu i pożera, mszcząc się na rodzinach, którym bogowie błogosławią. Ilekroć tylko jakieś dziecko zachorowało lub, co gorsza, umarło, natychmiast obwiniano o to leśną czarownicę. Mimo to niektóre niewiasty po dawnemu zachodziły do niej, choć teraz ukradkiem, prosząc o porady i leczące zioła. Odwdzięczały się, przynosząc żywność, dzięki czemu nieszczęsnica przetrwała wczesną jesień. Gdy jednak drzewa straciły ostatnie liście i zimny wiatr hulał pośród nagich gałęzi, uznała, że przyszła na nią ostatnia godzina. Pogodziła się nawet z tym, że wkrótce uświerknie z głodu i zimna, a potem

odejdzie do Nawii, by spotkać duchy męża i synka.

Wreszcie nadszedł czas Dziadów. We wsi palono ognie, by tańczyć pośród nich w drewnianych maskach przodków i biesów. Ucztowano też przy mogiłach, wzywając dusze praocjów. Jaga nie przyłączyła się do obchodów, obawiając się, że zostanie przepędzona. Obserwowała tylko ze swego szałasu grę roztańczonych światel i cieni, mamrocząc pod nosem jakieś słowa bez związku, które podsuwały jej skaczące przed oczami widziadła.

Nagle dochodzącą od wsi poświatę przesłoniła szczupła, nieco przygarbiona niewieścia postać. Kobieta odziana była w strojną, srebrzyście skrzącą się szatę, twarz zaś miała osłoniętą śnieżnobiałą materią.

Jaga zadrżała na całym ciele, sądząc, że śmierć wreszcie po nią przyszła. Gdy nieco ochłonęła, spostrzegła, że obca nie zamierza jej skrzywdzić, a jedynie stoi nieruchomo i przypatruje się jej bacznie zimnymi, jasnoniebieskimi oczyma. Wdowa doszła po chwili do wniosku, że musi to być żona jakiegoś kupca albo wielmoży, która przybyła tutaj zwabiona mroczną sławą przeklętej przez bogów guślarki. Gdyby Jaga nieco lepiej znała obyczaje możnych, wiedziałyby, że takie panie nie włóczą się nocą samotnie po lesie, nawet podczas obrzędu Dziadów. Skąd jednak miała o tym wiedzieć, skoro nigdy nie wyjechała poza rybacką wioskę?

– Czego sobie życzysz, jasna pani? – zapytała w końcu ochryple. – Jeśli pragniesz ziół na jakąś niewieścią przypadłość, dobrze trafiłaś, jeśli jednak szukasz tojadu, by się pozbyć małżonka, idź dalej swoją drogą.

– Nie potrzebuję pomocy – odparła tamta chłodnym, ale życzliwym głosem. – Raczej tobie jej potrzeba.

– Mnie już nie można pomóc – stwierdziła zielarka, głęboko wzdychając.

– Mylisz się. Poniosłaś wielką stratę i wydaje ci się, że wszystko skończone. Nie musi wcale tak być. To niełatwy świat nie tylko dla zwykłych niewiast, ale też dla bogiń, bo męscy bogowie karzą wszystkie kobiety, tępo trzymając się ustanowionych

przez siebie zasad, nie zważając na cudzy ból. Nasze cierpienia nic dla nich nie znaczą, byle tylko stało się zadość wymyślonej przez nich sprawiedliwości.

– Jesteśmy zbyt słabe, aby przeciwstawić się męskim prawom – wyrzekła głucho wdowa.

– I znowu się mylisz. – Obca roześmiała się dźwięcznie. – Wiedzące kobiety umieją sobie poradzić nawet na tym nieprzyjaznym świecie.

– Nie jestem wiedzącą.

– Ależ jesteś. – Biała pani spoważniała. – Jesteś, tylko jeszcze o tym nie wiesz. Dużo pracy przed tobą, ale jeśli tego naprawdę zechcesz, możesz zyskać ogromną wiedzę, która sprawi, że zwykli ludzie będą się ciebie nie tylko bać, jak teraz, ale i szanować.

– W jaki sposób? – zdziwiła się wieśniaczka, zerkając spod oka na dziwnego gościa.

– Musisz wyjść poza wiejskie opłotki – wyjaśniła tamta. – Nie tylko na własnych nogach, lecz również, a raczej przede wszystkim, w swoim umyśle. Przenosiny do lasu były pierwszym dobrym krokiem, lecz został on na tobie wymuszony...

– Wymuszony gromem Peruna – podchwyciła Jaga z goryczą – który spalił mi chatę i zabił synka.

– Wierz mi, żaden piorun nie spada przypadkowo – zapewniła tajemnicza pani. – Wiem, że owa tragedia sprawiła ci wielki ból, ale zarazem uczyniła cię wolną.

– Po co?

– Abyś się przebudziła do nowego życia. Ból był twoją próbą, a mądrość trzeba okupić bólem.

– Nie czuję się wcale mądrzejsza – oświadczyła wdowa, wzruszając ramionami.

– Bo smutek i tęsknota za najbliższymi wciąż zaćmiewają ci umysł. – Nieznajoma przeszła guślarce przenikliwym spojrzeniem. – Nie rozpamiętuj swej krzywdy i nigdy niczego nie żałuj. Gdy uwolnisz się od tych niszczących uczuć, inaczej

spojrzysz na wszystko, także na boskie wyroki. Na pocieszenie powiem ci, że twój utopiony mąż nie cierpi w podwodnej siedzibie Strzyboga, gdyż rusalki wyrwają go sobie, a duszę twego syna Swaróżyc wziął do Wyraju. Ostatnio słoneczny pan przywołuje z ludzkiego świata małych potomków swego jurnego brata Jarowita. Czyni z nich planetników albo szkoli na słonecznych witezi. Niedługo zaczną odsyłać ich na ziemię, by odrodzeni wśród ludzi, dawali im przykład dzielnością i szlachetnością. Sława tych chobrych wojów przetrwa w pieśniach, a przez to ludzie przestaną być istotami tak lichymi jak teraz. Może więc i twój synek odrodzi się jako chobry witeź walczący ze żmijami i innymi mrocznymi stworami...

– Słaba to dla mnie pociecha, gdy patrzę na kosteczki mojego Jaszy – wtrąciła znękana wieśniaczka. – Nie będę świadoma lub nie doczekam jego przyszłych zwycięstw.

– Mylisz się. Wszystko będziesz widziała i o wszystkim będziesz wiedziała. Może nawet wspomozesz syna. Świat usłyszy jeszcze także o tobie i kolejne pokolenia będą snuć niezliczone baśnie o Babie Jadze...

– Skąd o tym wszystkim wiesz, pani? – Zdumiała się wdowa. – Może drwisz tylko z prostej wieśniaczki albo chcesz mnie pocieszyć gładkimi obietnicami?... Kim właściwie jesteś? – Odważyła się w końcu zapytać.

– Chyba już się domyślasz – odparła biała pani, prostując się dostojnie – inaczej zwątpię w twoją wrodzoną bystrość.

Jej szata roziskrzyła się srebrzyście w świetle księżyca, a pod śnieżnobiłą zasłoną ukazały się na chwilę rysy piękne, lecz jakby skute lodem... Postać upajała swoim niezwykłym urokiem, ale wiało też od niej śmiertelnym chłodem.

Jaga poczuła, jakby jej serce przebiła ostra lodowa igła. Było to bolesne, lecz zarazem osobliwie ożywcze doznanie. Rozjaśniło się jej w głowie i dotychczasowe smutki pierzchły w przebłysku zrozumienia.

– Wybacz, Marzanno, że od razu cię nie rozpoznałam i nie złożyłam wyrazów czci

– wybełkotała wstrząśnięta, rzucając się do stóp bogini.

– Nie przybyłam tutaj po wyrazy czci, lecz by wyrwać cię z odrętwienia rozpacz. Obiecuję, że staniesz się potężną wiedźmą, być może największą, jaka kiedykolwiek istniała.

– Ale jak mam tego dokonać? – wyjąkała niepewnie Jaga.

– Musisz pójść do Zakłętego Boru – oznajmiła zimowa pani. – Zabierzesz nieszczęsne kosteczki, nad którymi trwałaś do tej pory w jałowej bolesti. Złóżysz je w ofierze Welesowi, on zaś udzieli ci rad.

– Słyszałam o Zakłym Borze – niewyraźnie wymruczała przejęta nadzieją wieśniaczka. – Nikt nie wie, gdzie się znajduje, a droga doń jest ponoć zamknięta dla śmiertelnych.

– Ale nie dla bogini. Ani dla wiedzącej.

– Czy to daleko stąd? – Chciała wiedzieć drżąca z przejęcia Jaga.

– Zależy dla kogo – odparła poważnie śnieżna pani. – Drogę do niezwykłego lasu trzeba znaleźć we własnym sercu. Wtedy będzie na wyciągnięcie ręki.

Rzekła i machnęła białą dłonią. Wówczas przed oczami zdumionej śmiertelniczki otworzyła się ścieżka wiodąca pośród wiecznie zielonych drzew, oświetlona błędnymi ognikami i rozkwitającymi tu i ówdzie kwiatami paproci.

– Kwiaty paproci w noc Dziadów? – zdziwiła się po raz ostatni kobieta, która chciała zostać wiedźmą.

– To przecież Zakłęty Bór – przypomniała bogini, śmiejąc się bezgłośnie – gdzie czas mija inaczej, ludzkie miary nie mają więc tutaj zastosowania. Idź śmiało ku swemu przeznaczeniu. Wysłuchaj jeszcze tylko paru rad na drogę, a będziesz wiedziała, jak postępować.

Jaga wysłuchiwała zatem rad bogini, po czym ruszyła długą, zda się nieskończoną, ścieżką, przyciskając do piersi szczątki ukochanego Jaszy.

Idąc przez czarodziejski las miała wrażenie, że cały czas jest obserwowana. Kątem

oka dostrzegła migające pomiędzy omszałymi pniami odwiecznych dębów i niebotycznych sosen świecące w mroku ciała skrzydlatych wił. Dobiegały ją także stłumione głosy i chichoty skrytych w gęstwinie skrzatów. Pouczona jednak przez boginię, szła prosto do celu, nie zatrzymując się i nie rozglądając.

Nie umiałaaby powiedzieć, jak długo wędrowała, ale w końcu zobaczyła siedzącego przy ogniu olbrzyma z turzymi rogami. Pan podziemi objawił się jej jako Leszy, władca kniei i zwierząt.

– Czego tu szukasz, śmiertelna niewiasto? – zahuczał pozornie groźnym głosem. – To nie miejsce dla takich jak ty.

– Przyszłam złożyć ci ofiarę, potężny władcyko czarów – odpowiedziała śmiało, patrząc mu prosto w oczy. – Chcę rozstać się z dawnym życiem i otrzymać od ciebie nowe.

– Hm, tylko tyle i zarazem tak wiele? – odparł wymijająco. – Nieliczni śmiertelni, którzy zdołali wejść do Zakłętego Boru, nigdy z niego nie wyszli albo wrócili do swoich całkiem obłąkani. Który los wybierasz?

– Ani jeden, ani drugi. Niemal oszalałam po stracie najbliższych i domu. Zaszyłam się w lesie, by umrzeć. Mam więc próby śmierci i szaleństwa za sobą, dlatego przyszłam o coś prosić.

– O co? – spytał rzeczowo olbrzym.

– Zanim przedstawię moją prośbę – odpowiedziała chytrze – chcę, byś przysiągł, że ją spełnisz. Znasz dobrze wagę takiego przyrzeczenia, skoro jesteś panem przysiąg...

– Ha, czego to się zachciwa niedoszłej czarownicy! – Przerwał jej z przekąsem. – Pomówmy zatem jasno i bez osłonek. Jaką dań mi przyniosłaś?

– Składam ci ofiarę z tego, co było mi najdroższe – rzekła, wyciągając ku niemu dłoń ze szczątkami Jaszy. – Oto kości mojego dziecka.

– Wiesz, że nie mogę zwrócić ci syna – zastrzegł Leszy, odbierając dar i wrzucając

kości do ognia. – Skoro Swarożyc zabrał go do Wyraju, jest poza moim zasięgiem.

Języki płomieni zatańczyły, odpędzając mrok i przyciemniając światło gwiazd. Drobne dziecięce kosteczki Jaszy szybko się spopielili. Ofiara została przyjęta.

– Nie tego pragnę – zaprzeczyła.

– Czego więc? – powtórzył lekko zniecierpliwiony bóg.

– Najpierw przysięgnij. – Wdowa upierała się przy swoim.

– Tylko na co? – odpowiedział drwiąco. – Na mych braci, na słońce i księżyc? A może na samego siebie?

– Przysięgnij na Nawię i swój złoty tron – zażądała twardo. – Są ci najdroższe.

– Zgoda, przysięgam – rzekł układnie pan podziemi

– na Nawię i mój złoty tron.

Ziemia pod ich stopami zatrzęsa się, drzewa wokół zakołysały od korzeni po niebotyczne korony, a przez cały bór przeszło drzenie, jakby potwierdzając wagę przysięgi.

– Stało się. Czego w zamian pragniesz? – zapytał, ciągle łudząc się, że chodzi o jakieś zwykłe babskie marzenia.

– Na pewno już wiesz, panie – zauważyła Jaga przekornie.

Olbrzym mruknął z rozdrażnieniem i przybrał postać wielkiego czarnego niedźwiedzia.

– Nie mogę zwrócić ci utraconych bliskich – zaryczał. – To nie moja dziedzina. Jeśli nie chcesz być nadal samotna, przyślę ci biesa chowańca. Będzie spełniał różne twoje życzenia... również te bardziej tajemnej natury.

– Miałam już męża. Teraz swawoli w morzu z rusałkami – odparła. – Niepotrzebny mi kolejny zdradliwy chłop, który poleci za pierwszą pięknooką zdzirą.

– Może zatem chcesz poznać drogę do podziemnych skarbów?

Władca zaświata zatoczył krąg pazurzastą łapą, a wówczas rosnące wokół kwiaty paproci rozjarzyły się od kielichów po korzonki, ukazując drogę do skrytych pod

ziemią bogactw.

– Złoto i klejnoty zwykle radują kobiety – mruknął miś – ale u nas, w Nawii, warte są tyle, co spróchniałe drewno. Mamy ich dużo i możemy się z tobą podzielić.

– Radość z bogactw nie trwa długo, bo kosztowne ozdoby nie wypełnią pustego życia, któremu brak celu. Nie tego pragnę, mój panie.

– Skaranie bogów z tymi grymaśnymi babami – warknął niedźwiedź, machając łapą i sprawiając, że wszystko zgasło. – Tego nie i tamtego nie... Trudno dojść z wami do ładu. Może chcesz zatem wiedzy o uzdrowicielskich i zabójczych właściwościach ziół? Albo pragniesz zdobyć władzę nad zwierzętami? A może poznać wszelkie tajemnice przyrody? To by cię chyba zadowoliło?

– Prawie trafiłeś w sedno, panie wróżb – przyznała wdowa. – Wiem to i owo o ziołach, ale pragnę całej tajemnej wiedzy, jakiej mi możesz użyzyć. Chcę poznać sztukę jasnowidzenia i przepowiadania przyszłości, znać mowę płonących kości i wystygłych popiołów oraz wszelkie rodzaje guseł: leczących, zabójczych i miłosnych. Chcę dzięki tobie stać się najpotężniejszą wiedźmą wszech czasów – oznajmiła z mocą.

– Podeszłaś mnie, Babo Jago – stwierdził z rozbawieniem Weles, przybierając swą zwykłą postać siwobrodego guślarza. Nie zapominajmy, że rogaty pan sam jest największym mistrzem podstępów, ale nawet jego potrafi rozbroić niewieścia przebiegłość.

– Bogowie, tak samo jak władcy, nie powinni przysięgać. Żle, kiedy łamią przysięgę, ale czasem jeszcze gorzej, kiedy jej dotrzymują – stwierdził dwuznacznie. Chwilę milczał, nim dodał: – Będzie jak chcesz. Przekażę ci całą dostępną mi wiedzę i staniesz się najpotężniejszą z wiedźm... Zanim jednak rozpocznę nauczanie, udzielę ci ważnej rady...

– Jakiej? – dała się złapać Jaga.

– Nie igraj więcej z ogniem – rzekł Weles, zanosząc się suchym starczym

śmiechem.

I stało się to, czego pragnęła Jaga. Kiedy po długim pobycie w Zaklętym Borze wróciła pomiędzy żywych, zasłynęła jako potężna wiedźma, której zarówno się bano, jak i ją szanowano. Dzięki władcy Nawii odkryła też sposób na przedłużenie swego życia i zachowanie urody. Prawdę jednak mówiąc, starzała się jak inni ludzie, lecz umiała sprawić czarami, by mężczyźni widzieli w niej młodą i powabną dziewczynę. Niektórzy powiadają nawet, że po wielu latach została małżonką sławetnego księcia Popiela... Ale to już całkiem inna historia, którą może wam kiedyś opowiem.

Na zakończenie słów kilka o ogniu.

Jest najbardziej żywotnym z żywiołów, bo nie tylko niszczy, ale i stwarza życie. Płonie w naszych sercach – wypełza z ich głębi i jawi się jako miłość, jednakże tli się także w dogasających zgliszczach i skrywa utajony jak nienawiść oraz zemsta. Niesie rozkosz, lecz i mękę. Daje gorącą strawę, ale też przynosi zagładę. Sprawia przyjemność człowiekowi grzejącemu się w jego ciepłe, jednak karze tych, którzy z nim igrają. Oznacza dobrobyt i szacunek, choć zsyła również grabież i ruinę. Jest zarazem bogiem opiekuńczym i strasznym.

Płonie w niebiosach, lecz także pod ziemią. Rozświetla kuźnię Swaroga w Wyraju i pali się w czeluściach Nawii. Rozpalamy ogień w noc Kupały, by odegnać ciemność i rozgrzać tańczących, ale też w noc Dziadów, by wskazać drogę duszom przodków. Układamy stosy pogrzebowe, aby zmarli mieli godną tryznę i ich popioły użyźniły Matkę Ziemię, choć zarazem widzimy w płomieniach znak życia: wchodząc do czyjegoś domostwa, najpierw pozdrawiamy domowe ognisko.

Wiecznie płonący ogień jest duszą Ludu Słowa. Przy nim zbieramy się, by słuchać pradawnych opowieści, w opowieściach zaś łączą się mądrość starca, doświadczenie męża, rady babki, czułość matki, prawość ludu i moc ziemi. Cześć oddawana tradycji nie polega jednak tylko na jałowym grzebaniu w popiołach przeszłości. Musimy nieść święty żar dalej, w przyszłość.

Tymczasem nasz ogień przygasł, Chors wędruje na zachodnią stronę nieba, psy już śpią, a beczułka ukazała dno...

Czas na sen, moi mili.

Śpijcie dobrze i niech każdy z was wyśni własną opowieść o bogach i chrobrych witeziach.

Baba Jaga występuje w licznych baśniach słowiańskich i ugrofińskich, nie zawsze zresztą w roli negatywnej. Pytaniem pozostaje, czy jej pierwowzoru należy szukać w warstwie mitycznej, czy była to istota ze świata demonologii. W tym drugim wypadku należałoby uznać, że w postaci Baby Jagi zachowana została pamięć po istniejących niegdyś w społecznościach słowiańskich potężnych wiedźmach, adeptkach wiedzy tajemnej typu szamańskiego, które zajmowały się wieszczaniem, leczeniem, rzucaniem czarów, opieką nad prawidłowym przebiegiem rytów inicjacyjnych dorastającej młodzieży (stąd motyw „zjadania” dzieci). Można też w baśniowych czarownicach typu Baby Jagi widzieć zdesakralizowany w czasach chrześcijańskich obraz bogini nocy, czarów i leśnej fauny, która stała u boku Leszego. Jeśli to przypuszczenie jest prawidłowe, dopiero po chrystianizacji nadano jej wygląd i charakter odrażającej staruchy, która porywała i pożerała dzieci.

O ile wiem, do tej pory żaden twórca zajmujący się rekonstrukcją słowiańskich wierzeń nie ukazał początków „działalności” Baby Jagi ani nie próbował – za pomocą baśni – wytłumaczyć zagadki jej „narodzin”. Postanowiłem zająć się tym tematem, wykorzystując pewien okrutny przekaz ugrofiński (podobny motyw występuje w opowieściach słowiańskich) o mściwym bogu słońca/płomieni, ilustrujący, jak ważnym elementem życia wszystkich pierwotnych ludów był ogień. Należało go wciąż podsycać, a czynność ta pierwotnie należała do szamanów, wiedźm, kapłanów słonecznych bóstw czy ludzi upośledzonych lub szalonych, uznawanych w dawnych społecznościach za bliskich bogom. Zarówno obowiązek opieki nad paleniskiem domowym, jak i szeroko pojęty kult ognia bliskie były również Słowianom, o czym świadczą ich baśnie i obyczaje. Wykorzystałem te

wszystkie elementy jako punkt wyjścia do dalszych losów Jagi, które są już wyłącznie moją konfabulacją.

DODATEK I

Słowiańskie bóstwa występujące

w *Opowieściach bajarza*

Jasne bóstwa

BIAŁOBÓG

Miano tego boga nie zostało zapisane w żadnym źródle średniowiecznym, jak jednak uważają niektórzy badacze, właśnie tę postać mityczną miał na myśli – choć nie podał jej imienia – Helmold z Bozowa w *Kronice Słowian* (XII wwiek), pisząc o jakimś „dobrym bogu” połabskich Obodrytów (Obodrzyców). Nazwa „Białobóg” pojawiła się w piśmiennictwie dopiero w XVI stuleciu jako sztucznie rekonstruowane określenie istoty będącej domniemanym przeciwieństwem znanego ze starszych źródeł Czarnoboga. Według różnych interpretacji ludoznawczych, a potem religioznawczych było to pomorskie i połabskie bóstwo opiekuńcze rządzące pomyślnym losem ludzkim (szczęściem), dniem, światłością, a zatem mogące być (pierwotną?) formą Swaroga. Możliwe jest także pojmowanie opozycji między Białobogiem a Czarnobogiem jako wyrazu dualizmu charakterystycznego dla szamanizmu, a więc archaicznego systemu religijnego, którego liczne elementy widoczne są w pozostałościach wierzeń słowiańskich. Z drugiej strony część naukowców całkowicie neguje istnienie zarówno Białoboga, jak i Czarnoboga w mitologii słowiańskiej.

Jak informuje Jerzy Strzelczyk w książce *Mity, podania i wierzenia dawnych Słowian*: „Góra Bieleboh [...] na Górnych Łużycach [...] nazwę tę [...] po raz pierwszy otrzymała na początku XIX w., bez wątplenia w ścisłym związku z karierą pobliskiego i wyższego szczytu Czorneboh. Doszukiwano się potwierdzenia istnienia bóstwa Białoboga w nazwach miejscowości Belbuck pow. Greifswald i Białoboki (1208 Belbuck, Belbuch, 1217 Belbog) koło Trzebiatowa, gdzie w drugiej poł. XII

w. założono klasztor premonstratensów, co jednak nie jest pewne (mimo że w odniesieniu do Białoboków późne co prawda *Roczniki premonstrateńskie* twierdziły, że nazwa ta wywodzi się od «Belboga, bożka (idola) Pomorzan, co oznacza boga białego i dobrego»)...”.

Niektórzy uczeni zwracają uwagę na analogie pomiędzy Białobogiem a nordyckim Baldurem, bóstwem łagodnym, uosobieniem wiosny i światłości. Inni z kolei są zdania, że Białobóg jest wymysłem dawnych ludoznawców, a wspomniane nazwy miejscowe pochodzą od lasu bukowego, a nie od imienia własnego.

DADŹBOG – PATRZ: SWAROŻYC DOLA

Występująca w słowiańskich przekazach ludowych niejasna personifikacja losu/przeznaczenia, być może mająca źródło w obrazie którejś z pierwotnych bogiń (Mokoszy?, bogiń-demonic Rodzanic?) sprawującej pieczę nad ludzką pomyślnością i tkającą losy. Przypuszcza się, że w wierzeniach słowiańskich każdy człowiek miał własną dolę, która towarzyszyła mu od chwili narodzin do śmierci i wyznaczała przebieg żywota (zły los nazywano niedolą). Ślady wiary w dolę przetrwały w porzekadłach typu „taka już czyjaś dola” lub „dobrze żyć takiemu, czyja dola nie śpi”, które mogą świadczyć, że uważano, iż przeznaczenie człowieka jest zdeterminowane przez działania domniemanych bogiń losu

/prządek. Zdaje się jednak, że istniało także przeświadczenie o możliwości wpływania przez człowieka w pewnym ograniczonym stopniu na własne losy, o ile potrafił walczyć z życiowymi przeciwnościami.

W południowosłowiańskim folklorze zachował się obrzęd polewania wodą wybranej dziewczyny zwanej przy tej okazji obrzędowym mianem Perperuny lub Dodoli, co miało sprowadzić życiodajne deszcze. Echem owego pradawnego obrzędu jest nasz swojski dyngus. Sprawą dyskusyjną jest utożsamianie Perperuny z dolą, gdyż ta bałkańska postać wydaje się mieć silniejsze konotacje z domniemaną (jak połowa

postaci z panteonu słowiańskiego) żoną Peruna, która sprowadzała deszcz i mogła być ogólnie pojmowana jako bogini płodności, urodzaju.

DZIEWANNA – PATRZ: MARZANNA JAROWIT/JARYŁO

Imię Jarowit nosił czczony przez Słowian połabskich bóg o ewidentnych aspektach wojennych, ale zapewne związany także z siłą, płodnością, odradzaniem się przyrody, być może też ze słońcem. Ośrodki jego kultu znajdowały się w Wołogoszczy i Hobolinie.

Z kolei w przekazach wschodniosłowiańskich występuje Jaryło, zagadkowa postać, która wydaje się wywodzić z grona bogów lub herosów kulturowych. Opisywano go jako młodzieńca w białej szacie, wieńcu z ziół na głowie, jadącego na białym koniu i trzymającego w rękach uciętą głowę oraz kłosa zboża.

Cześć badaczy uważa, że Jarowit i Jaryło to dwa wcielenia jednego bóstwa, gdyż w ich obrazach wysuwają się na czoło te same podstawowe funkcje: wojenna i wegetacyjna. W ścisłym związku z tymi aspektami pozostaje podanie o „starym” Jaryle ustępującym miejsca „młodemu” Jaryle, które zapewne ukazywało fakt pokonania starego roku przez nowy rok w momencie nadejścia wiosny, czyli odrodzenia się przyrody. Być może ilustracją tego wierzenia był obraz młodzieńca trzymającego czyjąś uciętą głowę – należy się domyślać, że był to czerep zdetronizowanego poprzednika. Warto dodać, że w aspekcie żeńskim odrodzenie przyrody ukazywano jako przemianę zimowej Marzanny w wiosenną Dziewannę (patrz hasło Marzanna/Dziewanna).

Połabskie imię Jarowit składa się z dwóch członów: *jar* – „silny, krzepki” oraz *wit* – „pan, władca”. Pierwszy element odnosi się zarówno do siły fizycznej, jak i młodzieńczego wigoru, Jarowit mógł więc być wcieleniem klasycznego słowiańskiego witezia, mocarnego i niezwykle jurnego.

Z dwóch żywotów świętego Ottona z Bambergu (jednego pióra Ebona, a drugiego

Herborda, XII w.) dowiadujemy się, że w Wołogoszczy szczególnym kultem była otoczona złota tarcza młodzieńczego boga. Wynoszono ją ze świątyni tylko na czas wojny, by przyniosła zwycięstwo, dlatego kronikarze porównywali wojowniczego Jarowita z rzymskim Marsem. Jeden ze ściganych przez „pogan” chrześcijańskich misjonarzy zdjął tę tarczę ze ściany wołogoskiego chramu i wykorzystując fakt, że miejscowi uważali ją za święty przedmiot, zdołał ocalić życie.

Wedle jednego z powyższych żywotów kapłan owej świątyni tak przemawiał do wyznawców w imieniu Jarowita: „Jam jest twój bóg, jam jest ten, który okrywam pola murawą, a lasy liściem; w mojej władzy urodzaje niwy i drzewa, płodność stad i wszystko, co służy na pożytek człowieka: wszystko to daję ludziom czczącym mnie i odbieram wypierającym się mnie”.

Jak informuje Ebon, przyjście Jarowita na świat celebrowano podczas świąt wczesnowiosennych, które można utożsamiać ze znanymi z badań etnograficznych Jarymi Godami. Silny, młody, pełen wigoru bóg był zatem zwiastunem wiosennego odrodzenia, ponownego rozkwitu życia, szczególnie płodności i wegetacji. W wielu interpretacjach łączy się go z Marzanną i symboliczną śmiercią upostaciowanej zimy. Czas życia i panowania na ziemi młodego boga był stosunkowo krótki i obejmował tylko miesiące wiosenne. Motyw śmierci wiosennego pana przewija się w wielu „pogańskich” mitach, m. in. w celtyckich i greckich (Adonis).

Zachowała się wschodniosłowiańska pieśń, którą podczas wiosennego obrzędu śpiewały młode dziewczyny:

Włóczył się Jaryło

Po całym świecie;

Rodził żyto w polu,

Płodził ludziom dzieci.

A gdzie on nogą,

Tam żyto kopą,

A gdzie on na ziarnie,

Tam ktoś zakwitnie.

MARZANNA I DZIEWANNA

Niektórzy uczeni widzą w tych dwóch zdemonizowanych postaciach relikwii jednej bogini o dwóch obliczach. W takim ujęciu oblicze pierwsze, Marzanna, miałoby symbolizować zimę i niszczycielską moc natury. Zachowany do dzisiaj obrzęd topienia jej kukły był jednym z elementów Jarych Godów (patrz też hasło o Jarowicie i Jaryle). Zabieg ten miał zapewnić urodzaj na cały nadchodzący rok (mowa o roku wegetacyjnym, nie kalendarzowym, przyjętym później wraz z chrześcijaństwem). Imię tego domniemanego bóstwa wyprowadza się od słowiańskiego rdzenia *mar* lub *mor*, zapewne związanego z zimową śmiercią i przemijaniem, a kojarzącego się z takim słowami jak „pomór”, „umrzeć”, a także „mróz” i „marznąć”.

Według różnych hipotez Marzanna miała sprawować pieczę nad pokrytymi śniegiem polami i skutymi lodem wodami albo nad snami, albo też nad wojną. Mogła być jednym z dwóch pierwotnych oblicz Matki Ziemi, która daje życie, ale je także odbiera. Niewykluczone, że wrzucanie słomianej (niekiedy płonącej) kukły Marzanny do wody nie oznaczało w istocie jej śmierci, lecz było symbolicznym odesłaniem bogini do jej własnej sfery – zaświatów (silne byłyby zatem związki Marzanny nie tylko z pramatką Mokošą, ale także z Welesem). Zabieg ten zapowiadał rychłe odrodzenie bogini w postaci wiosennej Dziewanny, pani życia, budzącej przyrodę z zimowego snu. Ona byłaby więc drugim wcieleniem Mokošy/Matki Ziemi – siostrzaną inkarnacją Marzanny, boginią wiosny, kreacyjnych sił przyrody, lasów, zwierząt, łowów.

Jan Długosz przyrównywał Marzannę do rzymskiej Cerery, Dziewannę zaś utożsamiał z Dianą, podkreślał wszakże bliżej nieustalone pokrewieństwo łączące obie słowiańskie boginie (matka i córka, siostry?). Oczywiście należy ostrożnie traktować domniemania polskiego średniowiecznego uczonego, który omawiając

rodzime bóstwa zastosował *interpretatio graeca/romana*, czyli przeniósł świat pojęć grecko-rzymskich na jego słowiański odpowiednik, mimo to jego metoda porównawcza była znacznie bliższa dzisiejszym naukowym standardom niż używana przez kronikarzy niemieckich *interpretatio christiana*, która prowadziła do kojarzenia na przykład Welesa z diabłem, a słowiańskich zaświatów z piekłem.

Z powyższych hipotetycznych rozważań wynika, że Marzanna i Dziewanna mogły razem tworzyć boginię o dwóch obliczach: starym i młodym, ponurym i radosnym, śmiercionośnym i życiodajnym. To drugie oblicze potwierdzają przypisywane Dziewannie w opowieściach ludowych atrybuty związane z symboliką płodności: strój panny młodej, wieniec, kłosy zbóż, złote jabłko (symbol nieśmiertelności i odradzania się natury) czy złoty klucz do zaświatów, a także rośliny: odporny na mróz wrotycz czy marzanka wonna.

Imię Dziewanna obecne jest również w nazwie rośliny jej poświęconej. Młode panny paliły gałązki tak zwanego drzewka, czyli właśnie dziewanny, by wybłagać u bogini szczęśliwy dobór małżonka i udany związek. Słowianie wierzyli, że wiosenna pani jest patronką szczęśliwych małżeństw, toteż dziewczęta składały ponoć na jej ołtarzach pukle włosów swoich kawalerów. Uważana była także za opiekunkę chorych, modlono się więc do niej, by wybłagać uzdrowienie dla bliskich, nic zatem dziwnego, że nosiła imię tożsame z mianem pożytecznego zieleńca, które uznawano oczywiście za czarodziejskie.

MOKOSZ/MOKOSZA

Wymienioną już w średniowiecznym ruskim źródle (*Powieść minionych lat*, XII wiek) Mokoszę zapewne należy identyfikować ze znaną z folkloru Słowian wschodnich Matką Wilgotną (*Żyzną*) Ziemią (ros. *Mat' Syraja Zemla*), czyli boginią ziemi, wilgoci, płodności, opiekunką kobiet i właściwych im zajęć: tkactwa, przędzenia. Językoznawcy wyprowadzają jej imię od słów „mokry” i „moczyć”.

Badacze utożsamiają niekiedy Mokoszę z bałkańską Perperuną, przypuszczalną partnerką Peruna. Wskazywany też jest jej związek z Welesem w roli opiekuna zwierząt hodowlanych, zwłaszcza rogatego bydła.

Szczególną cześć oddawano Mokoszy w porze żniw wiosennych i jesiennych.

Wczesną wiosną ziemia była traktowana jak kobieta brzemienna, szykująca się do wydania dzieci-plonów. Nie można jej było wtedy „ranić” (na przykład pługiem albo łopatą), uderzać, rwać trawy ani innych roślin, unikano też takich prac jak gradzenie czy wbijanie kołków. Nie wypadało słuwać na ziemię ani jej przeklinać. Przysięgano na ziemię, całowano ją i uważano za świętą. Istotny w stworzeniu świata był związek ziemi z niebem, między innymi za sprawą deszczu i pierwszego wiosennego pioruna, które „zapładniały” glebę – ten boski związek był jednym z podstawowych mitów indoeuropejskich.

Kobiety składały w ofierze Mokoszy, jako opiekunce domowych czynności niewieścich, kłębki wełny i żywność. Związek z przedzeniem nici skłonił niektórych badaczy do utożsamiania tej bogini z Dolą, domniemaną słowiańską prządką ludzkich losów, jakkolwiek w innych indoeuropejskich mitologiach za przeznaczenie odpowiadały zazwyczaj istoty żeńskie w potrójnej postaci (greckie Mojry, rzymskie Parki, celtycka troista Brigid). Słowiańskimi odpowiedniczkami owych prządek mogły być trzy Rodzanice, pomocnice Roda, opiekunki matek rodzących, wyznaczające losy nowo narodzonych dzieci.

Kult Mokoszy poświadczony jest przede wszystkim na Rusi, ale niektórzy uczeni uważają, że jej zachodniosłowiańską odpowiedniczką mogła być domniemana bogini Łada, sprawująca opiekę nad miłością i wegetacją. Niestety, istnienie Łady nie jest dostatecznie udokumentowane.

PERUN

Prawdopodobnie początkowo bezpostaciowy bóg nieba kojarzony z piorunem. Z czasem został silnie zantropomorfizowany i nabrał charakteru wojownika patriarchy,

co wiązało się z przypisywanymi mu atrybutami: gromem, skałą (materialną postacią gromu), toporem bądź młotem oraz białym koniem. U Słowian i Bałtów istniały powszechne wierzenia, że uderzenie pioruna uświęcało dany przedmiot. Kult tego boga był nierozzerwalnie związany z dębem uważanym za symbol Drzewa Życia podtrzymującego nieboskłon i będącego obrazem całego wszechświata.

Kroniki ruskie, opisujące posągi gromowładnego Peruna, przedstawiają go jako srogiego męża w sile wieku ze złotym wąsem i siwą głową. Jego orężem był młot mający moc sprowadzania deszczu oraz zwyciężania wrogów, chorób i wrogich człowiekowi biesów. Jako bóg wojny władał różnymi rodzajami broni: toporem, maczugą, włócznią. Broń boga miała moc obalania drzew, rozcinania skał i burzenia wrogich twierdz. Na Rusi opowiadano, że cisnął na most w Nowogrodzie swą maczugę, z której potem zrobiono kniaziowskie berło.

Kult Peruna został poświadczony głównie na Rusi, zwłaszcza dzięki *Powieści minionych lat* (XII w.), w której wspomina się, że książę Włodzimierz Wielki kazał ustawić na kijowskim wzgórzu posągi Peruna, Chorsa, Dadźboga, zagadkowego Siemargła i Mokoszy. Z tego samego latopisu dowiadujemy się, że zawierając pokój z Bizancjum, drużynnicy kniaziowi „klęli się” (przysięgali) na Peruna, a „wszystka Ruś” (czyli lud, do którego zaliczano też kupców) przysięgała na Wołosa (patrz hasło o Welesie). Warto też zwrócić uwagę na analogiczny kult Perkuna u Bałtów, świadczący, że był on powszechny wśród wojowników plemion zamieszkujących obszar Europy Wschodniej i Środkowej.

Perun traktowany jest przez niektórych badaczy jako „wojenne” wcielenie naczelnego bóstwa Swaroga, czyli jako bóg wojowników. Funkcję tę mogłoby potwierdzać znaczenie imienia Perun: „ten, który uderza”. Nie chodzi jednak wyłącznie o oczywiste uderzenie gromem, ale też inne atrybuty, jak siła i bojowa skuteczność. Słowiański gromowładca powszechnie kojarzony był z dębem, drzewem często „błogosławionym” przez tego boga za pomocą piorunów. Bronią Peruna były

kamienne pioruny (ponieważ nieboskłon uważano za wykuty z kamienia), których pozostałościami miały być skamieniałe belemnity zwane kamykami lub strzałkami piorunowymi. Noszono je w charakterze amuletów, a także wkładane do dziecięcych kołyszek.

Słowiańską wersją praindoeuropejskiego mitu o walce pana niebios z monstrualnym smokiem wiążącym wody i reprezentującym siły chaosu jest opowieść o starciu Peruna ze Żmijem. Aleksander Gieysztor zwracał uwagę na podobieństwo tego mitu do opisanego w hymnach *Rigwedy* starcia Indry z demonem Wrytrą, porównywał także postacie Peruna i Welesa do Mitry i Waruny, opozycyjnej pary bóstw wedyjskich.

Słowiańskim znakiem gromowładcy był sześciobok foremny, którego każdy wierzchołek łączono linią ze środkiem figury – być może należy to uznać za symbol wiązki grotów strzał Perunowych uderzających w jeden cel. Żłobiono go w różnych wariantach na powalach chat, by zabezpieczyć domostwo przed błyskawicami. Przetrwał do dzisiaj pod postacią góralskiej rozety.

STRZYBÓG

Pojawiający się w wierzeniach Słowian Wschodnich bóg wirów powietrznych, do którego zanoszono prośby o pomyślne wiatry, mógł więc być także opiekunem żeglarzy. Jego imię wyprowadza się od słowiańskich rdzeni *ser* i *ster*, oznaczających „ciec” i „biec”.

W *Słowie o wyprawie Igora* (XII wiek) wiatry wiejące od morza i unoszące strzały połowieckie określone są mianem „wnuków Strzyboga”, co świadczy zarówno o „powietrznym”, jak i morskim charakterze tego bóstwa. Kult Strzyboga wiązany jest z typową dla Słowian antropomorfizacją zjawisk atmosferycznych – groźne, niszczycielskie wichry budziły powszechny lęk jako oznaka bożej niełaski. Gdziekolwiek wierzono także, iż przemieszczają się wraz z nimi dusze przeklętych (słowiańska wersja powietrznego dzikiego gonu). Uważano, że boscy pomocnicy

toczą z nimi nieustanną walkę, czego przejawem są opowieści o płanetnikach, sługach Strzyboga lub Swarozycza.

Wedle wzmianki w *Powieści minionych lat* (XII wiek) Strzybóg miał swój posąg w Kijowie obok innych słowiańskich bóstw.

Na podstawie licznych nazw miejscowych, występujących także poza Rusią, jak wieś Strzyboga pod Skierniewicami czy wzmiankowany w XIII wieku strumień Striboc pod Tczewem, dowodzą ogólnosłowiańskiego zasięgu kultu Strzyboga.

SWAROŻYC/DADŹBOG

Swarożyc czczony był podczas zimowych Szczodrych Godów, kiedy Słowianie świętowali narodziny nowego słońca. Część badaczy widzi w imieniu tego bóstwa typową nazwę patronimiczną z charakterystyczną końcówką -yc, jak w nazwach *bożyc* – „syn boga”, *księżyc* – „syn księcia”, toteż skłonna jest uznawać Swarozycza za słonecznego syna Swaroga. Aleksander Brückner kwestionował ten pogląd (jak wiele innych), stwierdzając, że było to jedynie pieśczośliwe zdrobnienie miana Swaroga. Dodatkową trudność w badaniach nad postacią Swarozycza stanowią pokrewni bogowie: zachodniosłowiański Dadźbog i ruski Daźbog, a także połabski Radegast (czczony przez Redarów w Retrze, to jest Radogoszczy), gdyż wszyscy trzej identyfikowani są ze słońcem, czyli domeną Swarozycza. Ujmując rzecz etymologicznie, Dadźbog/Daźbog to „bóg rozdawca”, twórca dobrobytu, a wspomniany przez dwóch niemieckich kronikarzy – Adama z Bremy (XI wiek) i Helmolda z Bozowa (XII wiek) – Radegast oznacza „radego gościom”. Jak zgadzają się dzisiejsi badacze, wszystkie te boskie istoty były lokalnymi odmianami Swarozycza, którego dla obszarów połabskich (kult w wymienionej już Radogoszczy) poświadczył z kolei trzeci niemiecki dziejopis, Thietmar z Merseburga (XI wiek).

W ujęciu naszych słowiańskich przodków słońce (zarówno jako siła kosmiczna, jak i ciało niebieskie – Słońce) było przede wszystkim niebiańskim ogniem

podtrzymującym życie na ziemi, dawcą światła i urodzaju, czynnikiem chroniącym ludzki świat przed panowaniem ciemności. Ruska *Powieść minionych lat* (XII wiek) utożsamiała Swaroga z greckim Hefajstosem, a jego syna Dadźboga z Heliosem, a więc słońcem. W mitach Bałtów odpowiednikiem Swarozycza jest boski kowal Sweistiks, pomagający ojcu wykuwać pioruny i zdobiącą niebo tarczę słoneczną.

Połabskiemu Swarozycowi przypisywano rozmaite funkcje, jak podtrzymywanie ogniska domowego, sprawowanie kontroli nad zjawiskami atmosferycznymi i wspomaganie wypraw wojennych. Thietmar wspomina o przechowywanych w radogoskiej świątyni chorągwiach Swarozycza, które wojownicy zabierali wyruszając na bój. Wydaje się, że chram Radegasta/Swarozycza w Radogoszczy dorównywał w X wieku rangą słynnemu w nieco późniejszym okresie przybytkowi Świętowita w Arkonie.

Pierwotny kult ognia i słonecznego dziedzica utrzymywał się bardzo długo, jeszcze bowiem w *Słowie* niejakiego Chrystolubca z XIV wieku czytamy, że „ludzie do ognia się modlą, zowiąc go Swarozycem”. Jak widzimy, powszechna już wówczas chrystianizacja nie zdołała całkowicie wyrugować z ludowej świadomości potężnego boga związanego z zimowym przesileniem.

SWARÓG

Powszechnie uznawany za boga władającego niebiosami, słońcem i ogniem, a także kowalstwem. Jego istnienie poświadczono jest na zachodniej i wschodniej Słowiańszczyźnie. Imię Swaroga mogło zostać utworzone od słowiańskiego wyrazu *swarzyć* – „gorąco się spierać”, choć niektórzy badacze doszukują się w nim pochodzenia irańskiego (od *hvar* – „słońce”) lub sanskryckiego (od *svar* – „słońce, blask, niebo”).

W kronice Thietmara z Merserburga (XI wiek) znajdujemy dość szczegółowy opis tego bóstwa i obrzędów mu poświęconych, które kultywowali połabscy Wieleci/Lucice. W ruskiej *Powieści minionych lat* (XII wiek) Swaróg został

porównany do greckiego Hefajstosa. Niektórzy badacze utożsamiają go z zagadkowym Rodem, domniemanym praojcem bogów i rodzaju ludzkiego.

Informacje kronikarzy wskazują na solarny charakter Swaroga i jego bliski związek ze słońcem, a co za tym idzie, także z ogniem. Był więc opiekunem ogniska domowego, a także stosów ofiarnych, jakkolwiek żałobne obrzędy całopalne przynależały raczej do domeny Welesa. Jako boski kowal wykuwał pioruny i wspomagał Peruna (według innej interpretacji sam był Perunem) w zmaganiach z Welesem. Jedna z wersji mitu uczyniła go też twórcą słońca, z którym utożsamiany jest zazwyczaj jego syn Swarozyc. Rosyjski uczyony Roman Jakobson wskazał także na jego ścisły związek z ognistym rurogiem, Żar-Ptakiem. Najważniejsze obrzędy solarne u Słowian obchodzone były podczas Szczodrych Godów, zwanych także Zimowym Stanem Słońca. Święto przypadało na moment zimowego przesilenia, czyli zwycięstwa słońca, gdy dzień stawał się coraz dłuższy. Echem tych obrzędów były długo utrzymujące się, mimo postępów chrystianizacji, zwyczaje kłaniania się słońcu i przysięgania na tę siłę kosmiczną.

Swaróg był jednym z najważniejszych, a być może wręcz najważniejszym i najstarszym, bogiem słowiańskiego panteonu, uosabiającym życiodajne i twórcze właściwości ognia. Jego symbolem była swastyka, znak ognia zwany *swarga* albo *swarzyca*.

ŚWIĘTOWIT

Słynny bóg o poczwórnym obliczu miał swój przybytek w Arkonie na wyspie Ranie/Rujanie (niem. Rugia) zamieszkaney przez plemię Ranów. W średniowiecznych źródłach napisanych po łacinie, na przykład w *Czynach Duńczyków* Saxona Gramatyka (XIII wiek) i *Kronice Słowian* Helmolda z Bozowa (XII wiek), imię tego boga zostało zanotowane w formie *Svantevith*. Joachim Lelewel odczytał je błędnie jako Światowid, myśląc, że miano nawiązuje do czterech twarzy zwróconych w cztery strony świata. Interpretacja ta niestety upowszechniła się i do dziś pozostaje

w szerokim obiegu, mimo że współcześni historycy ustalili poprawną wersję, która brzmi Świątowit.

Imię to składa się z dwóch członów: *święty* i *wit*. Pierwszy oznaczał dla dawnych Słowian kogoś rozporządzającego mocą magiczną, był też określeniem zapładniającej, twórczej siły przyrody. Drugi wyraz znaczył tyle co „pan, władca, wielki mąż”. Świątowit był zatem „wielkim panem rozporządzającym nadprzyrodzonymi mocami” (jego imię ma też związek z takimi wyrazami jak *wiciądz/witeż*, czyli „młody, silny wojownik”). Saxo Gramatyk podał, że w obrębie arkońskiego sanktuarium obowiązywał zakaz oddychania, lecz tę informację chyba należy włożyć między bajki, gdyż kłóci się z rozbudowanym opisem obrzędu składania kołacza u stóp posągu i sprawdzania, czy dzierzony przez bóstwo róg nadal jest pełen miodu. W obrzędzie tym uczestniczyło wiele osób, a kapłan rozmawiał na głos z przybyłymi, co byłoby raczej trudne przy jednoczesnym wstrzymywaniu oddechu. Zainteresowanych tym opisem odsyłam do fundamentalnej pracy Aleksandra Gieysztora, gdzie zostały przytoczone dotyczące Świątowita fragmenty duńskiej kroniki.

Źródła zgodnie stwierdzają, że po zniszczeniu świątyni Swarozycy w Radogoszczy to właśnie Świątowit czczony był przez wszystkie słowiańskie ludy północnopolańskie jako bóg naczelny, wywyższony ponad innych niebian. Wierzono, że zapewniał wyznawcom dobrobyt, strzegł odwiecznych plemiennych praw i wieszczył powodzenie lub niepowodzenie wypraw wojennych. Znany jest opis wróżby dokonywanej za pomocą kultowego białego rumaka przeprowadzanego nad rozłożonymi na ziemi włóczniami. Kapłani świątyni w Arkonie cieszyli się uprzywilejowaną pozycją i dzięki wyroczni mieli niebagatelny wpływ na politykę okolicznych ludów. Wyznawcy z wielu plemion pielgrzymowali do sławetnego przybytku i składali dary potężnemu bogowi, traktując go jak swego duchowego wodza. Ofiarowywano mu pierwociny plonów, zwierzęta, łupy wojenne, a także

chrześcijańskich jeńców. Ośrodka kultu strzegła specjalna drużyna złożona z trzystu doborowych konnych wojów.

Nie wiemy, jak dokładnie wyglądał posąg zniszczony podczas duńskiej inwazji w XII wieku, możemy tylko snuć pewne domniemania na podstawie tak zwanego Światowida ze Zbrucza, wydobytego w 1848 roku z rzeki na Podolu, a obecnie stanowiącego najświetniejszy zabytek przechowywany w Muzeum Archeologicznym w Krakowie. Rzeźba składa się z trzech poziomów przedstawień. Najwyższy ukazuje zapewne świat niebiański pod postacią czterech boskich postaci, z których trzy zostały wyróżnione odpowiednimi atrybutami: rogiem (symbol urodzaju), pierścieniem (prawo, przysięgi, zaślubiny) oraz koniem i szablą (wojna). Czwarte oblicze nie posiada żadnego emblematu. Obecnie część uczonych uważa, iż wizerunek Świętowita jest syntezą mocy czworga bóstw, być może Peruna, Mokoszy, Dadźboga i Jarowita. W podobnym duchu interpretował wymowę posągu uczony rosyjski Borys Rybakow, który dodatkowo utożsamiał całą figurę z Rodem jako stwórcą bogów. Środkowy poziom figury przedstawia świat ludzki: dwie pary trzymających się naprzemiennie za ręce kobiet i mężczyzn, być może w tanecznym korowodzie. Najmniej wątpliwości budzi dolny poziom, ukazujący zaświat pod postacią trzygłowego boga podtrzymującego ziemię. Postać ta jest powszechnie kojarzona z Trzygłowem/Trygławem (patrz hasło), bóstwem świata podziemnego, będącym być może hipostazą Welesa.

Mroczne bóstwa

CHORS

Bóg księżycowy wzmiankowany w *Powieści minionych lat* (XII wiek) jako jedno z głównych bóstw wschodniosłowiańskiego panteonu. Mowa jest też o nim w *Słowie o wyprawie Igora* (XII wiek), gdzie na marginesie opowieści o kniazu połockim Wsiesławie, uważanym za czarodzieja i wilkołaka, pada zagadkowe stwierdzenie, iż „wielkiemu Chorsowi drogę przebiegał” (chodzi zapewne o to, że książę grasował

nocą w wilczej postaci). Chors jest także wspomniany w paru pieśniach cerkiewnych.

Jego imię badacze próbują wyjaśnić poprzez odwołanie do starożytnych języków indoeuropejskich ze strefy indoirañskiej. Wśród możliwych znaczeń wymienia się sanskryckie słowo *hara* – „ogień”, awestyjskie *hvar* – „słońce, aureola”, czy nowoperskie *hurset* – „błyszczące słońce”.

Widoczne w tych propozycjach solarne powiązania nie przeczą lunarnej funkcji Chorsa, gdyż księżyc w dawnych wierzeniach był blisko związany ze słońcem. Z kolei Aleksander Brückner wywodził imię tego boga od rekonstruowanego słowiańskiego słowa *wycharsty*, co miało znaczyć „wychudły, wynędzniały” (por. *chuchro*, *cherlak*). Mogło się ono wiązać z regularnym ubywaniem księżyca, a także jego nikłym blaskiem (w porównaniu z blaskiem słonecznym). Bałkańskie mity lunarne ukazują walkę księżyca ze słońcem jako konflikt braci skłóconych o władzę nad światem.

Na specjalną uwagę zasługują związki Chorsa z upiorami/wampirami i innymi demonami nocnymi, a także z wilkołactwem, gdyż niekiedy bywał przedstawiany jako połączenie człowieka z wilkiem. Wierzono, że wyjące do pełni księżyca drapieżniki karmią się jego czarodziejskim światłem, dlatego ubywa go co jakiś czas. Wiele wiadomości na temat wilkołackich watah młodych wojowników zawarł Leszek Paweł Słupecki w niezwykle ciekawej monografii omawiającej ów temat.

CZARNOBÓG

Domniemany bóg Słowian Zachodnich, być może pan nocy, mroku, niesprzyjającego losu, podziemia, sprawca wszelkich nieszczęść. Według *Kroniki Słowian* Helmolda (XII wiek) Obodryci (Obodrzyce) wierzyli, że „losem pomyślnym kieruje dobry bóg, wrogim zaś bóg zły”, którego „nazywają w swoim języku diabłem, czyli Czarnobogiem, to znaczy bogiem czarnym”. Jego imię – wraz z klątwami skierowanymi przeciw wrogom – miano szeptać nad krążącą podczas uczty czarą. W kronikarskiej informacji uderza skłonność niemieckiego dziejopisa do przenoszenia

wyobrażeń chrześcijańskich na całkowicie odmienny świat wierzeń, co doprowadziło do błędnej interpretacji, jaką było utożsamienie zapewne chtonicznego bóstwa słowiańskiego z diabłem.

Być może wspomniane w islandzkiej *Sadze o potomkach Kanuta* (*Knyttlinga Saga*, XIII wiek) miano „Czarnogłów” było przekształceniem imienia Czarnoboga.

Tacy polscy uczeni jak Aleksander Gieysztor i Andrzej Szyjewski skłonni są uznawać Czarnoboga za pierwotną formę Welesa (patrz hasło).

TROJAN, TRYGŁAW/TRZYGŁÓW – PATRZ: ŻMIJ WELES/WOŁOS

Bóg chtoniczny będący antagonistą słonecznego Swaroga/Peruna, lecz zarazem współtwórcą wszechświata.

Wschodniosłowiańska wersja jego imienia, Wołos, budzi skojarzenia z takimi słowami jak *włosć* i *wół*, co raczej nie jest przypadkiem, gdyż na Rusi zwano go „bydlęcym bogiem”, co zdaniem wielu badaczy oznacza, iż bóg ten był panem bydła rogatego, którego posiadanie świadczyło o bogactwie gospodarza. Stąd też Wołos miał rogi na głowie, mylnie kojarzone przez ludzi Cerkwi z rogami diabła. Jeśli wierny składał Wołosowi dary, ten pomnażał dobrobyt jego gospodarstwa, choć ta sfera nie była ani jedyną, ani nawet podstawową w jego boskiej działalności. Źródła poświadczają, że ofiarowywano mu trzyletnie czarne byki, a zatem dary typowe dla bóstw podziemnych. I właśnie Weles/

Wołos był przede wszystkim władcą Nawii, słowiańskich zaświatów, dokąd udawały się dusze zmarłych. Wyobrażano sobie, że wypasa je, siedząc na tronie wśród korzeni kosmicznego Drzewa Życia. W aspekcie boga podziemia był niewątpliwie powiązany z takimi postaciami jak (patrz hasło Żmij, Trygław/Trzygłów, Trojan). Był także bogiem przysiąg, czarów, klątw i innych sztuk tajemnych (rosyjski przymiotnik *wołszebnyj* oznacza „czarodziejski”), co powodowało, że należy go uznawać za opiekuna różnego typu czarowników, w tym wołchwów, którzy składali mu ofiary

całopalne i otrzymywali odeń moc widzenia przyszłości. Zsyłał również natchnienie wędrownym bazarzom – w *Słowie o wyprawie Igora* (XII wiek) wieszczka i poetę Bojana określa się „wnukiem Welesowym”. Z *Powieści minionych lat* (XII wiek) wiemy też, że na imię Wołosa przysięgał ruski lud (podczas gdy kniaziowi woje przysięgali na Peruna). Uważano, że wobec niedotrzymania takiej przysięgi bóg może zesłać na wiarołomcę różne dotkliwe choroby, na przykład „wyzłocić” go skrofułami.

Nieustannych zmagania Welesa ze Swarogiem/Perunem nie należy traktować w duchu chrześcijańskim jako walkę dobra ze złem. Jest wiele przesłanek, by twierdzić, że w światopoglądzie słowiańskim istniał dualizm światła i ciemności, jednak siły te były traktowane jako równorzędne i konieczne do zachowania równowagi wszechświata. Zapewne dualizm ten ma swoje źródło w szamanizmie, którego liczne i silne ślady w wierzeniach słowiańskich wykazał Andrzej Szyjewski. Ziemia (pojmowana jako matka – patrz hasło: Mokosz

/Mokosza) skrywa do dziś wiele skarbów, stąd zapewne wziął się związek Welesa z dwiema zdawałoby się nieprzystającymi czynnościami: orką (= płodność) i kupiectwem (= bogactwo). U Słowian Wschodnich powszechny był zwyczaj zachowywania ostatniego zżętego snopka, zwanego „brodą Wołosa”, by zwiastował pomyślność następnego siewu. Snopek

ów stanowił część obrzędowego przebrania turonia, a że ten włochaty „potwór” wyobrażał zapewne samego pana Nawii, wydaje się, że Wołos miał umiejętność przemiany w dzikie zwierzęta, przede wszystkim w budzącego grozę i respekt niedźwiedzia. Stąd powstała kolejna hipoteza wyjaśniająca imię tego boga: miało być związane z długimi włosami lub sierścią.

W folklorze czeskim zachował się ciekawy ślad, który świadczy nie tylko o zepchnięciu w czasach chrześcijańskich boga podziemi do roli podrzędnego demona, ale też o całkowitym utożsamieniu go z diabłem: chodzi o powiedzenie *k velesu* – „do diabła”. Przekleństwo to mówi nam również o tym, że Słowianie uważali, iż pan

zaświatów miał znaczący wpływ na codzienne życie człowieka. Może więc i dziś lepiej go do siebie nie zrażać, a pałac świecę Swarogowi, także Welesowi powinno się zapalić choćby ogarek.

ŻMIJ, TRYGŁAW/TRZYGŁÓW, TROJAN

Uczeni nie są zgodni, czy występującego w różnych przekazach Żmija należy traktować jako zoomorficzne wcielenie Welesa (patrz hasło), czy też jest on postacią odrębną od pana zaświatów. W każdym razie tak samo jak Weles reprezentował siły podziemia i chaosu, przez co był naturalnym przeciwnikiem Peruna. Opowieści czynią

go strażnikiem Nawii, a konkretnie tak zwanego wężowego

Wyraju.

Przyjmuje się czasem w nauce, że w związku z posiadającym trzy łby Żmijem pozostaje pewien trzygłowy bóg, także będący panem podziemi – TrzygłóW, który był czczony przez Słowian połabskich i Pomorzan. Wiadomo, że miał swe sanktuaria w Szczecinie, Brennie i Wolinie. Za sprawą Herborda i Ebona (XII wiek), żywociarzy świętego Ottona z Bambergu, misjonarza Pomorzan, dowiadujemy się, że TrzygłóW sprawował pieczę nad trzema sferami: wodą, niebem i podziemiami. Podobnie jak arkoński Świątowit miał swego wróżebnego konia, który wszakże był czarnej maści. Świątynię w Szczecinie wzniesiono ponoć z wielkim staraniem i ozdobiono barwnymi płaskorzeźbami, które budziły podziw nawet chrześcijańskich misjonarzy. Zagadkowe powiązanie nieba z podziemiem daje się łatwo wyjaśnić, gdy się spojrzy na posąg ze Zbrucza (patrz hasło: Świątowit), gdzie na najniższym poziomie rzeźby widać postać identyfikowaną z Trygławem/TrzygłóWem, który podtrzymuje ziemski świat, co oznacza, że łączył tak naprawdę sferę ziemską z obiema zaświatowymi: niebiańską i podziemną. Wiele wskazuje, że trzygłowy bóg był upostaciowaniem mrocznych sił, czczonym na równi z jasnymi bogami, gdyż pełnił rolę między wszystkimi mocami kosmicznymi. Warto przy okazji wspomnieć

słoweńską górę Triglav, która wedle lokalnych opowieści wynurzyła się z pierwotnego oceanu, dając początek całej ziemi, a jednocześnie sięgała od dolnego świata do nieba – opowieść ta zdaje się potwierdzać przypuszczenie o funkcji Trygława jako łącznika wysokich sfer zarówno z ziemią, jak i podziemiem.

W baśniach Słowian Południowych przewija się też zagadkowa postać trójgłowego demona Trojana, określanego jako „władca wszystkich ludzi i bydła”, co świadczyłoby o związku ze światem chtonicznym i jego rogatym panem, Welesem, a także z zachodniosłowiańskim Trzygłowem i wschodniosłowiańskim Trygławem. W serbskiej baśni trzygłowy car Trojan panicznie boi się słońca, które traktuje jak największego wroga. Za istnieniem kultu Trojana również na Rusi przemawiają wschodniosłowiańskie źródła. W *Słowie o wyprawie Igora* (XII wiek) ruskie ziemie określane są „ziemiami Trojanowymi”, a przedchrześcijańskie czasy – „wiekami Trojanowymi”.

Nazwa Trojan, szeroko poświadczona w słowiańskim nazewnictwie osób i miejscowości, świadczy o powszechności wiary w owe bóstwo na terenach całej Słowiańszczyzny, przy czym wydaje się, że także na wszystkich tych obszarach nosiło ono oboczne imię Trzygłów/Trygław. Wciąż jednak pozostaje tajemnicą, czy istota ta była samodzielny bóg, czy też stanowiła wcielenie Welesa.

DODATEK II

KALENDARZ OBRZĘDOWY SŁOWIAN

OPRACOWAŁ RATOMIR WILKOWSKI

Wydawać by się mogło, że wiele dawnych słowiańskich świąt zanikło, w rzeczywistości jednak wciąż funkcjonują w folklorze, choć przybrane w nowe szaty. Zwykle są to szaty nałożone przez obyczajowość chrześcijańską lub nowoczesne przemiany społeczne, lecz pod nimi nadal ukrywają się oryginalne pogańskie treści.

Współczesne życie wymusiło znaczne skrócenie okresów świątecznych, a Kościół wyznaczył ich terminy na konkretne dni kalendarza, niegdyś jednak Słowianie każde ze świąt obchodzili przez kilka dni, a ich porę wyznaczyli w zależności od wielu czynników, z których najważniejszymi były zjawiska astronomiczne i przyrodnicze. Brano więc pod uwagę długość dnia i nocy, czas górowania słońca, fazy księżyca, jak również uwzględniano rytm życia ludzkiego.

CZTERY ŚWIĘTA GŁÓWNE

W ciągu roku wyróżnić można cztery główne słowiańskie święta cykliczne. Początek roku wegetacyjnego przypadał na **równonoc wiosenną**, czyli marcowy okres zrównania dnia z nocą. W tym okresie obchodzono cykl świąteczny zwany **Jarymi Godami**. Rozpoczynał się od magicznych zabiegów mających pożegnać i odegnąć zimę. Polegały one na sporządzeniu, a następnie wyprowadzeniu z siedlisk ludzkich słomianej kukły symbolizującej domniemaną boginię Marzannę, przy czym hałasowano, śpiewano i grano na instrumentach, po czym kukłę palono lub spławiano rzeką.

Po tych zabiegach starano się przyspieszyć nadejście wiosny, w tym celu rozpalano ogniska na wzgórzach oraz sporządzano wiechy z wierzbowych i leszczynowych witek, czego echem są obecne „palmy”, a także sprzątano, wietrzono i okadzano domostwa. Uwieńczeniem tego cyklu obchodów były uroczyste uczyty, podczas

których obdarowywano się sporządzonymi wcześniej kraszankami i pisankami. Następnego dnia obchodzono śmigus – rytuał, który początkowo polegał na uderzaniu się nawzajem rozkwitłymi wtkami wierzbowymi, oraz dyngus – zwyczaj oblewania się zimną wodą, wywodzący się od wcześniejszych praktyk obmywania się w świętej wodzie. W późniejszym okresie śmigus i dyngus połączono w jeden zwyczaj, zwany dziś powszechnie śmigusem-dyngusem.

Kolejnym powszechnym i do dziś jeszcze znanym cyklem obrzędowym było obchodzone w **czerwcu** letnie przesilenie, którego kulminację stanowiła **Noc Kupały**. Poświęcona była przede wszystkim mocom słońca i księżyca (za których widzialne odwzorowanie uznawano ciała niebieskie Słońce i Księżyc) oraz żywiołom wody i ognia, a także siłom miłości i płodności. Był to czas radości, zabaw i wróżb. Po uprzednim wygaszeniu wszelkich palenisk przystępowano do rytualnego skrzesania nowego żywego ognia. Od niego rozpalano kolejne ogniska, przy których bawiono się i biesiadowano. Skoki przez ogniska miały zapewniać powodzenie, zdrowie oraz oczyszczać i chronić od złego. Po zapadnięciu zmroku młode niewiasty powierzały falom rzek i strumieni uplecione wcześniej wianki, licząc na wyłowienie ich przez ukochanych. W ten sposób młodzi obchodzili powszechnie przyjęte (wynikające z pozycji społecznej lub umów rodzinnych) wymogi dobierania partnerów i samodzielnie mogli kojarzyć się w pary, wykorzystując przeżytki pogańskich obyczajów.

Trzecim głównym cyklem było **Święto Plonów**, którego echem są współczesne dożynki. Stanowiło kulminację ukończenia ważniejszych prac polowych podczas żniw oraz formę podziękowania za zebrane plony. Przypadało w okresie **równonocy jesiennej**, z początkiem trzeciej dekady września. Obrzęd dożynek pierwotnie związany był z kultem roślin i drzew, a następnie z rolnictwem. Dożynekom towarzyszyły różne praktyki i zwyczaje, związane na przykład z ostatnią garścią, kępą lub pasem niezżętego zboża, które pozostawiono na polu jako symbol ciągłości

urodzaju. Owe ostatnie kłosa były po jakimś czasie uroczyście ścinane przez najlepszego kośnika, po czym wręczane najlepszym żniwiarkom do uplecenia wieńca. Wieniec dekorowano kwiatami i kolorowymi wstążkami, kiściami czerwonej jarzębiny, orzechami i owocami, a następnie w radosnym korowodzie niesiono do świętego miejsca albo świątyni (o ile takowa istniała w okolicy) lub po prostu do osoby mogącej pośredniczyć w kontakcie z bogami, na przykład czarownika czy wiedzącej kobiety, w celu poświęcenia. Potem przekazywano wieniec gospodarzowi dożynek, który szykował dla wszystkich suty poczęstunek.

Zakończeniem roku astronomicznego, a jednocześnie rozpoczęciem nowego roku słonecznego był przypadający w grudniu cykl zwany **Szczodrymi Godami**. Jako że słońce w swej wędrówce po nieboskłonie nie schodziło już niżej i przez kolejnych kilka dni zdawało się w tej pozycji zatrzymywać, czas ten zwano również Świętem Stania Słońca. Zwycięstwo światła nad ciemnością symbolizował moment, w którym zaczyna przybywać dnia, a nocy ubywać. Był to też szczególny czas na odprawianie wróżb na przyszły rok dotyczących na przykład pogody czy zbiorów. W okresie tym praktykowano zwyczaj stawiania w kącie izby udekorowanego suszonymi owocami i orzechami snopa żyta zwanego diduchem. Wieszano również pod sufitem podłazniczkę (udekorowaną gałąź jodły, świerku lub sosny), którą znacznie później zastąpiono choinką. Podczas wieczery pozostawiano dodatkowe nakrycie dla duchów przodków i obdarowywano się prezentami. Powszechne było też kolędowanie z turoniem, którego odgrywanie symbolizowało odrodzenie ziemi zasypiającej na zimę, a budzącej się wiosną.

INNE WAŻNE ŚWIĘTA I RYTUAŁY PRZEJŚCIA

Oprócz czterech głównych cykli obrzędowych wymienić można co najmniej kilka ważnych świąt pośrednich. W okresie między Jarymi Godami a Kupałą wyodrębnić trzeba kilka częściowo pokrywających się terminowo świąt, takich jak wiosenne Dziady, Stado oraz Nowe Lato.

Stado, związane z kultem płodności i przez część badaczy utożsamiane z Rusałczym Tygodniem, szczególnie popularne było wśród pasterzy, którzy na cześć bóstw i duchów przodków organizowali zawody sportowe, a także tańczyli i uctowali przy ogniskach. Zwyczaj ten do dnia dzisiejszego popularny jest wśród górali zagórzańskich i Podhalan. Wówczas to na wielu tamtejszych wzgórzach pała się widoczne z daleka ognie.

Także w porze najbujniejszej zieleni obchodzono **Nowe Lato**, znane dzisiaj powszechnie jako Zielone Świątki. Pierwotnie związane było z przedchrześcijańskimi obchodami święta wiosny, z siłą drzew, zielonych gałęzi i wszelkiej płodności. Ludowe obyczaje związane z Zielonymi Świątkami wpisane są w rytm przyrody i wyrażają oczekiwanie na nadejście lata. Zasadzają się na magicznych praktykach mających zapewnić obfitość przyszłych plonów. W tym celu palono ognie, domy bielono i przyozdabiano zielonymi gałązkami, izby okadzano i przystrajano tatarakiem oraz kwiatami. W wielu regionach wycinano młode brzoźki i stawiano je w obejściu. Przystrajanie domostw zielonymi gałęziami miało zapewnić urodzaj, a także ochronić domowników przed urokami.

Najlepiej zachowanym reliktem **wiosennych Dziadów** była małopolska Rękawka, podczas której możniejsi członkowie społeczności toczyli po stoku kopca jajka, szewskie placki, obwarzanki, bułki, jabłka, pierniki, aby trafiły w ręce dzieci i gawiedzi. Wówczas też na groby bliskich (pod nazwą dziadów kryli się zmarli przodkowie) wnoszono jadło i napitek. Z kolei **jesienne Dziady** przypadły w okresie między Plonami a Szczodrymi Godami i ostatecznie przyjęły formę listopadowych Zaduszek. Jeszcze w XIX wieku, zwłaszcza na wschodnich krańcach Polski, dość powszechnie odprawiane były tego rodzaju obrzędy ku czci zmarłych. W ich trakcie organizowano uczyty na grobach. Wiara ludowa tak dalece ożywiała zmarłych, że stawiano na mogiłach nie tylko pieczywo, ale też kaszę, miód, jajka. Drugim obok „karmienia dusz” elementem tego święta było palenie ognisk.

Początkowo lokowano je na rozstajnych drogach, aby wskazywały kierunek wędrującym duszom, zaś od przełomu XVI i XVII wieku przeniesiono ogniska na cmentarze – stąd dzisiejsze symboliczne świeczki i znicze na mogiłach.

W innych regionach Polski dusze zmarłych odwiedzające rodzinne domy ugaszczano gorącym posiłkiem. Jeśli uczta odbywała się w domu po wieczornym powrocie z cmentarza, gospodarz trzykrotnie obchodził chatę i niosąc przed sobą bochenek chleba wypowiadał stosowną formułę do usadowionej w oknie gospodyni. Potem wkraczał do izby i wraz z pozostałymi domownikami odmawiał modlitwę, po czym wszyscy zasiadali do stołu i biesiadowali. Przed udaniem się na spoczynek rodzina raz jeszcze odmawiała modlitwy za zmarłych w świętym kącie izby, czym oddawała cześć dziadom. Gospodynie zamiatały izby, kładły na stołach białe obrusy, chleb, sól i nóż, aby zmarli odwiedzający w tę noc domostwo nie odeszli głodni.

Znacznie słabiej udokumentowanymi źródłowo są główne święta poświęcone Perunowi – przypadające w okresie pomiędzy Kupałą a Plonami, oraz Welesowi – obchodzone w okresie pomiędzy Szczodrymi a Jarymi Godami. Podczas mogącego trwać nawet kilka dni **głównego święta Peruna**, boga gromów i patrona wojowników, święcono broń i wspominano poległych w boju pobratymców. Na cześć bóstwa organizowano zawody sportowe, w trakcie których mężczyźni zmagali się w wybranych dyscyplinach. Jednocześnie dziękowano i proszono o uchronienie zbiorów przed letnimi burzami, składając w tym celu stosowne dary pod najstarszymi i najwyższymi dębami. Podczas obchodów nie mogło oczywiście zabraknąć wieczornych uczt i radosnych biesiad. Część atrybutów Peruna, jak również tradycji towarzyszących obchodowi jego święta przejęło chrześcijaństwo, czego przykładem było na Rusi wprowadzenie kultu świętego Eliasza.

Podobnie jak obchody na cześć Peruna, także **główne święto Welesa** mogło w niektórych regionach Słowiańszczyzny trwać nawet kilka dni. W tym czasie przeprowadzano oczyszczające zabiegi magiczne mające chronić ludzi przed

chorobami. Wrócono i przewidywano, jak długo potrwa zima. Weles, jako bóstwo chtoniczne, związany był również z dzikimi zwierzętami. Tym samym władny był nie tylko uchronić przed drapieżnikami należące do ludzi stada, ale również zapewnić myśliwym powodzenie w polowaniach. W tej intencji składano ofiary podziemnemu bogu. Echem tych praktyk jest zwyczaj kolędowania z udziałem postaci demonicznych i zwierzęcych – odgrywają je osoby okryte kozuchami wywróconymi włosiem na wierzch. Przypuszczalnie wspomniane wcześniej kolędowanie z turoniem, w późniejszym okresie włączone do obchodów Szczodrych Godów, pierwotnie związane było właśnie ze świętem Welesa. Większość tradycji dotyczących tych obchodów została zaadaptowana, szczególnie na Rusi, przez chrześcijańską obrzędowość poświęconą świętemu Jerzemu oraz świętemu Mikołajowi, którzy przejęli część atrybutów pogańskiego władcy podziemia.

Poza wymienionymi świętami cyklu rocznego warto wymienić **rytuały przejścia**, podczas których celebrowano ważne momenty w życiu członków danej społeczności, takie jak:

- **powitanie Rodzanic** – obrzęd związany z narodzinami
- **postrzyżyny** – obrzęd związany z przejściem chłopca z wieku dziecięcego w młodzieńczy
- **kosopleciny** – obrzęd związany z przejściem dziewczynki z wieku dziecięcego w dziewczęcy
- **swaćba** – ożenek
- **pochówek i stypa** (ewentualnie **tryzna**, czyli urządzana ku pamięci ważnej osobistości stypa połączona z zawodami i przedstawieniami rytualnymi).

CHARAKTER ŚWIĄT SŁOWIAŃSKICH

Na cześć niektórych bóstwa wyprawiano wiele świąt w ciągu roku, z drugiej strony niektóre święta były poświęcane równocześnie wielu różnym bóstwom, z których jedno było w danym okresie dominujące i to jemu składano główne ofiary. Taka

„demokracja” kultowa była możliwa dzięki temu, że w wielobóstwie słowiańskim nie istniał problem „zazdrości bogów” o siebie.

Można wyróżnić kilka elementów wspólnych dla większości dawnych obrzędów słowiańskich. Pierwszym było złożenie bogom ofiar składających się najczęściej z przetworzonych plonów: chleba, kaszy, miodu i piwa (czasem podobne ofiary składano demonom lub duchom przodków w celu zapewnienia sobie ich opieki lub odegnania ich gniewu). Drugą ważną częścią obrzędów były modlitwy: zarówno dziękczynne za okazaną przez bóstwa przychylność, jak i stanowiące prośbę o błogosławieństwo na przyszłość. Kolejnym stałym elementem świąt były związane z żywiołami zabiegi, które miały przelać na uczestników oczyszczającą moc. Innym istotnym etapem obrzędów było przeprowadzanie wróżb. Każde święto zamykała huczna biesiada, trwająca zwykle do białego rana, a nierzadko przeciągająca się na kilka kolejnych dni.

Warto podkreślić, że wszystkie słowiańskie obrzędy, nawet te poświęcone duchom przodków, odbywały się w radosnej atmosferze, gdyż ich główne przesłanie zwrócone było w stronę życia i przyszłości, a nie śmierci i przeszłości, jak obecnie ma to miejsce w smutnych obchodach Święta Zmarłych.

WYBÓR LITERATURY PRZEDMIOTU

- Afanasjew, Aleksander N., *Baśnie rosyjskie*, przekład Ewa Morycińska-Dzius, Warszawa 2013
- Banaszkiewicz, Jacek, *Podanie o Piaście i Popielu*, wydanie II: Warszawa 2010
- Brückner, Aleksander, *Mitologia słowiańska i polska*, wznowienie zbiorcze: Warszawa 1980
- Budziszewska, Wanda, *Bałkańskie mity lunarne*, „Euhemer” 1/1984
- Campbell, Joseph, *Bohater o tysiącu twarzy*, przekład Andrzej Jankowski, Poznań 1997
- Cetwiński, Marek i Derwich, Marek, *Herby, legendy, dawne mity*, Wrocław 1987
- Czernik, Stanisław, *Trzy zorze dziewicze. Wśród zamawiań i zaklęć*, Łódź 1985
- Dołęga-Chodakowski, Zorian, *O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem*, reprint dzieła z 1835 r.: Sandomierz 2014
- Dumézil, Georges, *Bogowie Germanów*, przekład Anna Gronowska, Warszawa 2006
- Dzieduszycki, Wojciech, *Baśń nad baśniami*, Lwów 1889
- Eliade, Mircea, *Sacrum, mit, historia*, przekład Anna Tatarkiewicz, Warszawa 1993
- Frazer, James George, *Złota gałąź. Studia z magii i religii*, przekład Henryk Krzeczkowski, Kraków 2012
- Gąsowski, Eligia i Jerzy, *Łysa Góra we wczesnym średniowieczu*, Wrocław 1970
- Gierlach, Bogusław, *Sanktuaria słowiańskie*, Warszawa 1980
- Gieysztor, Aleksander, *Mitologia Słowian*, Warszawa 2006
- Gliński, Antoni J., *Bajarz polski*, Warszawa 2003
- Heckowa, Kazimiera W., *Pod znakiem świętego słońca. Dawne wierzenia śląskie*, Wrocław 1961
- Iwanow Wiaczesław I., Toporow Władimir N., *Issledowanija v oblasti slawjanskich drevnostej. Leksiceskie i frazeologiceskie woprosy rekonstrukcii tekstov*, Moskwa 1974
- Janion, Maria, *Niesamowita Słowiańszczyzna. Fantazmaty literatury*, Kraków 2006
- Jung, Carl Gustav, *Archetypy i symbole. Pisma wybrane*, przekład Jerzy Prokopiuk, Warszawa 1993
- Kowalik, Artur, *Kosmologia dawnych Słowian. Prolegomena do teologii politycznej dawnych Słowian*, Kraków 2004
- Kowalski, Krzysztof i Krzak, Zygmunt, *Tezeusz w labiryncie*, wydanie II: Warszawa 2003
- Kubiak, Irena i Kubiak, Krzysztof, *Chleb w tradycji ludowej*, Warszawa 1981
- Leciejewicz, Lech, *Słowianie Zachodni*, wznowienie: Wodzisław Śląski 2010
- Łowmiański, Henryk, *Religia Słowian i jej upadek*, Warszawa 1979
- Łuczyński, Michał, *Semantyka obrzędów wiosennych związanych z Marzanną i Jaryłą*, „Respectus Philologicus”10(15)/2006
- Łukaszyk, Agnieszka, *Wierzchowce bogów*, Szczecin 2012
- Marturano, Aldo C., *Słowiańska Ruś, pogaństwo i kobiety*, przekład Anna Gogolin, Szczecin 2011
- Modzelewski, Karol, *Barbarzyńska Europa*, Warszawa 2004

- Mongrid, Tadeusz (przekład), *Byliny*, Warszawa 1957
- Moszyński, Kazimierz, *Kultura ludowa Słowian*, wydanie II: Warszawa 1967
- Podgórcy, Barbara i Adam, *Wielka księga demonów polskich*, Katowice 2005
- Seweryn, Dariusz, *Prehistoria – średniowiecze – romantyzm. W kręgu indo-europejskich tematów mitologicznych: od Dumézila do Słowackiego*, Warszawa 2014
- Słupecki, Leszek Paweł, *Wilkołactwo*, Warszawa 1987
- Strzelczyk, Jerzy, *Mity, podania i wierzenia dawnych Słowian*, Poznań 1998
- Szrejter, Artur, *Wielka wyprawa księcia Racibora*, Warszawa 2013
- Szrejter, Artur, *Herosi mitów germańskich. Tom II*, Warszawa 2016
- Szyjewski, Andrzej, *Religia Słowian*, Kraków 2003
- Tomiccy, Joanna i Ryszard, *Drzewo życia. Ludowa wizja świata i człowieka*, Warszawa 1975
- Toporow, Władimir N., *Wokół rekonstrukcji mitu o jaju kosmicznym*,
w: *Semiotyka kultury*, red. Elżbieta Janus i Maria Renata Mayenowa, Warszawa 1977
- Urbańczyk, Stanisław, *Dawni Słowianie – wiara i kult*, Wrocław 1991
- Wawrzeniuk, Joanna, *Magia ochronna Słowian we wczesnym średniowieczu na ziemiach polskich*, Warszawa 2016
- Zych, Paweł i Vargas, Witold, *Bestiariusz słowiański*, Olszanica 2012

Dary bogów

Copyright © Witold Jabłoński

Copyright © Genius Creations

Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak

Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Copyright © for the illustrations by Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz, 2019

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski

Redakcja: Artur Szejter

Korekta: Małgorzata Tarnowska

Adiustacja autorska wydania i projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Ilustracje w tekście i na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn

Skład i typografia: Grafpa

MORGANA Katarzyna Wolszczak

ul. Kormoranów 126/31

85-453 Bydgoszcz

sekretariat@geniuscreations.pl

www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach

www.MadBooks.pl

www.eBook.MadBooks.pl

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)